

Rozbite gniazdo

Barbara Gordon



calibre 0.9.27

Rozbite gniazdo

1 - Tajemnica leśnej polany

Zosia chuchała w zmarznięte rączki i przytupywała dla rozgrzewki.

Pierwsza połowa grudnia 1942 roku była bardzo zimna. Las, przyprószone już śniegiem, stał zupełnie cichy i niemy. Na próżno Zosia szukała śladów stóp zajączków na śniegu, nie dostrzegła ani jednej wiewiórki w koronach sosen. Widocznie pochowały się w swych ciepłych norach i dziuplach.

- Mamo, chodźmy już do domu - zaczęła płaczliwie prosić Bartosową.

- Zaraz, dziecińco, zaraz. Zbiorę jeszcze trochę gałęzi i pójdziemy. -

Wprawnymi rękoma matka Zosi wiązała chrust kawałkami szmat. - Trzeba zebrać dziś więcej opału, mówią, że mróz jeszcze stężeje. Wolałabym jutro nie wychodzić do lasu.

Mówiąc to Bartosowa od czasu do czasu unosiła głowę i nasłuchiwała z niepokojem.

- Co to, mamo? - Zosia podbiegła do matki, zapadając się w stertach opadłego listowia i śniegu.

- Nic, córciu, nic. Chyba dzieciół kuje.

Zosi wydało się, że matka z ulgą odetchnęła. Dziewczynka miała dopiero osiem lat, ale pomagała matce w miarę swych sił w dźwiganiu ciężaru. Podnosiła mniejsze gałązki, pomagała zarzucać wiązkę na plecy i zbierała do worka szyszki. Pobiegała trochę w kółko, żeby się rozgrzać. Od krzaczka do krzaczka. Ich gałązki, pokryte szronem, wyglądały, jak gdyby były ulepione z cukru. Dalej zarośla zbijały się w gąszcz. Latem chodzi się

tam zawsze na jagody, a jesienią - na grzyby. Ale tego roku nikt ze wsi nie zapuszczał się tak daleko. Gdy Zosia upierała się, żeby iść dalej, starsi chłopcy patrzyli na siebie porozumiewawczo i jakoś tajemniczo, a matka strofowała:

- Daj spokój, Zosieńko. Tam teraz nie można chodzić. Może kiedyś pójdziemy, ale nie w tym roku. Kiedy wojna się skończy...

Zosia często słyszała słowo "wojna". Gdy się zaczęła, miała pięć lat i mgliście zapamiętała grzmot dział, wybuchy bomb i wystrzały karabinowe, nie zachowała wyraźnie w pamięci czołgów i motocykli, które z piekielnym hałasem gnały po wiejskich drogach. Matka zresztą chowała się wtedy z Zosią w piwniczce ich chaty. Ale "wojna" już teraz, na co dzień, to było dużo bardzo złych spraw. To było zniknięcie ukochanej Krasuli, w związku z czym Zosia już tylko z rzadka dostawała odrobinę mleka, nie wiadomo w jaki sposób zdobywanego przez Bartosową. To były coraz mniejsze kromeczki gliniastego razowego chleba i liczone na sztuki ziemniaki. To był więc po prostu głód. I to były jeszcze zapłakane, rozpaczające sąsiadki, gdy starszych nieco chłopców i dziewczęta ładowano do ciężarówek.

- A dokąd oni jadą, mamó? - pytała natarczywie Zosia.

- Daleko, kochanie. Na roboty do Niemiec - odpowiadała matka i myślała: jak to dobrze, że Zosi nic nie grozi. Taka mała. Jak podrośnie, będzie już po wojnie.

Niemcy... To ci w jasnozielonych albo w czarnych mundurach, mówiący niezrozumiałym językiem. Zosia widywała ich od czasu do czasu. Raz wpadli całą gromadą na podwórko i zaczęli łapać kury, których

niewielkie stadko udało się jeszcze hodować Bartosowej. Były chociaż z tego jajka na kluski i na sprzedaż. Duża, biała kokoszka uciekając przed pogromem wpadła Zosi prosto w ramiona. Przycupnęła z nią za węglem chaty. I nagle jakby spod ziemi wyrósł wielkolud w zielonym mudurze z przewieszonym przez ramię karabinem i wyciągnął rękę po łup.

Dziewczynka krzyknęła przeraźliwie.

- Nie! Nie dam! - wołała wpatrując się w napastnika z gniewem i przerażeniem swoimi wielkimi, niebieskimi oczami. Blond warkoczki sterczały jej wojowniczo po obu stronach głowy. Nie wiadomo jak zakończyłoby się całe owo zajście, gdyby na pomoc nie pospieszyła Bartosowa, nie dbając już, co się stanie z jej dobytkiem. Złapała córkę na rękę i wbiegła z nią do izby. Mała nadal kurczowo tuliła w ramionach przerażoną białą kokoszkę. Zza drzwi dobiegł do nich rehotliwy śmiech żołnierza. Coś wykrzykiwał. Gdyby rozumiały po niemiecku, dowiedziałyby się, że następnym razem on łebki ukręci: i kurze, i tej bezczelnej smarkatej.

Ale nie z powodu okupantów unikano zagłębiania się w lasy Zamojszczyzny. Zosia często chodziła z matką po drzewo, lecz nigdy ani jednego "zielonego" tam nie spotkała. Niemcy bali się tych obszarów, niejeden ich patrol przepadł tam bez wieści. Któż zatem krył się w owych gęstwinach? Pewnego dnia Zosia z matką poszły trochę dlaej i dotarły aż do rozległej polany, obrzeżonej zagajnikami. Dookoła złociły się ostatnie liście na brzożach i olszynach, ostry zapach jesieni unosił się w wilgotnym powietrzu. Do uszu dziewczynki doleciał jakby daleki śpiew.

- Mamo, mamó - szarpała Bartosową za spódnice - kto to śpiewa?

- Nie wiem, dziecino...

- Mamo, tam! Popatrz!

Odległym brzegiem polany, skrajem zagajnika przemykała się spora gromada mężczyzn. Jedni byli w ciemnozielonych mundurach, inni w zwykłych kurtkach, niektórzy mieli broń i lufy karabinów połyskiwały w jesiennym słońcu. Chyba to oni nucili... Do Zosi docierały pojedyncze słowa:

...Nie płacz, dziwczyno ma,

bo w partyzantce nie jest źle...

- Co to "partyzantka", mamo?

Ale Bartosowa nie odpowiedziała. Szybkim ruchem pociągnęła Zosię za rękę i obie zawróciły na ścieżkę, prowadzącą do wsi.

- Zosiu, nic nie widziałaś i nie słyszałaś. Coś ci się przywidziało! - Głos matki był stanowczy i surowy jak nigdy.

Zosia spojrzała zdumiona.

- Ale ...

- Powtarzam, nic nie widziałaś i nikomu o tym ani słowa!

To przekreślało wszelki sprzeciw.

Zosia nie byłaby jednak małą ciekawską, gdyby nie usiłowała dowiedzieć się, o co tu chodzi. Najpierw podstuchiwała prowadzone szeptem rozmowy starszych chłopców, a potem wtajemniczyła ją córka sąsiadów, Jadźka Michalakówna.

- Wiesz, niektórzy żołnierze z dawnego naszego wojska, no i takie młode chłopaki, co to im groziło wywiezienie na roboty albo tacy, co musieli ukryć się, bo hitlerowcy wsadziliby ich do więzienia czy obozu, poukrywali

się w lasach. No i walczą z Niemcami. Gdzie mogą, tam im szkody robią.

Jakoś nas bronią... Ale o tym - sza... Nie wolno nikomu nic mówić.

*Zosia pożałowała w tym momencie, iż nie zjawił się "partyzant",
kiedy broniła swojej białej kokoszki. Już on by temu "zielonemu" pokazał...*

*I teraz pomagając matce zbierać chrust, rozmyślała wciąż tylko o
tym, jak przyjemnie byłoby usłyszeć jeszcze raz w tym głuchym lesie słowa,
które zapadły jej głęboko w pamięć: "Nie płacz, dziewczyno ma..."*

*Nagle matka wyprostowała się i znieruchomiła nasłuchując. Po
chwili usłyszała także Zosia. Wśród ciszy, w której słychać było każde
skrzypnięcie śniegu i szelest liści pod nogami, rozległ się daleki tętent.*

*Ktoś szybko galopował po stwardniałej, leśnej drodze. Słychać było
coraz wyraźniejszy stukot końskich kopyt.*

*Bartosowa cofnęła się z drogi w zarośla, lecz wysunęła się znów, gdy
postać jeźdźca była już możliwa do rozpoznania.*

*- Maciek! Maciek! - zawołała wesole Zosia, machając ręką do syna
sąsiadów, brata przyjaciółki, Jadźki Michalakówny. Nie widziała go już od
paru miesięcy. Mówili, że pojechał do pracy do Zamościa.*

- Mamo, skąd Maciek się tu wziął?

*Ale matka nie odpowiadała. Jak gdyby zeszywniała w oczekiwaniu
na wiadomości od przybysza.*

*- Mordują w Skierbieszowie! Lipsko wysiedlili! Wszystkich
wypędzają! Setki Niemców w okolicy! Gestapo, żandarmi, wojsko! - Maciek
wyrzucał wieści jednym tchem, bez powitania.*

Bartosowa zbladła.

- A ty dokąd lecisz? Przecież i ciebie złapią...

- Muszę uprzedzić inne wsie. Bądźcie w pogotowiu. Najlepiej

uciekajcie do lasu, w stronę Wojdy, tam znajdziecie naszych...

Ścisnął boki konia, smagnął go witką i pomknął, znikając w

srebrnym pyle śniegu, sypiącego się spod kopyt gniadego. Odgłos galopu

coraz cichszym echem odbijał się po lesie, za chwilę nie było go już w ogóle

słychać.

- Mamo, co on mówił? Kto wypędza? Gdzie żandarmy? - Zosia z

płaczem szarpała rękę matki.

Ale Bartosowa nie znajdowała już słów. Co taka dziewczynka może

zrozumieć z grozy i niebezpieczeństwa, które nad nimi zawisło? Zarzuciła

toból z chrustem na plecy i szybko ruszyła w stronę domu. Dreptała za nią

zaniepokojona Zosia, zapomniawszy w roztargnieniu zabrać swój węzełek z

nazbieranymi szyszkami. Nie mogła się uspokoić.

- Niemcy... Gestapo... - mruczała cicho do siebie. - To pewno tacy, jak

ci, co nam kury pozabierali... - Wzdrygnęła się. - Nie lubię ich! - Powiedziała

głośno do matki.

- Litości nie mają, ani sumienia... - szepnęła Bartosowa i w myślach

zaczęła sobie powtarzać jak magiczne zaklęcie: A może nie przyjdą? Może i

tym razem nas ominą?

2 - A jednak przyszli...

Już od kilku tygodni krążyły po całej Zamojszczyźnie i sąsiednich

terenach wieści, mrozące krew w żyłach i spędzające sen z powiek

mieszkańców wsi i miasteczek. Opowiadano o planach, jakie knują

hitlerowcy. Mają podobno zamiar wywieźć całą polską ludność z tych ziem i osiedlić na nich Niemców z różnych stron: z Wołynia, Ukrainy, Rumunii, krajów nadbałtyckich. Już w listopadzie 1941 roku utworzono w Łodzi z oddziałem w Zamościu specjalny urząd przesiedleńczy i w sześciu czy siedmiu wsiach pod Zamościem, z których wysiedlono wszystkich mieszkańców, zagospodarowali się Niemcy. To była próba. Generalne natarcie rozpoczęło się teraz, w końcu listopada 1942 roku.

Nie były to więc plotki ani chęć zastraszenia Polaków, jak myślano na początku. Rzeczywistość okazała się o wiele gorsza. Ogółem w dwu okresach: od listopada 1942 do marca 1943 roku i od 23 czerwca do 15 lipca 1943 roku opróżniono z Polaków prawie 300 wsi, wypędzając ponad 100 tysięcy osób w tym około 30 tysięcy dzieci. Jak to robiono i jaki był los tych nieszczęśliwych wygnańców? Nie było to bowiem tak, że po prostu wypędzona ze swej chaty rodzina mogła iść sobie, dokąd chciała.

Znienacka, w nocy lub o świcie gestapowcy i wojsko otaczali wieś, wypędzali z chat całą ludność, nie pozwalając nic ze sobą zabierać, a opierających się zabijali na miejscu. Mężczyzn i starszą młodzież, zdolną do pracy, wywożono w głąb Rzeszy, a kobiety z dziećmi i starych ludzi umieszczano w więzieniach i obozach. Tam odbierano matkom dzieci, nawet całkiem malutkie. Matki wywożono do obozów lub na roboty. Te dzieci, które Niemcom się podobały i odpowiadały ich rasowym wymaganiom, a było ich wiele tysięcy - wywożono do Niemiec i oddawano na wychowanie niemieckim rodzinom. Inne ładowano do towarowych zaplombowanych wagonów i wywożono - albo do obozów, albo na poniewierkę do małych

osiedli i miasteczek w różnych częściach kraju.

O tym wszystkim jeszcze nie wiedziała ludność wsi, w której mieszkała Zosia z rodzicami. Ale już na samą wieść o pogromie w sąsiedniej osadzie ludzie wpadli w popłoch. Kobiety biegały od chaty do chaty z lamentem, nie wiedząc, co robić: uciekać, czy pozostać i czekać - a może nie przyjdą... Tu i ówdzie pakowano tobołki, niektórzy wyprowadzali pozostałe jeszcze bydło do lasu, przestraszone dzieci płakały po kątach lub biegały po wsi, czepiając się matczynych spódnic.

W domu Zosi było stosunkowo spokojnie. Zosia siedziała cichutko w kąciku kuchni, wodząc oczyma za matką, która szykowała kolację.

Bartosowa starała się panować nad sobą, ale i jej leciało wszystko z rąk.

Za oknami zapadał już zmrok, ale cisza zimowego, pogodnego wieczoru pełna była niepokoju.

- Zostaw, zostaw, chodź pokażę ci coś! - wołała Jadźka

Michalakówna, wpadając do kuchni. Pociągnęła za sobą Zosię na dwór.

- Patrz, tam! - wskazała ręką w kierunku, gdzie wzgórza, na których rozpościerała się wioska, przecięte kotlinką malej rzeczki, otwierały widok na dalsze, niżej położone okolice. Ciemne, granatowe niebo w tej stronie pulsowało jasnorożowym blaskiem. Aż gwiazd nie było widać.

- Jakby nad lasem wschodził świt. Tam się pali - szepnęła Jadzia.

Zosia, spojrzawszy na horyzont, nie zatrzymała jednak na nim wzroku. Wlepiała niebieskie oczy w pobliski las, jakby oczekując, że coś wyłoni się z ciemnej, tajemniczej gęstwiny. Ale w lesie panowała cisza.

- Zosia, do domu! Na kolację. Gdzie tam znów biegasz po mrozie? -

rozległo się nawoływanie Bartosowej.

Do stołu siadły same.

- A tato? - zapytała Zosia.

- Przyjdzie trochę później, teraz jest zajęty - odpowiedziała matka, zerkając w stronę drzwi, prowadzących do sąsiedniej izdebki. Tam zebrali się sąsiedzi Bartosa i naradzali się, co robić.

Izdebka była właściwie małym kantorkiem. Tu Michał Bartos załatwiał sprawy spółdzielni, której był kierownikiem. Szanowano go i lubiano. Tu więc też przychodzili do niego nawet starsi gospodarze, żeby zasięgnąć rady albo porozmawiać o ogólnych sprawach. Nic też dziwnego, że właśnie u Bartosa zgromadzili się w momencie trwogi.

- A ja tam mojej ziemi i chałupy nie zostawię! - zaklinał się stary Jędrzej Duda.

- Może jednak byłoby lepiej wyprowadzić się choćby na kilka dni do lasu z kobietami i dziećmiakami - radził jakiś przezorny gospodarz.

- Co, uciekać przed szwabami? - krzyknął inny zawzięcie. - Za nic na świecie. A niech mnie ubiją!

- Jak wyjdziemy, a oni przyjdą, to zajmą wieś. Dla nas powrotu już i tak nie będzie...

- A jak tu z dziećmiakami w zimę po lasach się tulać? Inne wsie może by pomogły, ale i u nich to samo, co u nas.

- Kto chce - radził Bartos - niech idzie do lasu, może tam nasze chłopaki jakoś pomogą, ukryją. A kto chce i ma odwagę, niech zostaje. Jakby co, będziemy się bronić.

- Ba, bronić się, ale czym? Jak?

Paru gospodarzy spojrzęło po sobie porozumiewawczo. Wiadomo, co tam za workami z towarem, pod podłogę leżało w składziku kierownika Bartosa.

- Cóż, trza iść do domu, zobaczyć, co tam się dzieje. Baby całkiem głowy potraciły... - Westchnąwszy ciężko paru gospodarzy podniosło się z ławek i ruszyło ku wyjściu.

- Dobrej nocy!

- Dobrej nocy, ale jaka tam ona będzie, kto ją wie...

Kilku sąsiadów zostało z Bartosem. Gdy zamknęły się drzwi za odchodzącymi, gospodarz podszedł do ściany, coś tam pomajstrował i wyjął ze schowka kilka płaskich paczek.

- Wiecie, co z tym robić.

Oczy obecnych błysnęły groźnie. Z namysłem i ostrożnie rozpakowywali broń, przeliczali naboje.

Wtem do uszu obecnych w izbie doleciał okrzyk, głośniejszy niż gwar niespokojnych kobiecych głosów.

Jak huragan poleciała wieść:

- Żandarmi we wsi!

- A jednak przyszli - syknął z wściekłością Bartos.

- A jednak przyszli - powtórzyły te same słowa zbielełe usta

Bartosowej. Stała jak sparaliżowana.

- Łapcie, co macie pod ręką, i w las! - Bartos wypadł z kantorku do kuchni.

- Za późno - odpowiedziała Bartosowa. - Zostanę z tobą do ostatka.

Na skraju wsi słyhać było coraz głośniejsze krzyki i lamenty. Tupot podkutych butów grzmiał po stwardniałej drodze. Żandarmi, wojsko i gestapowcy okrążyli dookoła wieś niespodziewanie. Pełno ich było po opłotkach i na drodze. Gdzieś padł strzał. W odpowiedzi zaterkotał karabin maszynowy. Głośne echo odbiło się po lesie. Gdzieś zaryczała krowa, gdakały kury, psy wyły wniebogłosy.

- Nie płacz, mała, trzymaj się, bądź zuchem! - rzucił Bartos do córki na pożegnanie i wyskoczył przed dom, a za nim pozostali gospodarze.

- Nie strzelać, dopóki nas nie zaatakują. Spróbujemy przebić się do lasu, do naszych chłopaków do "Visa"... Tędy. - Wskazał ręką gąszcz malin, rosnących za chatą.

"Vis" albo "Filip", czyli Jerzy Meyer, przewodził grupie partyzantów z Batalionów Chłopskich i wiadomo było, że krążył w lasach majątków Zamoyskich, planując odwet na hitlerowcach za wysiedlanie wsi.

Dom Bartosów stał nieco na uboczu, na wzgórzu. Widać stąd było doskonale, co się dzieje w całej wiosce. Wypędzano z domów wszystkich ludzi.

- Nic nie brać! Liegen lassen! - wrzeszczeli pół po polsku, pół po niemiecku na kobiety, które chwytaly toboły. Pozwalali wziąć tylko małe tłumoczki. Na placyku przed domem sołtysa stał stłoczony tłum. Widać go było w świetle bijącym z otwartych drzwi domów i w błyskach reflektorów, którymi żandarmi oświetlali wieś. W tłumie nikt już nie płakał. Ludzie, dołączani do grupy, przestawali rozpaczać. Mężczyźni z rękoma założonymi

za głową, stali bez słowa, stwardniali i zacięci, kobiety tuliły przestraszone dzieci. Żandarmi uganiaли się po stodołach, piwnicach i opłotkach w poszukiwaniu uciekinierów. Paru chłopców, usiłujących przedostać się do lasu, złapano i zawleczono do gromady.

Dotarli też wreszcie do domu Bartosów. Otoczyła go cała grupa esesowców z najeżonymi karabinami.

- Michał... Michał... - szeptała w kółko matka Zosi, stojąc nieruchomo jak skamieniała.

- Mamo, mamo, chcę do taty! - zawodziła Zosia.

Kolba trzasnęła w półprzymknięte drzwi, które otwały się szeroko.

- Mamo, to on! - krzyknęła Zosia dzikim, nieprzytomnym głosem i z całej siły przywarła do matki.

Zdawało jej się, że to ten sam wysoki drab, który chciał jej wydrzeć kokoszkę. Ale tym razem sięgał po Zosię. Za nim majaczyły olbrzymie, groźne sylwetki innych. W świetle dopalającej się naftowej lampy błysnęła złowieszczo stal bagnatów, ponuro lśniły hełmy, pod których cieniem niemal że nie było wieać twarzy. Wdarli się do wnętrza domu i przebiegali go z kąta w kąt, przewracając sprzęty i włamując się do szaf.

- Gdzie mąż? - wrzasnął któryś, widocznie tłumacz albo folksdojcz.

- Nie wiem, nie ma... - wyjąkała Bartosowa.

- Du, komm! Chodź! - jeden z żandarmów szarpnął Zosię.

- Nie! Nie! Nie chcę! - Dziewczynka zaparła się nóżkami.

Drugi chwycił za ramię matkę Zosi. Ale Bartosowa silnym, energicznym ruchem strząsnęła i odepchnęła jego dłoń, za jedną rękę wzięła

Zosię, w drugą ujęła mały tobolek z bochenkiem chleba i skrawkiem słoniny i wyprowstowana, przestąpiła próg chaty. Gdy schodziły ścieżką ku głównej drodze, rozległ się za nimi strzał. Jeden, drugi, potem cała seria. Rozprysnął się z ogłuszającym hukiem granat. Zosia obejrzała się. Cały dom widać było w rozbłyskach wystrzałów. Niemcy przyklękli za węglem i strzelali w sad za domem. W malinowe zarośla, gdzie Zosia tak lubiła buszować latem.

Gdy dołączono matkę z Zosią do tłumu sąsiadów, przywitały je przerażone spojrzenia.

- Ruhe! Spokój! - krzyknął gestapowiec, gdy jedna z kobiet chciała zbliżyć się do Bartosowej i o coś zapytać.

Tłum zakolysał się. Oblawa wracała z chat, zionących otwartymi drzwiami. Prowadzono jeszcze pojedyncze osoby, okładając je kolbami.

Rozkazy wydawał młody oficer o zawziętej, złej twarzy i zimnych, jakby nie widzących nikogo oczach. Zaczęto dzielić gromadę. Na jedną stronę odsunięto mężczyzn i załadowano ich do ciężarówek. Osobno ustawiono kobiety, dzieci i starych ludzi. Kilku gospodarzy brakowało, między innymi Jędrzeja Dudy, który przysięgał, że nie pozwoli się wypędzić ze swojej ziemi. Czy pozostali już na zawsze w swoich chatach, broniąc ich do ostatka, czy udało się im przedrzeć do lasu?

Kobiety z dziećmi i starych ludzi ustawiono w szeregu w otoczeniu żandarmów i pochód ruszył. Niektórzy konwojenci prowadzili psy na smyczy i gdy tylko ktoś zbaczał z drogi, psy rzucały się na niego z ujadaniem, szczerząc ostre, białe kły. Niesamowity był to pochód. Dookoła ciemna noc, przenikający do kości wiatr, pod nogami miejscami lód, a

miejscami rozdeptane przez wiele stóp grząskie błoto. Zosia z początku dreptała dzielnie koło matki, ale po pewnym czasie zaczęło jej już brakować sił. Potykała się, raz nawet upadła. Konwojent szturchnął ją kolbą, a nad sobą dziewczynka dojrzała rozwartą, groźną paszczę wielkiego psa.

Zerwała się na równe nogi z krzykiem. Musi być "zuchem", jak powiedział na pożegnanie ojciec.

- A dokąd oni nas prowadzą, mamó? - spytała cichutko.

- Nie wiem, córeczko...

Ktoś w gromadzie mruknął:

- A do Zamościa podobno.

Zosia była kiedyś z ojcem w Zamościu. Jechali wtedy wozem chyba godzinę i dziewczynka pomyślała, że to nie tak daleko. Ale co innego jechać w dzień wozem, zaprzężonym w dobrego konia, a co innego wlec się zimową nocą. Ktoś upadł, ktoś zasłabł, kilka nieruchomych postaci pozostało w przydrożnym rowie.

- Mamó, to babcia Wójcikowa. Czy ona odpoczywa? Może przysiadłybyśmy w rowie.

- Ona już nie żyje, Zosiu. Słyszałaś, żołnierz do niej strzelił.

- Nie żyje... - ze zdumieniem i przestraczeniem powtórzyła cicho Zosia.

Taka śmierć była dla niej jeszcze niezrozumiała.

- A dlaczego on to zrobił?

- Bo ona nie mogła iść dalej! - odpowiedziała twardo Bartosowa.

Przez całą drogę do Zamościa pozwolono im raz tylko przysiąść dla odpoczynku. Dopiero w południe następnego dnia zamajaczyły przed nimi

zarysy miasta. Ludzie na ulicach przyglądali się stopniałej już gromadzie ze łzami w oczach, ale nikomu nie pozwolono podchodzić do prowadzonych, ani podać im kubka wody czy kawałka chleba.

Gdy zatrzęsnęła się za nimi z ponurym hukiem brama przejściowego obozu przesiedleńczego, Bartosowa i Zosia znalazły się w zbitym tłumie takich samych jak one wysiedleńców. Zmarznięci i ledwo trzymający się na nogach, twarze mieli zapłakane, przerażone, albo całkowicie oziębiałe, nagle jakby postarzałe.

Wepchnięto całą gromadę do baraku, na którym widniała wielka cyfra 2. Nie było tam wcale cieplej niż na dworze. Ani prycz, ani sienników.

Wszyscy porozkładali się na brudnej podłodze w niesamowitej ciasnocie.

Bartosowa i Zosia przytuliły się do siebie w jakimś kąciku obok rodziny Michalaków.

- Mamo, jeść mi się chce... Bardzo - szepnęła cichutko Zosia. Prawie już zapomniały, że od wielu godzin nie miały nic w ustach.

Matka oderwała kawałek chleba z bochenka, który zabrała z domu w tłumoczku, i podsunęła Zosi kawałeczek słoniny.

- Masz, musisz odgryźć, bo noża nie mamy.

Sama zadowolila się kromką chleba i łykiem wody z kubka, którą gdzieś zdobyła Jadzia Michalakówna.

Tak minęło kilka dni w ciasnocie i niesamowitym zaduchu bez jedzenia i jakiegokolwiek pomocy lekarskiej. Starzy ludzie umierali, dzieci chorowały.

Zosia zaczęła się drapać aż do krwi. To były wszy. Z rozdrapanych ran porobiły się wrzody. Chleb i słonina, zabrane z domu, zostały już zjedzone -

Bartosowa nie miała sumienia, by odmówić choć okruszyny sąsiadom, którzy w popłochu nic nie zabrali.

Po paru dniach kilku gestapowców wcisnęło się do baraku i zaczęło po nim krążyć, nie robiąc sobie nic z tego, że deptą po ludziach. Chodziło im o dzieci. Wybierali te silniejsze i zdrowsze i wyprowadzali, mimo krzyku dzieci i płaczu matek. Zosię też oderwali od Bartosowej. Dziewczynka miała już wtedy gorączkę i nie bardzo wiedziała, co się z nią dzieje. W osobnym baraku grupa hitlerowców przyglądała się jej uważnie, ważyła, mierzyła, opisywała, zadawała jej jakieś pytania, na które Zosia nie umiała odpowiedzieć. W końcu jeden z Niemców przez tłumacza oświadczył jej, że pojedzie do Niemiec i że to dla niej wielki zaszczyt. To jeszcze dotarło do świadomości półprzytomnej dziewczynki. Zaczęła krzyczeć:

- Nie! Ja chcę do mamusi, do taty, do domu!

Ludzie w czarnych mundurach wybuchnęli śmiechem.

Takich dzieci jak Zosia były dziesiątki, potem setki, a wreszcie tysiące.

Gdy Zosia znalazła się z powrotem w "swoim" baraku, nie zastała już tam matki. Nie było też Michalakowej. Obie uznano razem z wieloma innymi kobietami za zdolne do pracy i dołączono do transportu, który miał być skierowany do Rzeszy niemieckiej na roboty w fabrykach zbrojeniowych i gospodarstwach rolnych.

Zosi została już tylko Jadzia Michalakówna. Obie dziewczynki przytuliły się do siebie i gorzko zapłakały. Wśród tysięcy ludzi, po stracie swych matek, poczuły się, jak gdyby były zupełnie same na świecie.

Zdarza się i szczęście w nieszczęściu. Choroba, której początki

odczuwała już Zosia podczas badań komisji, uznającej, czy dziecko nadaje się do zniemczenia, zaatakowała ją teraz w tempie piorunującym. Gdyby był na miejscu jakiś lekarz, może rozpoznałby, że to ciężki przypadek odry. Ale żadnego lekarza nie było, sąsiadki odsuwały się, o ile to było w tej ciasnocie możliwe, chociaż ich dzieci też chorowały, i na dyfteryt, i na tyfus. Jadzia mogła Zosi przynieść tylko od czasu do czasu kubek lury, którą z kotła dawano co kilka dni. Jedzenia już żadnego nie miały.

Ale ta choroba uratowała Zosię. Gdy przyszli po nią, żeby zabarać do transportu na wywiezienie do Niemiec, gestapowiec na widok zapadniętej, rozpalonej twarzyczki, nieprzytomnych oczu i pokrytego strupami ciała, machnął tylko ręką i poszedł sobie. Ta to już długo nie pożyje...

Teraz sporą grupę dzieci, tych najbardziej chorych i słabych, przeniesiono do tak zwanych "końskich" baraków. Po prostu były tu dawniej stajnie. Dzieci leżały w błocie i gnoju, bo nie było nawet podłóg ani garści słomy. Robiło się coraz zimniej.

Minęło znów kilka dni i dzieci z "końskich" baraków, a wśród nich Zosię i Jadzię załadowano do pociągu. Były to towarowe, bydłące wagony. W tym transporcie było około tysiąca dzieci od malutkich, paroletniech do kilkunastoletnich. Było też kilkanaście starych kobiet, które już zupełnie opadły z sił. Zasunięto z hałasem wielkie jak wrota drzwi, stuknęły sztaby i pociąg ruszył.

Niektóre dzieci, stłoczone jedno na drugim, krzyczały i płakały.

Większość miała gorączkę i chciało im się pić. Inne znów tak osłabły z głodu, że już w ogóle się nie odzywały i nie wiadomo było, czy jeszcze żyją. Pociąg

toczył się wolno, całymi godzinami. Czasami przystawał gdzieś w polu.

Wtedy słychać było stuk podkutych butów na zewnątrz, na zamrożonej ziemi i szcękala sztaba, rozchyłały się zasuwane drzwi. Do wnętrza wagonu przenikało trochę świeżego powietrza, ale i zarazem mróz, który sięgał już do 20 stopni. Konwojenci obrzucali baczynym spojrzeniem gromadę małych więźniów i nieomylnie sięgali po te ofiary, które już rozstały się z życiem. Pewnego dnia zabrano Zosi Jadzię. Trzymała się jej kurczowo, nie chciała wierzyć, że jej przyjaciółka już nie żyje. Dygotała ze strachu, gdy w szczelinie drzwi pojawiały się postacie w zielonych mundurach i rozlegały się ich chrapliwe głosy. Aż któregoś dnia pociąg stanął na dłużej. Zestaw bydłecych wagonów, załadowanych prawie tysiącem dzieci, zatrzymał się na małej stacyjce Stoczek.

Do półprzytomnej Zosi zaczęły dobiegać jakieś dziwne odgłosy.

Tupotanie nóg, niepodobne do przerażającego stukotu butów żandarmskich, jakieś rozmowy, prowadzone cicho po polsku, manipulowanie przy sztabie, na którą zamknięte były zaplombowane drzwi wagonów. Wreszcie drzwi rozsunęły się. Na dworze było bardzo zimno. Zamajaczyły mundury kolejarskie. Kolejarze zaczęli wyjmować z wagonu dzieci, które były najbliżej. Ktoś powiedział:

- Na razie więcej nie damy rady wziąć...

To kolejarze wykradali dzieci z transportu.

Odeszli i drzwi się zasunęły, ale znów przez szparę zaczęły dobiegać urywki rozmów:

- Komendant kazał do rana opróżnić wagony.

- No tak, zestaw potrzebny im dla następnego transportu.

- Ale gdzie my te wszystkie dzieciaki umieścimy?

- Podobno jest ich dziewięćset.

- To prawie tyle, co mieszkańców w Stoczku...

- Ani tu co jeść nie ma, ani lekarza, a patrzcie, ile chorych. No, ale nie ma rady. Trzeba je brać. Musimy. Hitlerowcy gotowi je powystrzelać.

Pokładziemy je w szkole, po domach, no i gdzie się da.

- Które mogą iść, niech idą. Chore pokładziemy na wozy. No i są dwie ciężarówki.

Gdy rozsunęły się znów drzwi, Zosia zobaczyła grupę ludzi i kolejarzy.

Opróżniali wagony pod nadzorem policjantów. Zosię położono na

wyścielonym słomą wozie, na którym było już z pięćdziesięcioro dzieci. Wóz

trząsł się na wyrwach w bruku i Zosi zdawało się, że droga nie ma końca. Z

zimna skostniała, mróz tego dnia sięgał trzydziestu stopni. Miała gorączkę i

strasznie chciało się jej pić. Wreszcie wóz stanął i ktoś wniósł Zosię do

pomieszczenia, w którym pełno już było dzieci, płaczących i jęczących albo

leżących cicho bez ruchu. Ktoś położył Zosię na brzegu siennika obok

kilkorga innych.

- Pić! - jęknęła Zosia.

Ktoś podał jej kubek gorzkawego, lecz ciepłego płynu. Ktoś inny

wsunął w brudną rączkę skibkę chleba. Noc minęła Zosi pełna niepokoju,

majaczeń, jakichś strasznych snów.

Następnego dnia zdjęły Zosię z siennika jakieś ciepłe, troskliwe ręce i

zdała sobie sprawę, że to ramiona kobiece. W pewnej chwili pomyślała, że to

może mamusia przyszła po nią, żeby zabarać do domu, a wszystko, co się działo dotychczas, było tylko złym snem. Ten ktoś władował Zosię i jeszcze ze trzydzieścioro dzieci, wśród nich i półtoraroczne maleństwa do stojącej nie opodal ciężarówki i przykrył ciepłym kocem. Zaciągnięto plandekę i ciężarówka ruszyła. Trochę trzęsło, ale Zosia miała uczucie, że już teraz nic złego się nie dzieje. W każdym razie nie było zielonych mundurów, nie było słyhać chrapliwych głosów, nie spadała znienacka na ramię twarda kolba karabinu.

Po pewnym czasie ciężarówka stanęła i rozsunęła się plandeka. I znów dziewczynce wydało się, że to jakiś dziwny sen. Dookoła było miasto, ulica, wysokie domy, a samochód otaczał tłum ludzi. Zosia nigdy jeszcze nie widziała ani takiego dużego miasta, ani tak ubranych ludzi. W tłumie panowało zamieszanie, jedni płakali, inni wrzucali do ciężarówki jedzenie i słodycze. Ale osłabione rączki przeważnie chorych dzieci nie miały nawet siły, żeby sięgnąć po te dary.

Zosia siedziała przykucnięta z samego brzegu ciężarówki. I nagle usłyszała tuż przy sobie cichy szept:

- Psst... Ty, mała, chodź no tu...

Popatrzyła, kto to do niej się odzywa, i napotkała spojrzenie bystrych, brązowych oczu chłopca. Mógł mieć około piętnastu lat. Na głowie miał zawadiacko zsuniętą na bok cyklistówkę, a pod pachą paczkę gazet.

- No, chodź do mnie...

Zsunęła się trochę, a on zręcznie złapał ją w objęcia i zaczął szybko przeciskać się przez tłum. Gdy zrozumiał, że Zosia nie bardzo może iść,

najpierw wziął ją na barana, a potem gwizdnął przeciągle. Zatrzymał się koło nich przy chodniku śmieszny wózek na trzech kółkach z siedzeniem z przodu.

- Hej, Wacek, podwieź no mnie do domu z narzeczoną - zawołał wesolo chłopiec z brązowymi oczyma, w których pobłyskiwały wesole iskierki.

- Sie robi! - odpowiedział drugi chłopak, trochę starszy, kręcący zawiadaczająco pedałami roweru, przymocowanego z tyłu do tego dziwnego wechikułu.

- Co to? - szepnęła trochę zalekniona Zosia.

- To riksza. Nie widziałaś jeszcze takiego pojazdu? Japończycy to wymyślili. Tym się teraz jeździ po Warszawie. Przecież z osobą, co tak wygląda, tramwajem nie pojedę. Zaraz by nas szkopy zgarnęły.

- To ja jestem w Warszawie? - zdołała jeszcze wyjąkać Zosia i straciła przytomność.

3 - Jędrzek i jego koledzy

- Kurier Nooo... Nooowy Kurier Warszawski... Kurier! - wykrzykiwali gazeciarze, pędząc z Alej Jerozolimskich w kierunku Marszałkowskiej.

Wszyscy biegli jak najszybciej, żeby znaleźć się w najbardziej ruchliwym miejscu Warszawy. Stał tam wtedy dworzec Główny, a właściwie to, co z tej nie dokończonych przed wojną budowli zostało. Niemniej jednak dworzec był, czynny, tu przyjeżdżały i stąd odchodziły pociągi z różnych stron.

A kto to byli gazeciarze? Nie było takich kiosków z prasą, jak dziś, gdzie można kupić i gazety dla dorosłych, i pisemka dla dzieci. W

Warszawie wychodziła zresztą tylko jedna gazeta, "Nowy Kurier Warszawski", wydawana przez władze okupacyjne. I właśnie po nią zgłaszali się do hurtowników czyli "majdaniarzy" kilkunastoletni chłopcy, brali plik gazet pod pachę i pędzili na miasto, żeby je sprzedać i w ten sposób zarobić na życie - swoje, a czasem i rodziny. Była to zgrana paczka bystrych, dzielnych chłopaków.

Na przystanku naprzeciwko Dworca Głównego tłum ludzi zziębniętych i zniecierpliwionych oczekiwał na upragniony tramwaj. To był przecież jedyny prócz dorożek i rikszy środek komunikacji. Samochodów Polakom nie wolno było mieć, autobusy nie kursowały.

- Zobacz, widziałeś kiedy taką choinkę? - trącił Jędrka jeden z kolegów_gazeciarzy, wskazując na tramwaj, który nadjeżdżał, dzwoniąc gwałtownie, oblepiony ze wszystkich stron pasażerami. Tłum rzucił się ku niemu i nie zważając na pędzące jezdnią niemieckie samochody, szturmował wszelkie możliwe do uczepienia się pozycje. Czasem zwisało po kilka osób, przyczepionych jedna do drugiej, a dobre były i bufory jako wygodne miejsce do siedzenia. Więc potocznie warszawiaczy nazywali tramwaje "choinkami".

Jednocześnie przyskoczyli do tramwaju żandarmi, jakby spod ziemi wyrosli. Z krzykiem spychali ludzi kolbami ze stopni.

- Ale się dziś rzucają! co ich znów ugryzło? - mruknął Janek do przyjaciela.

Może to te nowe podarunki angielskich samolotów dla kochanych berlińczyków... Tamci ich łupią, a oni nam szkołę dają - zakpił Jędrak.

- Dużo już dziś tego szmatławca sprzedałeś? - spytał Janek,

potrzęsając plikiem gazet.

- E, skąd... Bo to chce kto takie świństwo kupować? Myślisz, ludzie nie wiedzą, że to pan Hitler specjalnie dla nas taką gazetkę po polsku wydaje, żeby nam w głowach przewracać?

Ale Janek był innego zdania.

- Kupować, kupują. Tylko trzeba wszystko na odwrót czytać. Jak piszą, że aliantów tłuką, znaczy, że sami zdrowo oberwali. No i po Moskwie już mieli spacerować, a tu guzik!

- No, wojna wojną, ale trzeba się trochę ruszyć. W domu ani grosza, zimno jak w psiarni. Muszę drzewa kupić. Matka znów kaszle, że już słuchać nie mogę.

- Wiesz co, Jędrzek, ja wczoraj na ulicy z fury trochę węgla podkradłem razem ze Staśkiem, mogę ci dać z kubelek.

- Co mi tam będziesz dawać - odburknął Jędrzek - sam nie masz za wiele, a Kryśka i Jaśka muszą mieć ciepło. Takie chuchra...

- Oj, co prawda, to prawda. Kłopot mam z tymi małymi, od kiedy matkę na Pawiak wzięli. Za głupi poleć słoniny! Teraz jak jedna idzie po chleb, to druga w domu siedzi, bo jedyna para butów w chałupie i to dziurawe.

- Słuchaj, szczekaczka coś gada...

Chłopcy przyłączyli się do ludzi, gromadzących się w ponurym milczeniu dookoła słupa z głośnikiem radiokowym, który kilka razy dziennie chrapliwym głosem podawał wiadomości, mające przekonać

ludność Warszawy o nieuchronnym zwycięstwie Hitlera nad światem.

Uwagi, jakie po cichu, a czasem głośno i śmiało padały z ust słuchaczy, świadczyły niezbyt pochlebnie o skuteczności tej hitlerowskiej propagandy.

Warszawiacy dobrze wiedzieli, co myśleć o tych wszystkich kłamliwych wiadomościach.

Tym jednak razem troska malowała się na twarzach ludzi zgromadzonych pod głośnikiem zwanym "szczekaczką".

Głos z radia mówił:

-

Władze

hitlerowskie

stanowczo

zaprzeczają

rozsiewanym

nieprawdziwym pogłoskom o rzekomym transporcie dzieci polskich

wywiezionych z Zamojszczyzny, który miał jakoby przybyć do Warszawy.

Pogłoska o wywożeniu dzieci polskich jest kłamstwem. Kto będzie usiłował

szerzyć nadal niepokój wśród ludności przez tego rodzaju opowiadania,

zostanie poddany surowej karze więzienia względnie w poważnym

wypadku - karze śmierci.

- Hm, Janek, słyszałeś o tych dzieciach?

- Tak. Wczoraj mówił mi Stasiek. To prawda. On o tym wie od swego

stryja kolejarza - ponuro odpowiedział Janek.

Jędrrek tylko zaklął soczyście.

Cała Warszawa żyła w tych mroźnych dniach surowej zimy pod wrażeniem wieści o wywożeniu dzieci z Zamojszczyzny i sąsiednich województw. Zdenerwowanie i podniecenie ludności dosięgło niebywalej granicy. Okupanci to czuli. Szaleli też coraz bardziej. Auta żandarmerii z ogłuszającym rykiem syren mknęły częściej niż zazwyczaj ulicami miasta, siejąc postrach wśród przechodniów. Wzmogły się aresztowania. Podziemne organizacje polskie wydały rozkaz jak najszybszego sprawdzenia tych ponurych wiadomości.

Meldunki potwierdziły groźną prawdę. Przez wiele już stacji przejechały pod silną eskortą żandarmów zaplombowane towarowe pociągi, a z wagonów dobiegały płacze i krzyki uwięzionych dzieciaków.

Podpatrzyli to kolejarze i ludność mijanych miast i wsi. Lada dzień transporty miały przejeżdżać przez Warszawę, udając się gdzieś na zachód.

Warszawiaków ogarnął szal. Poczucie strasznej krzywdy zamieniło się w szeroką akcję pomocy dla skrzywdzonych dzieci. Spróbowano nawet wysłać delegację do władz hitlerowskich, które jednak wszystkiemu zaprzeczyły. Mimo to rozpoczęto powszechną zbiórkę pieniędzy, odzieży i żywności. Tysiące rodzin zgłaszało chęć przyjęcia dzieci do domu i zaopiekowania się nimi. W końcu już nawet nie kryto się przed okupantem.

W domach, w biurach, w fabrykach, na ulicach i w tramwajach nie mówiono o niczym innym, jak o dzieciach.

Mali gazeciarze również zmobilizowali całą swoją dzielną, ruchliwą armię. Postanowili wysledzić tajemnicze transporty.

Dni 7, 8 i 9 stycznia pełne były napięcia. Krążyły różne wiadomości,

które wkrótce okazywały się nieprawdziwe. Rozniosła się wieść, że transporty z dziećmi znajdują się na którymś z warszawskich dworców.

Ludzie spieszyli tam tłumnie, mimo trzydziestostopniowego mrozu.

Robotnicy wbrew zakazowi hitlerowskiemu, ciężarówkami przyjeżdżali na stacje, by zabrać dzieci. Ale transportów nie było.

- A więc to dziś... - drżąc z przejęcia szeptali do siebie chłopcy 8 stycznia, wracając po sprzedaniu gazet.

- Dziś...

Komendę objął najstarszy z nich, Stach, którego stryj pracował na kolei. Podzielił chłopaków na małe grupy. Kilka z nich ruszyło w stronę

Dworca Wschodniego, inne zaś na wszelki wypadek miały obstać

Dworzec Wileński.

Mróz ścinał oddech, gdy biegli mostem Poniatowskiego, a potem ciemną Zieleniecką i Targową, gdzie powoli zamierał już ruch, choć wieczór dopiero zapadał. Okna zgodnie z nakazem były zaciemnione i żaden promyk światła nie rozjaśniał drogi. Bliska godzina policyjna kazała przechodniom przyspieszać kroku. Po tej godzinie, w zimie wcześniejszej, przeważnie koło siódmej wieczorem, latem nieco późniejszej, nikomu bez specjalnej przepustki nie wolno było poruszać się po ulicach.

Niby myszkując od niechcienia, zaglądając tu i ówdzie, chłopcy kręcili się po stacji, niedbale trzymając pod pachą ostatnie nie sprzedane gazety.

- Czego tu! Rrrraus! wynoś się! Pewnie chcesz coś ukraść! - warknął jeden ze strażników kolejowych, tak zwany bahnschutz.

- Phiiii... Co też tu można gwizdnąć - mruknął pogardliwie Jędrrek, do

którego odnosiła się ta uwaga. - A może pan gazetkę kupisz? -

zapropozował łobuzersko.

- Geh, geh, idź sobie!

Jędrak zakręcił się na pięcie i wyskoczył na peron, korzystając z chwilowej nieuwagi kontrolera.

- Ej, ty, dokąd tam! - wołał za nim kontroler, ale Jędrak tymczasem skrył się między wagonami, stojącymi na szynach. Było już tam paru chłopców, przyczajonych w ciemnościach.

- Gdzie to ma być?

- E, chyba nie tu, gdzieś na bocznych torach.

- A może nie zatrzymali się wcale w Warszawie?

- Mieli się zatrzymać - mruknął Stach. - Kolejarze w Otwocku

podstuchali, jak obstawa mówiła, że będą zmieniać straż, bo zbrzydła im ta cholerna robota.

- Pst, cicho, ktoś idzie...

Mignęła przyciemniona kolejarska latarka.

- Hej, kto się tam włóczy?

- To my, stryjku, ja i moje chłopaki... - Stach rozpoznał znajomy głos.

Wysoka postać w kolejarskim mundurze zbliżyła się, żeby przyjrzeć się chłopcom z bliska.

- A, to wy... Trzeba dziś uważać, bo gdyby żandarmi kogoś złapali, to w łeb. Ale na nic wasza wyprawa, Stasiak. Dzieci tu nie ma. Niemcy tak się nastraszyli tego szumu, co się zrobił w Warszawie, że cały duży transport skierowali do Stoczka.

- No to my pojedziemy do Stoczka! - zapalczywie zawołał Stach.

- Jeszcze czego! TAM żandarmów jak mrówek. Ustrzelą cię jak wróbla i co ja twojej matce powiem? Marsz do domu, ty i twoja ferajna!

Chłopcy wracali przygnębieni. Przez całą drogę rozmawiali, jak się tu dostać do tego Stoczka. A może jeszcze jakiś transport wyląduje w Warszawie? Prawdę mówiąc, nie bardzo wiedzieli, co by zrobili z tymi dziećmi, jeżeli nawet udałoby się im wykraść je z wagonu.

Następnego dnia trzeba było znów gnać po gazety, chociaż młode głowy zaprzątnięte mieli zupełnie innymi sprawami. Ale myśleli i działali także inni ludzie. Poprzedniego dnia w małej kawiarence przy ulicy Wspólnej cicho naradzały się dwie kobiety. Jedna z nich była współwłaścicielką kawiarenki, żoną oficera przebywającego w obozie jeńców wojennych. Nazywała się Ludmiła Sławińska. Druga, jej przyjaciółka, Maria Fandri, pracowała w "Społem" - przyszła zaś nie na towarzyskie ploteczki, ale na pilne wezwanie.

- Czy to aby prawdziwa wiadomość? - upewniała się u swej rozmówczyni.

- Ależ tak. Ta kobieta, która przyjechała ze Stoczka i mówiła mi o tym, ma dokładne informacje. Malutkie dzieci od półtora roku do mniej więcej dwunastu lat. Są w okropnym stanie. Chore, głodne, przemarznięte, obdarte. Zrób coś, działaj natychmiast, błagam cię...

W "Społem" też już wiedzieli o tej sprawie. Burmistrz Stoczka, miasteczka liczącego wtedy niespełna 3 tysiące mieszkańców, zaalarmował swego kuzyna, pracującego w Warszawie "Społem". Malutka, wyniszczona

mieścina nie mogła ofiarować prawie żadnej pomocy ponad tysiącu dzieci i starców. Jeszcze tego samego dnia, 9 stycznia 1943 roku, pani Fandri otrzymała od kierownictwa "Spółem" ciężarówkę i 40 koców i natychmiast pojechała do Stoczka. W godzinach popołudniowych przywiozła do Warszawy 24 dzieci najbardziej chorych i potrzebujących pomocy. Dzieci miały być ulokowane w szpitalu na Czerniakowskiej, ale, jak wiadomo, szpitale warszawskie były pod nadzorem okupanta. Mogliby odebrać dzieci i odesłać z powrotem do Stoczka. Zawieziono więc gromadkę na razie do siedziby Rady Głównej Opiekuńczej przy ulicy Marszałkowskiej 91.

Rozsunięto plandekę na ciężarówce...

Jędrak, właśnie wtedy biegnący Marszałkowską z resztką gazet, natychmiast swoim bystrym wzrokiem dostrzegł, że coś się dzieje. Koło jednego z gmachów stała ciężarówka, a dookoła gromadził się coraz gęściejszy tłum. Podbiegł i jak piskorz przecisnął się przez ciżbę do uchylonej plandeki. Na tle platformy, pełnej prawie nieruchomych dziecięcych ciał, tuż z brzegu, spoza uchylonej plandeki, spojrzały na niego wielkie, pełne cierpienia i bólu bardzo niebieskie oczy małej dziewczynki. Jakieś brudne łachmany okrywały wychudzone ciałko. Nie namyślał się ani chwili. Szepnął:

- Psst... Ty, mała, chodź no tu...

Tak odbyło się porwanie Zosi Bartosówny przez Jędrka Martyniaka, warszawskiego gazeciarza i tak rozpoczęło się ich wspólne życie, a pani Fandri nie mogła się potem doliczyć: ile to w końcu przywiozła dzieci ze Stoczka: 24 czy 23? Nikt nie zauważył i nie mógł wyjaśnić, gdzie i w jaki

sposób znikła mała dziewczynka z takimi niebieskimi oczami i jasnymi włosami, które kiedyś mama zaplatała starannie w warkoczyki, a teraz tworzyły na główce nieporządną brudną szopę.

4 - Nowe życie Zosi

Pojawienie się Jędrka z Zosią w domu przy ulicy Wolskiej wywołało niemalże zamieszania i zainteresowania. Zanim przebrnął przez podwórko - mieszkał bowiem z matką w małej, dość nędznej, poprzecznej oficynie - już ludzie wyglądali przez okna, kobiety wybiegały z mieszkań, żeby przyjrzeć się, co to takiego niesie Jędrak na rękach. Rozlegały się głośnie szepty, wymiana zdań, komentarze. Niektóre kobiety płakały.

- Ani chybi, wysiedlone.

- Psst, cicho, jeszcze ktoś usłyszy.

- Ale skąd on ją wziął?

- A co komu do tego. Wziął i już. Pomóc trzeba.

- Patrzcie, jakie chucherko.

- Chyba chora.

Mama Martyniakowa tylko ręce załamała i zawołała:

- Jezus, Maria! - gdy Jędrak pojawił się na progu ich mieszkanka z dzieckiem na ręku. Nie pytała, ani skąd je wziął, ani kto to, bo i tak wiedziała, co jej synowi po głowie chodziło i już poprzedniego dnia wieczorem rozmawiali o tym, jakby to było, gdyby wzięli do siebie takie choćby jedno wysiedlone dziecko. Mieszkanie ich stanowiła jedna izba na poddaszu, mieszcząca jednocześnie kuchnię. Warunki były bardzo prymitywne, jak to kiedyś na starej Woli bywało. Wodę trzeba było

przynosić w wiadrze ze studni na podwórzu, ubikacja też mieściła się w drewniaczku na podwórku. Ale nie tylko te niewygody miała na myśli Martyniakowa, gdy niepokoila się pomysłem Jędrka. Żyło się im bardzo ciężko. Nieraz bieda zaglądała na ich poddasze. Byli sami, we dwoje, bez rodziny. Ojciec Jędrka, robotnik w jednej z wolskich fabryk, uległ wypadkowi przy pracy i zmarł. Jędrak był wtedy malutki. Matka zarabiała sprzątniem i praniem u zamożniejszych lokatorów z frontu kamienicy, ale Jędrak nie należał do tych dzieci, które czekają tylko, co też im mama na talerz nałoży. Zresztą dzieci warszawskie szybko dorosłały w wojennych warunkach. Umiały sobie radzić. Na początku wyszukał sobie kilka sklepów, w których pomagał sprzątać i przenosić towatr, za co przynosił do domu trochę kartofli, to parę jabłek, albo i nieco pieniędzy. Łapał się za każdą robotę. Nauczył się majsterkowania i gdy tylko komuś z sąsiadów kran się zepsuł, żelazko przepaliło, szyba stłukła, nie trzeba było daleko szukać tego, kto zaradzi biedzie. No a potem, kiedy skończył czternaście lat, skrzyknął się ze znajomymi chłopakami i został gazeciarzem. O nauce, o szkole, oczywiście już nie było mowy, a gdy Martyniakowa lamentowała, że na nieuka wyrośnie, pocieszał ją:

- To nic, mamó. Skończy się wojna, to jeszcze zdążę wszystkie rozумы pozjadać!

Nie dał po sobie poznać, że żał mu szkoły, że nęci go wiedza. Nie chciał, żeby matka się martwiła. Pożyczał sobie od różnych znajomych i kolegów książki i czytał często wieczorami przy lampce naftowej albo migającej karbidówce, bo Niemcy co i rusz wylączali światło elektryczne całymi

dzielnicami.

No i teraz, mimo wszelkich przeciwności życiowych, przybył im niespodziewanie nowy członek rodziny.

- Siostrzyczka! Hip, hip, hura! Mam siostrzyczkę - Jędrak podśpiewywał zawadiacko, kręcąc się z małą po izbie.

- Ty wariacie! Co ty z nią wyprawiasz? Nie widzisz, że ledwo dycha?

Niech no ja ją obejrzę... Posadź ją tu na stolku, na łóżko nie kładź. W tych jej lachmanach pewno pełno robactwa. Machnij się lepiej po wodę i postaw saganek na piecu. Trzeba ją wykąpać.

Rzeczywiście, lachmany Zosi natychmiast powędrowały do ognia, a sama Zosia do balii.

W pewnym momencie, namydłona tak gęsto pianą, że tylko oczka jej było widać, Zosia zaczęła chlipać.

- Co ci to, dziecko? Coś zabolalo? Zapieкло? Może cię niechcący uraziłam? - zaniepokoiła się Martyniakowa.

- Nie... nie... - szepnęła Zosia. - Tylko tak mi dobrze... - Nawet nie protestowała, gdy ostre nożyczki pozbawiły ją splątanych włosów.

Poczuła się tak, jak gdyby ta gorąca woda i rzeczywiście nieco szczypiące mydło zmywały z niej cały brud i koszmar tego ostatniego miesiąca, bo tyle już czasu trwała tułaczka dziewczynki.

Ale Martyniakowa tylko siąknęła nosem. Twarda i dzielna kobieta z Woli niełatwo poddawała się czułościom. Posłuchała przyspieszonego oddechu Zosi, popatrzyła na błyszczące gorączką oczy, dotknęła obmytego już czola i rzekła:

- Jędrzek! Skocz teraz migiem po doktora Zawadzkiego. Powiedz mu co i jak.

Doktor Stefan Zawadzki mieszkał w części frontowej posesji. Wysoki, barczysty, trochę tęgawy i zawsze pogodny, był uwielbiany nie tylko przez sąsiadów, ale i przez wszystkich pacjentów. Wśród nich nie brakowało i takich, do których mówił:

- Dobrze, dobrze... Zapłaci mi pani przy następnej wizycie. A za te pieniądze niech pani kupi lekarstwa, które zapisałem.

Gdy Jędrzek biegł przez podwórko, zaczepiało go mnóstwo osób.

Wszyscy pytali o "tę małą", a dzieci z całej kamienicy patrzyły na niego z podziwem jak na bohatera. Musiał tłumaczyć, że spieszy się, biegnie po doktora, bo "mała" jest chora.

A już najosobliwsza okazała się rozmowa z dozorcą domu, panem

Franciszkiem, zrzędą i mrukiem, uzbrojonym w wielką miotłę, którą po raz chyba dziesiąty zamiatał sień domu, chociaż nawet jednego niedopałka najbystrzejsze oko by nie dostrzegło. Trzymał zaś tę miotłę sztywno, jak żołnierz karabin podczas musztry. Bo też bywała bronią i postrachem niesfornej podwórkowej bandy dzieciaków. Umiała poskramiać wszelkie psoty i rozróbki, do jakich jest skory ten mały ludek. Czuli więc respekt przed panem Franciszkiem, choć i droczyć się z nim lubili. Zwłaszcza wyśpiewując mu pod oknem stróżówki niemądrą, a starą jak świat piosenkę: "Do ciebie leci szufelka śmieci z trzeciego piętra od stróża... A ty myślałeś, że to ode mnie, a to z drugiego podwórza..." Obrażał się wtedy i udawał, że nie słyszy tych popisów. Teraz zaczął chłoca.

- Poczekaj no chwilkę, Jędrek...

- Kiedy ja...

- Tak, tak, do doktora. Ale chcę, żebyś wiedział. Ja tu pilnuję, bo patrole się wiercą, jakby im kto kota pogonił. Więc jakby co, gwizdnę.

Szukają dzieci. Tych... Jeszcze ci twoją małą zabiorą...

- To ja im! - Jędrek zacisnął pięści.

- Co ty im? Nic. Bezbronny jak małe kocię. A oni mają broń. Trzeba, żeby było jak najciszej z tą małą. Już zapowiedziałem wszystkim - wskazał ręką na dom - no i tej twojej smarkaterii, że mają trzymać język za zębami. W naszym domu porządny naród mieszka, ale kto się dookoła po okolicy kręci, kto tam wie... I jeszcze jedno: do meldunku trzeba będzie podać, że siostra twojej matki, co na wsi mieszka, powiedzmy gdzieś pod Grodziskiem, ciężko zachorowała, więc wzięliście jej córeczkę do siebie...

- Ale mama nie ma żadnej siostry. Ani pod Grodziskiem, ani gdzie indziej...

- To co z tego? Ale ja taką mam!

No i kto by pomyślał, że ten stary mruk Franciszek już wszystko obmyślił, na wszystko znalazł radę... Jędrek przysiągł sobie, że jeżeli jeszcze raz dzieciaki ośmielą się odśpiewywać mu kantatę o szufelce śmieci, spierze całą bandę na kwaśne jabłko.

Do mieszkania doktora Zawadzkiego wpadł jak huragan. Zresztą czuł się tu swojsko. Zawadzki nieraz leczył Martyniakową, a syn doktora, Jurek, był dawnym kolegą szkolnym Jędreka, często pożyczał mu książki i w ogóle był z niego, jak to się mówi "morowy kumpel". W poczekalni siedziało parę

osób, ale gdy Jędrrek powiedział doktorowi, o co chodzi, Zawadzki przeprosił oczekujących i wrzuciwszy w pośpiechu do swojej lekarskiej torby całą garść jakichś ampułek, pigułek i tubek, żwawym krokiem podążył przez podwórko do oficyny.

A tam zastali już całe zbiegowisko. Co chwilę otwierały się drzwi i sąsiadki znosiły "dla malej" co mogły. Na stole już piętrzył się stos garderoby i rozmaitych wiktuałów. Jedna przyniosła nawet nowiuteńką poduszkę i dużą lalkę.

- Z tym wszystkim - doktor Zawadzki wskazał ręką na stół - trzeba poczekać i karmić bardzo ostrożnie, bo nam się pacjentka pochoruje z przejedzenia. Po takiej głodówce...

Wyprosił z izby grzecznie, lecz stanowczo wszystkie życzliwe, ale ciekawskie kumy i zaczął badać Zosię. Mówił potem swojej żonie, pani Hani, że w życiu nie widział takiej mizeroty. Coś tam mruczał do siebie pod nosem, zrobił zastrzyk, kazał połknąć jakąś pigułkę, po czym powiedział do Martyniakowej:

- Będzie jeszcze z nią pani miała kram, zanim doprowadzimy ją do jakiego takiego stanu. Musiała chyba przejść odrę w obozie albo w transporcie. I tak cud, że przeżyła. A teraz zanosi się na zapalenie płuc. Tu ma pani dla niej lekarstwa i napiszę na kartce, jak i kiedy podawać. Tu jest maść na te wrzody i rany. Nóżki i ręce odmrożone. Też trzeba smarować.

Przyślę żonę, to postawi jej trochę baniek. Co prawda takie to wychudzone, że nie wiem, ile się tych baniek na niej zmieści. Ale trzeba. Ciepło ją owinąć no i... zobaczymy. A karmić po troszeczku, powolutku. Jędrrek, przyjdiesz

potem do mnie, to ci dam polówkę. We trójkę się na tym łóżku nie pomieścicie.

- Kiedy ja mogę siennik dla siebie na podłogę rozłożyć.

- Nie zawracaj głowy. Hania jeszcze kołdrę dla niej przyniesie, bo twoja mama gotowa małej swoją oddać i będę tu miał drugą pacjentkę. Nie życzę sobie, rozumiesz? No, muszę wracać do moich pacjentów. Jutro przyjdę.

Gdy

Zosia

została

już

napojona,

nakarmiona,

opatrzona,

wysmarowana i ułożona na polówce pod kołdrą pani doktorowej, zrobił się późny wieczór. Jędrrek przykręcił knot naftowej lampy i tylko odblask ognia spod płyty kuchennej oświetlał izdebkę Martyniaków, nowe mieszkanie dziewczynki z dalekiej podzamojskiej wsi.

Ale Zosia nie mogła zasnąć, jak to czasem bywa po wielkim zmęczeniu.

Tyle przeżyć i wzruszeń jednego dnia! Usiłowała zrozumieć, co to się z nią dzieje. Jeszcze wczoraj rano kostniała z zimna i konała z głodu na jakiejś stacji w śmierdzącym i zagnojonym bydlęcym wagonie. A teraz leży na miękkiej poduszce, pod ciepłą kołdrą, czysta, syta i napojona, i ten odblask ognia spod kuchennej płyty, łagodnie migocący, przypomina jej dom. Jacyś

dobrzy ludzie... I ten chłopiec z wesołymi brązowymi oczami, Jędrrek, co ją tu przyniósł, i ta jego matka, której szorstkie od pracy, ale czule ręce takie podobne są do rąk jej mamy... I doktor, i te wszystkie kobiety, co poznosiły dla niej tyle dobrych rzeczy... Jacy dobrzy są ludzie! Czym zasłużyła sobie na taką ich troskliwą pomoc? Żeby jeszcze tylko mama się jakoś odnalazła. I ojciec. Zapłakała cicho, naciągając koldrę na głowę, aby nikogo nie budzić.

Następnego dnia Jędrrek trochę zaspał i zdecydował:

- Nie idę dziś po gazety, bimbam sobie...

Najpierw skoczył do sąsiedniego sklepiku po zakupy. Gruba

sklepiarka,

pani

Maria

Marczakowa,

mrugnęła

do

niego

porozumiewawczo i mruknęła cicho:

- No jak tam?

- Ano dobra jest - odpowiedział jej równie konspiracyjnym szeptem, a

ona bez słowa dolatała do bańki dodatkową chochlę mleka i szepnęła:

- Za to nie musisz dopłacać...

Prawdę mówiąc, Jędrrek wynajdywał coraz to nowe preteksty, żeby

jeszcze побыć w domu. To przypatrywał się śpiącej Zosi, to upewniał się, czy

doktor Zawadzki nie zapomniał o obietnicy i na pewno działo się przyjdzie, żeby

sprawdzić, jak się miewa mała pacjentka, to przyniósł dodatkowo kubek wody, aby umyć zdeptaną przez wczorajszych licznych gości podłogę.

Potem jednak nie wytrzymał i pobiegł na miasto. Trzeba dowiedzieć się, co słyhać, i wybadać sytuację. Pojechał - oczywiście "na gapę", bez biletu i na buforze tramwaju, na stałe swoje miejsce, w Aleje Jerozolimskie.

Było już południe. Z daleka dosłyszał gwar zbliżających się okrzyków:

- Kuuuurier Nooo...

- Nowy Kurieeer!

Już lecą. Paru kolegów obkoczyło go natychmiast.

- Nie byłeś po gazety? Co się stało?

- Podobno narzeczoną sobie sprawiłeś?

- Odwalcie się. To cioteczna siostra, nie żadna tam narzeczona. I nie paplać, słyszano? Gdzie Stach?

- A tam leci.

Przyjaciele doskoczyli do siebie.

- Mówią, że wykradłeś sobie narzeczoną?

- To już Wacek_riksiarz ci wypaplał, gaduła. Bodaj by mu język skołowaciał. Ano prawda.

- A gdzie ją poderwałeś?

- Z ciężarówki spółemowskiej, co pod RGO na Marszałkowskiej stała.

Ta mała siedziała z samego brzegu. No to ja ją pod pachę i chodu!

- To miałeś fart. Nam się nic nie udało. Najpierw byliśmy jeszcze raz na dworcu, potem na Nowogrodzkiej, bo ktoś powiedział, że dzieciaki do

Boduena przywieźli, tłum się tam zebrał ogromniasty, zaraz go żandarmi

rozpędzili. A potem były wyścigi po Warszawie.

- Jakie znów wyścigi?

- No bo kiedy dookoła tej twojej ciężarówki tłok się zrobił niemożliwy, zaczęli się kręcić policaje. Ci, co te dzieci przywieźli, w mig się pokapowali i chodu. Pojechali do centrali "Społem" na Grażyny. Tam to samo. No i trzeba było gdzieś dzieciarnię ulokować, bo wszystko chore. Więc postanowiono schować cały ten żywy bagaż w dawnej szkole na Ogrodowej, gdzie wydział opieki społecznej urządził kwarantannę.

- Kwarantannę?

- Tak. No, taką tymczasową przechowalnię dla podejrzanych o zakaźną chorobę. Potem na Ogrodową przywieziono jeszcze jeden transport. Zdaje się, że też ze Stoczka. Byłem tam, ale nikogo nie wpuszczali. I wyobraź ty sobie, ledwo brama za dziećmiakami się zamknęła, już się zwałiło gestapo. I draka. Kogo tu przywieźli? Po co? Co to za dzieci? Zabrać chcieli, czy jak, nie wiem. Ale panowie doktorzy nie frajery. Powiadają: "Tu panuje tyfus plamisty. Na okrągło. To co, chcecie panowie wchodzić? Ostrzegamy!" A Niemcy tyfusu boją się jak zarazy. Wprost portkami trzęsą. No i zwiali, aż się kurzyło. Słyszałem, że tam już różni ludzie się zgłaszają, którzy chcą te dzieci do domu pozabierać, pewnie im je oddadzą.

- A o moją nikt nie pytał? Nie szukali jej? - zaniepokoił się Jędrak.

Stasiek spojrzał kpiąco na przyjaciela i mruknął ze złośliwą ironią:

- A pytali o takiego cwaniaka, co to im jednego dzieciaka spod nosa

zwinął, i mówili, że mu baty sprawią. No, Jędrus, tylko spokój... Spokój.

Muszę lecieć, bo z całą tą paką gazet do wieczora będę biegać. A wieczorem

przyjdę do ciebie na zaręczyny. Cześć!

Kiedy Jędrrek wrócił do domu, wciąż niesyty widoku swojej wojennej

“zdobyczy” i szalenie dumny z jej posiadania, Zosia już się obudziła. Umyta, uczesana, opatulona w jakiś stary sweter Jędreka, siedziała na polówce oparta o poduszkę i łapczywie zajadała gorącą zupę.

- Jak się masz, mała? Co powiesz? - Jędrrek był trochę onieśmielony.

Jak się z taką damą rozmawia?

Dziewczynka spojrzała na niego niebieskimi oczkami, nie przerywając jedzenia. Wiadomo, zacierki to wspaniałe danie.

- Jak ci na imię? Bo wczoraj byłaś niemowa.

- Zosia - odrzekła między jedną i drugą łyżką przelykanej z pośpiechem zupy.

- A jak dalej?

- Bartosz - dziewczynka trochę sepleniała, nie wiadomo więc było, jak brzmi prawidłowo jej nazwisko: Bartoś, Bartosz, czy Bartos.

- A kto byli twój tatuś i mama?

- Mama, mama... - Zosia nagle przestała jeść i rozplakała się głośno. -

Gdzie moja mama, ja chcę do mamy!

- Też mądrala z ciebie, Jędrrek. I po co o takie rzeczy pytasz? Widzisz, co narobiłeś! - Martyniakowa próbowała uspokoić Zosię, ale na próżno.

Zosia musiała się wyplakać, wyplakiwała w tej chwili całe swoje zmartwienie, wszystkie straszne przeżycia od momentu rozstania z rodzicami. Jędrrek był speszony.

- No, nie becz, masz! - Wetknął jej w rączkę cukierek, kupiony w

sklepiku. Sam już nie pamiętał, kiedy jadł cukierki. - Nie becz, poszukamy ci twojej mamy. Przestań się mazać, bądź zuchem! Pamiętasz, jak wczoraj jechaliśmy riksą? Minę miałaś jak hrabina! A teraz taka beksa...

Zosia spojrzała na niego przez łzy. Tak samo mówił tatuś: “bądź zuchem!” Powoli uspokoiła się. Ten duży chłopiec budził zaufanie.

Rozejrzała się dookoła. Stały jej w pamięci chwile w obozie wysiedleńczym i w pociągu. Biedny pokoik wydał się Zosi po tym wszystkim rajem. Nikt nie jęczy, nie krzyczy, nie woła o pomoc. Cisza, ciepło, taka dobra zupa i tylko oni troje...

- A żandarmi... Żandarmów tu nie ma? - Zosia wtuliła trwożnie główkę w ramiona Martyniakowej.

- Nie, dziecino, uspokój się, nie ma. Może gdzieś tam chodzą po Warszawie, ale tu nie przyjdą.

- Nie przyjdą po mnie?

- Niechby spróbowali! Nie wpuszczę ich i już. Nie dam ciebie! - ze stanowczością w głosie uspokajał Jędrzek małą. Martyniakowa pogłaskała ją po króciutkich, obciętych jak u chłopca włoskach.

- Mama... - szepnęła Zosia i westchnąwszy ciężko jeszcze raz, usnęła. I tak już zostało, że do Martyniakowej zaczęła mówić jak Jędrzek: “mama”. To była wprawdzie trochę inna, ta druga mama, ale tamta pierwsza, najukochńsza, rodzona była gdzieś daleko, nie wiadomo nawet gdzie, i nie wiadomo, czy się kiedykolwiek spotkają. Ta druga była tuż, przy niej i chroniła ją swymi mocnymi, opiekuńczymi ramionami.

5 - Zosia poznaje Warszawę i jej tajemnice

- Nie mogę bawić się z tobą dłużej w klasy, bo idę do szkoły -

powiedziała do Zosi Janka Balcerzakówna, córka szewca, który mieszkał w tej samej oficynie, co Martyniakowie, tyle że na parterze. Zosia zawdzięczała mu piękne, ciepłe i mięciutkie butki z filcu, w których jej odmrożonym nóżkom było bardzo wygodnie. Zarówno śniegowców, jak i skóry brakowało, więc warszawianki w wojenne zimy paradowały w takich właśnie kapcach, wzorowanych na góralskim obuwiu. Ze skrawków skóry zrobione były tylko czubki i pięty.

Zosia z żalem rozstała się ze swoją nową koleżanką. Dziewczynki zaprzyjaźniły się bardzo, choć Janka była trochę starsza od Zosi. Janka rozumiała, ile musiała przecierpieć jej mała przyjaciółka, i starała się, jak tylko mogła, pomóc Zosi w przyzwyczajaniu się do nowych warunków życia. Ale tak jak wszystkie dzieci z podwórka na Wolskiej, Janka nigdy nie wypytywała Zosię o jej przeżycia i o przeszłość. Taka stanęła między nimi niepisana umowa, a zresztą Jędrrek im tego zabronił. Im mniej ludzi wie o Zosi - tym lepiej, tym dla niej bezpieczniej.

Zosia powoli oswajała się z miastem. Czowała się tu źle, choć wszyscy jej dogadzali. Ciasno jej było w wysokich murach, brakowało przestrzeni i powietrza, a przede wszystkim - brakowało rodziców. Bardzo za nimi tęskniła. Gdy coś jej się nie powiodło, zaraz wyobrażała sobie zmartwienie albo niezadowolenie ojca z tego powodu, a gdy, odwrotnie, coś jej się udało, myślała: "ale się mamusia ucieszy!" To było tak, jak gdyby cały czas byli przy niej obecni. Często w nocy budziła się na swym łóżeczku i płakała tak, że rano poduszka była mokra od łez.

- Zosieńko, znów płakałaś - mówiła z wyrzutem Martyniakowa. - Czy ci tak źle u nas? Nie martw się, wróci twoja mama, ale musisz być grzeczna i zdrowa, bo byłoby jej przykro.

- Nie becz, Zośka. Pójdzie sobie Hitler, poszukam ci twojej mamy - pocieszał Jędrak.

Wprawdzie tak przerażające wieści krążyły o losach ludności, wywiezionej z Zamojszczyzny, że zarówno Martyniakowa, jak i Jędrak nie mieli wielkiej nadziei na odszukanie kiedykolwiek rodziców małej.

Tymczasem Zosia zupełnie wyzdrowiała pod troskliwą opieką doktora Zawadzkiego, nabierała ciała, buzia jej się zaokrągliła, jasne włoski odrosły. Stała się ulubienicą całej kamienicy. Martyniakowej niewiele sprawiała kłopotu. Cicha i grzeczna, chętna do pomocy, miała zawsze tylko smutną twarzyczkę i jej niebieskie oczy często bywały zamyślane. Siadała nieraz na schodkach, prowadzących do oficyny, i wzrok jej wędrował w dal, jakby nie dostrzegając nawet otaczającego ją podwórka, okalających je ścian domu i bawiących się dzieci. Wyobrażała sobie, że widzi swoją wieś z rozległymi polami i łąkami, swoją chatę i sad, skraj lasu i... maliniak, w którym znikł jej ojciec.

Najchętniej Zosia przebywała z Janką, która opowiadała jej tyle ciekawych rzeczy o Warszawie. Zosia знаła dotychczas Warszawę tylko z obrazków w książce, którą tatuś czytał wieczorami na głos w domu.

Kiedyś Janka zabrała Zosię na przechadzkę po mieście. Wędrowały kilka godzin. Zosię dziwiło wszystko. Więc to jest miasto! Stolica Polski - jak powiedziała Janka - czyli największe, najważniejsze miasto w kraju...

Szerokie ulice, wysokie domy, piękne sklepy, tyle, tyle ludzi i różnych pojazdów...

Przejechała się tramwajem - bardzo jej się to spodobało, choć był straszny tłok. Pociągnęła Jankę za rękę.

- Tu tak się cisną, patrz, tam z przodu są wolne ławki. Możemy usiąść...

- O, nie! - odpowiedziała Janka. - Te ławki z przodu są tylko dla Niemców. Polakom nie wolno tam siadać.

- Też coś! - prychnęła pogardliwie Zosia. Już zaczynała się uczyć od swoich warszawskich przyjaciół nie tyle strachu, ile pogardy dla okupantów.

Potem poszły na Stare Miasto. Dookoła Rynku stały wąskie, malowane domy. Janka opowiadała Zosi o dawnych dziejach Warszawy, o królu Zygmuncie, który stał na takiej wysokiej kolumnie, że Zosia o mało się nie przewróciła, gdy zadarła główkę do góry, aby go zobaczyć.

- Dlaczego w Warszawie czasem są domy, a czasem ich nie ma? - spytała, wskazując rączką na gruzy Zamku.

- Widzisz, hitlerowcy spalili i zburzyli dużo domów w czasie oblężenia we wrześniu w trzydziestym dziewiątym roku. Całą Polskę już wtedy zajęli, a Warszawa się jeszcze broniła. Nie chcieliśmy jej oddać! - dodała Janka dumnie, choć niewiele pamiętała z tamtych dni.

- Spalili... Jak naszą wieś... - Zosia trwożnie obejrzała się dookoła.

Widziała już sporo Niemców na ulicach. Gdy przechodzili obok niej, chwilami mimo woli kulila się, jak gdyby chciała stać się niewidoczna. A nuż

któryś z nich znów będzie chciał ją zabrać? Łapała wtedy Jankę mocno za rękę.

- Nic się nie bój, Zośka, nie wezmą cię. W Warszawie tak nie robią z małymi dziećmi. Przecież nie poznają cię, na buzi nie masz napisane, coś ty za jedna - uspokajała Janka.

Gdy Janka znikła w bramie w podskokach wymachując parcianą torbą z książkami i zeszytami, Zosia zapukała do pana Franciszka. Lubiła siedzieć w jego stróżówce. Było tam ciepło i przytulnie. Na piecu grzał się olbrzymi kocur zwany Burasem, mrucząc cicho. Zosia wzięła go na ręce i usiadła na stołeczku. Franciszek majstrował coś przy stole, na którym leżały stosy żelastwa. Majster był z niego nie lada - w chwilach wolnych od pracy zajmował się ślusarstwem i pokazując Zosi jakieś połamane kawałki, opowiadał, co za cuda można jeszcze z tego zrobić!

Gdy Zosia weszła, przerwał robotę i uśmiechnął się do niej. Surowa mina, jaką czasami miewał pan Franciszek, występując w obronie ładu i porządku na podwórku, wcale Zosi nie przerażała. Mówiono, że ma gdzieś na wsi wnuczkę w wieku Zosi, stąd zrodziła się ich zażyłość. Prowadzili ze sobą czasami zupełnie poważne rozmowy i to nieraz na takie tematy, o których Zosia z zakłopotaną stale domem Martyniakową w ogóle nie rozmawiała, Jędrrek zaś wołał z Zosią śmiać się i dokazywać.

- No i co, poleciała już ta twoja wietrznica, Jaśka? - mruknął pan Franciszek.

- Do szkoły poszła... - broniła przyjaciółki Zosia.

- Ale tam! Matczysko ręce po łokcie urabia, przecież ich cała gromada

w domu, a ona nic nie pomoże. Tylko jak koza po podwórku z maluchami skika. No a ty co tam u mamy Martyniakowej porabiasz? Nauczyłaś się czegoś?

- A zaś! - powiedziała Zosia z dumą. - Nauczyłam się prac moje bluzeczki. Izbę pozamiatałam i schody. Dzisiaj Jędreka skarpetki cerowałam. On nie ma na to czasu, a mama już niedowidzi. I guziki mu do kurtki przyszyłam. Ciągle mu się urywają i gubi je... - narzekała komicznie, jak prawdziwa mała kobietka.

- A gdzie on ma głowę do skarpetek czy guzików, ten twój Jędreku! On ma co innego w głowie i nie miej mu tego za złe, dziewczyno, bo życiem dla ciebie ryzykował...

- A ino... - szepnęła cichutko dziewczynka. - A nie wie wujek - mówiła do pana Franciszka poufale "wujku" - co się teraz z tymi dziećmi stało, co to ze mną ze Stoczka przyjechały i potem w szpitaliku na Ogrodowej były?

- Coś tam może i wiem... - Popatrzył uważnie na małą, zamyslił się, a potem jak gdyby nagle powziął jakąś decyzję. Mówił wolno, ważąc każde słowo: - Szkrab jesteś, mała pestka zielona, ale przeżyłaś już tyle, co niejeden stary przez całe życie. Myślę, że można z tobą mówić poważnie. No i wiem, że gaduła nie jesteś, rozpowiadać nie będziesz.

Zosia w milczeniu skinęła głową i pogłaskała Burasa, który kręcił się jej na kolanach, usiłując przybrać wygodniejszą pozycję.

- No więc słuchaj - mówił dalej pan Franciszek przyciszonym głosem. - W tym szpitaliku na Ogrodowej jeden mój znajomek pracuje jako sanitariusz. Od niego to wiem. Niektóre dzieci zabrały inne szpitale na

dalsze leczenie. Ale większą część ludzie pozabierali do swoich domów, tak jak ciebie Jędrrek. Takie dwie dziewczynki z Sitańca, Stasię i Jadzię, zdaje się, że Durasówny, żona jednego wielkiego pisarza, pani Anna Iwaszkiewiczowa, do siebie zabrała pod Warszawę. Mają tam dom i duży ogród. Jest im tam jak w niebie.

Zosia klasnęła w ręce i wydała cichy okrzyk radości:

- Jadzka i Stasia! Od Durasów! To z naszej wsi. Trzeci dom od naszego... Ich tatusia i mamusię do Niemiec zabrali. Na roboty. Jak się cieszę, że im jest dobrze. Przecież same zostały, a jedna była bardzo chora...

Ludzie są dobrzy, prawda, wujku?

- Dobrzy i dzielni, Zochna. Musisz to zrozumieć i zapamiętać sobie, córciu, i żeby to nie poszło w niepamięć, jak będziesz już duża, dorosła, trzeba mówić wszystkim, jak to było, jak się polskie dzieci od zguby ratowało... A niektórzy to może i życiem za to płacą.

- Mogli i Jędreka postrzelić, jak mnie przez miasto na Wolę taszczył?

Co, wujku? - w głosie Zosi brzmiało przerażenie.

- A mogli. Wiesz, był taki pan w zarządzie miasta, który całą tę pomoc dla was organizował. Pan Starczewski. No i za to aresztowali go i zesłali do Oświęcimia. To taki obóz. Gorszy od więzienia. Czy wyjdzie stamtąd, nie wiadomo.

Zosia zamyśliła się głęboko. Skomplikowane to były sprawy dla jej małej główki, ale dzięki rozmowom z panem Franciszkiem zaczynała po trochu rozumieć, w jakim świecie i w jakich czasach przypadło jej żyć.

W tym momencie do stróżówki wpadł Jędrrek.

- No, wiedziałem, gdzie ją znajdę. Znów panu Franciszkowi głowę zawraca, jakby nie miał nic lepszego do roboty, tylko małe dziewczynki niańczyć!

Na widok chłopca oczy Zosi rozjaśniły się - powrót Jędreka był dla niej zawsze momentem wielkiej radości. Brał ją "na barana", dowcipkował, gonili się po podwórzu, czasami szli na miasto, jak to Zosia nazywała "na wyprawę".

- Nie poszedłeś dziś po gazety? - zapytała. Tak nazywała jego zajęcie.

- Nie. Mam dziś coś lepszego do roboty. Zabieraj się, idziemy.

- Tylko mi na żadne awantury nie ciągnij smarkatej, słyszysz? -

groźnie mruknął Franciszek.

- E, też pan Franciszek wymyślił! Jakie awantury? Mnie bzdury nie w głowie... - odpowiedział żywo Jędreka.

- No, no! - pogroził palcem Franciszek, ale dzieci już wybiegły z bramy.

- Po co ci to? - spytała Zosia, wskazując na koszyk do zakupów Martyniakowej, który Jędreka trzymał w ręku. - Czy idziemy coś kupować?

- Zobaczysz. - Jędreka miał minę tajemniczą i nieco zafrasowaną. Na rogu czekał na niego Stach.

- No, jesteś. Ale się guzdrałeś! Możemy nie zdążyć. A po co małą zabrałeś?

- Przyda się. Niech się przyzwyczajają. Zośka, chcesz, żeby twoja mama prędzej wróciła?

- Pewnie że chcę! - zawołała z roziskrzonymi oczyma, nie rozumiejąc

wprawdzie, co ma wspólnego ich wyprawa z powrotem mamy.

- A chcesz, żeby Hitlera tu nie było?

- Chcę!

- No to będziesz nam pomagać. Ale pamiętaj, nikomu nie piśniesz ani słowa, gdzie chodziliśmy i co robiliśmy.

- A co ja, papla podwórkowa jestem, czy jak? - obrazila się Zosia.

Zżyła się już z podwórkową "bandą" i szybko przyswajała sobie jej sposób mówienia.

- O, już ci zhardziła! - roześmiał się Stach.

Skręcili z Wolskiej w jakieś boczne uliczki. Było przedwiośnie.

Zaczynało przygrzewać słońce. Śnieg topniał, z rynien wesoło tryskała woda, ściekająca z dachów. Dzieci przeskakiwały na wyścigi przez kałuże na źle brukowanych chodnikach, a Zosia pomyślała z tęsknotą, że tam gdzieś, w Sitańcu, zaczyna już pewnie zielenić się trawa.

- To tu - powiedział Stach.

Weszli do drewnianego domku i Stach zapukał trzy razy głośniej i raz ciszej do drzwi na parterze.

- Kto tam? - zapytał jakiś głos kobiety.

- Mieczysław - powiedział szybko i cicho Stach.

Drzwi otworzyły się. Chłopcy znaleźli się w małym, trochę ciemnym, zastawionym różnymi gratami pokoju. Przywitała ich miła, młoda kobieta.

- Gotowe? - zwrócił się do niej Stach.

- Jeszcze nie, Jerzy jest na dole.

- Poczekajcie tu na mnie, zaraz wrócę. - Stach wyszedł z pokoju i

minąwszy sień, dostał się po stromych schodkach do piwnicy. Znów zapukał według umówionego sygnału i szepnąwszy ponownie "Mieczysław", gdy drzwi lekko się uchylily, wszedł do ciemnej piwniczki.

Było tam dwóch młodych ludzi. Na stole stała maszyna do pisania i aparat, o którym Stach wiedział, że nazywa się "powielacz". Taki rodzaj małej drukarenki.

- Właśnie skończyliśmy - powiedział jeden z młodych ludzi, pochylony nad stosem równo ułożonych zadrukowanych kartek papieru, bielejących w skąpym świetle karbidówki.

Była to tajna gazetka - jedna z wielu, jakie ukazywały się wtedy w Warszawie - drukowana tu z polecenia podziemnej organizacji.

Stach wziął do ręki jeden z numerów rozrzuconych po stole. Chciwie - jak wszyscy mieszkańcy stolicy - chłonął prawdziwe wiadomości o tym, co dzieje się na frontach wielkiej wojny, za granicą i w kraju. Tylko tą drogą, a potem przez przekazywanie sobie wiadomości z ust do ust dowiadywano się prawdy. Nikt przecież nie miał radia, gdyż odebrano ludności wszystkie aparaty, nie docierały listy z zagranicy, nie drukowano gazet prócz pogardzanego "Nowego Kuriera". Ileż jednak niebezpieczeństw czyhało na ludzi, dzięki którym ukazywały się podziemne gazetki! W tajnych radiostacjach odbierano wiadomości ze świata, potem w również ukrytych drukarniach trzeba było gazetkę powielić, wreszcie wynieść ją i rozesać po mieście - z narażeniem życia. Przy tej pracy zginęło wielu ludzi. Chłopcy z Wolskiej dobrze o tym wiedzieli. Zadaniem ich było właśnie teraz dostarczenie paczki gazetek "na punkt", z którego rozchodziły się po

mieście.

- Już zabieram! - Stach zaczął ładować pod kurtkę płaskie paczki.

- Czekaaj, pomogę ci. Jest jeszcze kto?

- Jest "Bystry".

W konspiracji chłopcy używali innych imion, żeby utrudnić okupantom i gestapowskiemu szpiegom wykrycie większej ilości uczestników organizacji, w razie gdyby trafiono na jakiś ślad lub jeśliby któryś z chłopców dostał się nieszczęśliwym przypadkiem do gestapo.

- Kto to? Nie znam go.

- Morowy chłopak. Też z Woli i też gazeciarz. Niejedną już robotę odwalił. Z nim roznosiliśmy ten niby_ "Kurier" w zeszłym roku.

- Oooo! - z uznaniem powiedział drugi młody człowiek, kręcący się jeszcze przy powielaczu.

Historia, którą przypomniał Stach, była nie lada wyczynem warszawskich gazeciarzy. W 1942 roku, w dniu imienin generała Władysława Sikorskiego, ówczesnego naczelnego wodza polskich sił zbrojnych na Zachodzie, tajna organizacja wydrukowała w Warszawie gazetkę, która niczym zewnątrznie nie różniła się wyglądem od "Nowego Kuriera Warszawskiego". Tylko, oczywiście, w treści umieszczono artykuły i informacje polskiego ruchu podziemnego. Ludzie, kupujący tę niby_ niemiecką gazetę, zdumiali się, czytając nagle o wielkim zwycięstwie aliantów na Atlantyku i o karach wymierzanych przez organizacje polskie w kraju różnym zdrajcom i hitlerowskiemu zbrodniarzom.

Figiel ten, splątany okupantom, dużo im napsuł krwi, a warszawiacy

zacierali ręce z radości. Zastługą warszawskich gazeciarzy było śmiało i odważne rozprzedanie po całym mieście tej gazety.

- Ale o mało co wtedy nie wpadłem! - śmiał się Stach, przypominając sobie z zadowoleniem udany wyczyn. - Zostało mi jeszcze parę numerów i biegłem Nowym Światem. A tu żandarm cap mnie za kołnierz! Ja w nogi i buch w tramwaj. On za mną! Nie zdążył wskoczyć, tramwaj był oblepiony ludźmi. A strzelać nie mógł, ciemno już było choć oko wykol!

- No, a teraz czas na górę. Tamci już pewno czekają.

Szybko przebiegli znów przez sień i weszli do pokoju.

- A to co? - zawołał ze zdumieniem młody człowiek na widok Zosi.

- Nie "co", tylko "kto". Nasza nowa pomagierka - uśmiechnął się Stach i zaraz spoważniał. - Ona z "tych" dzieci. Z Zamojszczyzny. "Bystry" ją wykradł z transportu.

Młody człowiek spojrzał na Zosię ze współczuciem:

- No, trzymaj się, mała. Bądź dzielna, wszystko będzie dobrze.

- Tato mi też tak powiedział - Zosia z powagą skinęła głową.

- No to mamy najmniejszą konspiratorkę w Warszawie! I chyba najmłodszą. - Młoda kobieta pogłaskała Zosię po jasnej główce, na której odrastające już włosy zaczynały się skręcać w loczki.

- Prędeż, prędeż, idziemy! - przynaglał Stach.

Jędrak powpychał gazetki pod kurtkę, pozostałe włożył do koszyka, przykrył resztkami jarzyn i kartofli, które były na dnie i dał Zosi do ręki.

- Nie ciężko ci?

- Nie - zaprzeczyła gorąco. Koszyk wydał się jej z początku zupełnie

lekki.

- No to zmykamy. Do widzenia!

- Cześć, trzymajcie się! - zawołał na pożegnanie młody człowiek.

- Słuchaj, Jerzy - zwróciła się do niego kobieta, gdy drzwi zamknęły się za trójką młodych kolporterów. - Czy oni nie są za młodzi do takiej roboty? To przecież dzieci. A co będzie, jeżeli ich kiedy złapią?

- Przede wszystkim właśnie im, jako dzieciom, najłatwiej przemknąć się przez miasto. Niemcy nie bardzo zwracają na nie uwagę. To bardzo ważne. A ci mali gazeciarze są szczególnie dzielni. Przecież był wypadek, że jednego z nich rzeczywiście złapali Niemcy. Bili go, żeby się przyznał, skąd ma gazetki. Pary z ust nie puścił. Wywieźli go do Oświęcimia. Mielśmy już o nim wiadomości, bardzo dzielnie się tam trzyma.

- A swoją drogą pomyśl, Jerzy, co to za potworność, że dzieci nasze muszą i tak cierpieć, jak ta mała, i już walczyć, jak ci chłopcy.

- Ale na ludzi wyrosną. A o tę małą nie bój się. Ona nas nie zawiedzie.

Tymczasem chłopcy i Zosia najpierw biegli co sił w nogach, a potem zwolnili kroku, niby wędrując po ulicy niedbale, bez celu i od niechcienia. W pewnej chwili Zosia spytała, przystając, bo koszyk zaczynał jej już ciążyć:

- Jędrak, a co to takiego "konspiratorka"?

- Jakby ci tu powiedzieć... Jak ktoś działa na szkodę i na złość wrogowi tak, żeby on o tym się nie dowiedział. No i w słusznym, sprawiedliwym celu.

- Czy to jest tak, jak partyzantka?

- No, właściwie tak. Właściwie to jest prawie to samo.

*- Aha! - powiedziała tylko Zosia i prostując się, podniosła dumnie
głowę do góry. Koszyk już nie wydawał się jej taki ciężki, jak poprzednio. To
znaczy, że ona, jak ci z ich lasów... Kiedy opowie o tym tatusiowi, na pewno
ją pochwali.*

6 - Miriam

Nastala wiosna 43 roku i zbliżały się święta Wielkiej Nocy. W niektórych zamożniejszych domach przygotowywano się do nich według zwyczaju - pieczono ciasta, mazurki, mięsa. Mimo wielkich trudności w zdobywaniu jedzenia, kto mógł, "kombinował" jak tylko się dało.

Nieocenioną pomocą dla przebiegłych warszawiaków był tak zwany "szmugiel". Rzykując życie handlarze przemycali z różnych wsi do miasta produkty i dostarczali je mieszkańcom stolicy do domów. Sprytne babiny owijały się w polcie słoniny, boczku, pęta kielbasy i jejmość, gruba jak beczka, po sprzedaniu swego całego towaru okazywała się mizernym, chudym stworzeniem. Oczywiście, jeżeli udało się jej uniknąć łapanek i obław, które żandarmi urządzali na stacjach i na dworcach.

U Martyniaków nie szykowano się do wystawnych świąt. Jędrak i Zosia ufarbowali w łupinach po cebuli kilka jajek, doktorowa Zawadzka - mimo protestów Martyniakowej - przysłała im małą babkę i kawałek mazurka, Martyniakowa za wielkie przedświąteczne sprzątnięcie u adwokata z frontu otrzymała wynagrodzenie w postaci kawałka boczku i pół kilograma kielbasy.

Minęły już cztery miesiące, od kiedy Zosia zamieszkała w domu przy Wolskiej. Ludzie przywykli do niej i prawie zapomnieli, skąd się wśród nich wzięła. Lubili ją, niejeden w przelocie pogłaskał po jasnych loczkach, ktoś drugi poczęstował cukierkiem albo ciastkiem, jakaś pani podarowała używaną sukienkę, z której wyrosła jej córka, prosząc jednocześnie, żeby

Martyniakowa pomogła jej umyć okna przed świętami - ale wylewna, szcudra hojność współlokatorów z pierwszych dni jakoś się rozwiła. Każdy miał swoje kłopoty i troski, a Zosia już po prostu tylko należała do rodziny Martyniaków. Martyniakowej zmartwienie, w co ubierze tę "córkę swojej siostry spod Grodziska", jak mawiano, i co jej da jeść. Zresztą, Zosia nie budziła już takiego politowania, jak na początku. Podrosła, przytyła, zmężniała, zrobiła się śmiała i reżolutna, jak jej warszawscy rówieśnicy. Może wpłynęło na to jej stałe obcowanie z Jędrkiem i jego kolegami, od nich przejmowała tupet, słownictwo, gesty. Nie mówiła już "a zaś" czy "ino". Powoli też odchodziło nie w niepamięć, ale jakby zamgloną dal wspomnienie domu w Sitańcu i życia na wsi. Oczywiście, tęskniła często do tego wszystkiego, co pozostało tam, daleko i dawno, ale między beztroskim dzieciństwem i dzisiejszym życiem w mieście, jak gruba, czarna krecha, jakby przepaść, jakby koszmarne sen, leżały przeżycia, związane z wysiedleniem. Starła się o tym jak najmniej pamiętać. Żyła się z Warszawą, rzecz jasna, świadoma różnych zasadzek i niebezpieczeństw, których tu nie brakowało, ale był to dla niej już dzień powszedni. O wojnie nie myślała, nie wiedząc, że ta wojna jeszcze nieraz się o nią upomni. I upomniała się, chociaż właściwie nie dotknęła jej bezpośrednio, ale jak gdyby otarła się o nią bokiem.

19 kwietnia, przed samymi świętami, wybuchło powstanie w warszawskim getcie. Uwięzione w nim za wysokim murem resztki ludności żydowskiej chwyciły za broń. Rozlegała się strzelanina, nadlatywały samoloty, wybuchały bomby, z hukiem waliły się domy, a płomienie i dym

stały się nad dachami. Nocami niebo nad miastem było różowe, w dzień przymglone czernią. Ludzie wychodzili na ulice, na podwórka, patrzyli w tamtą stronę i rozmawiali tylko o tym, jak długo uda się walczącemu gettu stawiać opór uzbrojonemu po zęby wrogowi mimo dostarczanej przez Polaków broni. Mówiono o wstrząsających scenach, które rozgrywały się tam, wśród gruzów i płomieni.

Zosia widziała nieraz ten mur w środku miasta i wszystkowiedzący pan Franciszek objaśnił jej, co tam się dzieje. Ale teraz ten widok buchającego wysoko ognia i odgłosy strzelaniny przemówiły do niej z całą siłą. Jak gdyby znów widziała palącą się za nią jej wieś, swój płonący dom i w uszach miała wrzaski żandarmów, oblegających ich sad.

- Jędrrek - spytała cicho któregoś wieczora, gdy obserwowali palące się getto - a czy tam są dzieci?

- Chyba tak - odpowiedział z wahaniem - do niedawna jeszcze były.

Pamiętasz na targu te małe dzieciaki, którym przekupki dawały cebulę, marchewkę, chleb. Te dzieci wymykały się przez dziury w murze i prosiły o coś do jedzenia, bo umierały z głodu. Ale jak wracały do getta, żandarmi, ukryci za murem, wszystko im odbierali. A często do takich dzieci strzelali.

Zosia pomilczała chwilę, a potem powiedziała głuchym głosem:

- To ci żandarmi robili to samo, co z nami... I palą te domy, jak palili u nas wsie...

Jędrrek, żeby rozproszyć groźbę chwili, odezwał się łagodnie:

- No chodź, Zośka, do domu, mama dziś na kolację nasmażyła placków ziemniaczanych.

Któregoś dnia, gdy chłopcy i Zosia wyprawili się znów po gazetki, Jerzy odesłał Zosię do domu, mówiąc, że dziś "transportu" nie będzie, bo chłopcy mają co innego do roboty. Z przyciszonych rozmów Zosia zrozumiała, że Stach i Jędrak mają pokazać jakiś im znany włącz. Włazy to były otwory w chodnikach, zasunięte betonową pokrywą; przez nie po drabinkach schodziło się do kanałów, których cała sieć ciągnęła się pod miastem. Dla wszędobylskich chłopaków ich miasto nie miało tajemnic. Od Jędrka już słyszała, że tymi kanałami i włączami wyprowadzają z getta ocalałych jeszcze bojowników. A do getta dostarczano broń. Aha, więc pewnie o to chodziło... I Zosia posłusznie, bez słowa powędrowała do domu. Nie szła jednak uliczkami, przyzwyczajona już do ich przejść "na skróty". Przez zaniedbane podwórka, ogródki, zarośnięte chwastami, ruinki jakichś warsztatów, dziury w płotach. I nagle spod jakiejś rozrośniętej kępy kwitnącego jaśminu dobiegł ją cichutki płacz. Jak gdyby miauczał mały kot. Rozchyliła gałęzie i spojrzały na nią duże, czarne oczy spod splątanej grzywy ciemnych włosów. Była to dziewczynka w jej wieku, straszliwie chuda i zabiedzona, w łachmanach, przez które prześwitywały wystające kości. Obok niej przykucnął jeszcze mniejszy, czteroletni chyba chłopczyk, równie wynędzniały. To on płakał, a dziewczynka usiłowała go uspokoić, ale się jej nie udawało. Przeraziło ją pojawienie się Zosi. Mamrotała:

- Boję się, boję się... Idź, idź sobie! - skuliła się jeszcze bardziej, naciągając na głowę podarte gałgany.

- Też masz się kogo bać - mruknęła Zosia i z kieszeni sukienki wydobyła kromkę chleba, która jej została z obiadu. Pamiętając uczucie

głodu, nigdy nie wychodziła z domu bez kawałka chleba w kieszonce. - Masz tu chleb. Pewnieś głodna.

Nieufnie, jak małe zwierzątko, dziewczynka wyjrzała spod gałganów i obejrzawszy się z przerażeniem dookoła, chwyciła łapczywie podaną jej kromkę. Podzieliła ją na pół i dała chłopczykowi. Wpakował cały chleb do buzi i przestał chlipać.

- Jak się nazywasz? Ja jestem Zosia.

- Miriam. A to Josek, mój braciszek.

- Uciekliście z getta?

- Oj, nie wydaj mnie... Nie wydaj! Boję się! - zalkała trzęsąc się dziewczynka.

- Ale wymyśliłaś! - Zosia wzruszyła ramionami. - A twoi rodzice tam zostali?

- Mama umarła, tatę zabili...

Serce Zosi ścisnęło się głębokim żalem i współczuciem. Ale nie będzie teraz opowiadać Miriam, że ona również straciła swoich rodziców i dom, że także musi się ukrywać, jak zaszczute zwierzątko. Po pierwsze może jej rodzice jednak żyją, a po drugie, jeżeli ktoś, jak te dzieci, jest na skraju rozpacz, czy należy obciążać go własnymi zmartwieniami? Toteż obie dziewczynki siedziały obok siebie w milczeniu i Zosia o nic już Miriam nie pytywała. Gdy się trochę ściemniło, Zosia powiedziała:

- No, a teraz idziemy, żeby nas nikt nie przydybał.

- Dokąd? - ocknęła się Miriam i znów zadrżała. - Ja nigdzie nie pójdę.

- No, nie będziesz tu z tym brzdącem pod krzakiem siedzieć. Z głodu

poumieracie. Wyniucha was jaki pies i co wtedy?

- A co chcesz z nami zrobić?

- Schowam was gdzieś. Mam starszego brata, już on dla was coś wymyśli.

I znów na przelaj, przez zapuszczone posesje i zarośla, Zosia z dziećmi zaczęła przemykać się w stronę domu. Ale nie udało się jej niepostrzeżenie przejść przez podwórko do swojej oficyny. W bramie zamajaczyła wysoka postać i pan Franciszek położył twardą rękę na ramieniu dziewczynki.

- I gdzie to się spaceruje wieczorami, córciu? Mama już dwa razy mnie pytała, czy ciebie gdzie nie widziałem?

Miriam z Joskiem przykucnęli w kąciku bramy, ale bystre oko pana Franciszka natychmiast ich tam wykryło.

- Co to? Gości mamie Martyniakowej prowadzisz? Nowi przyjaciele? - Głos pana Franciszka był surowy, ale nie gniewny.

- Wujku... To dzieci z getta. Uciekły stamtąd. Sieroty... No, jak ja je mogłam na polu poed krzakiem zostawić! - Zosia rozplakała się.

- Taaak - przeciągle odrzekł pan Franciszek. - No, nie becz. Zaraz coś poradzimy. Chodźcie, cała trójka, do mnie, do stróżówki.

Zaciągnął okna zaciemniającymi zasłonami, żeby z zewnątrz nie było widać, co się w pokoju dzieje, nalał dzieciom dwa talerze gorącej zupy i gdy zaczęły ją łapczywie połykać, zaczął mówić:

- Widzisz, Zochna, dobrze zrobiłaś, że te dzieciaki zabrałaś. Tobie ludzie pomogli, teraz ty pomogłaś. Ale, córciu, one tu nie mogą zostać.

Zanadto na widoku ludzkim. No i mama Martyniakowa czwórki nie

uchowa, za ciężko to dla niej. A do domu naprzeciwno kilka dni temu jakiś granatowy policjant się wprowadził z rodzinką. Niebezpieczni ludzie. No i twój Jędrak co i rusz w jakąś tam konspirację się wdaje. Niech kiedyś wpadnie, przyjdą do was do domu i koniec z tym drobiazgiem.

- Więc co robić? - zawołała z rozpaczą Zosia.

- Ano zrobimy tak. Dziś przenocują u mnie w piwniczce, gdzie graty trzymam. A wróci Jędrak, to już ze Staśkiem coś obmyślą, oni mają różne meliny.

Okazało się, że pan Franciszek jak zawsze miał rację. Na małej naradzie wojennej, odbytej już z udziałem Jędrka i Stacha, postanowiono przewieźć dzieci wozem zaprzyjaźnionego handlarza, ukryte pod workami z towarem i wiązkami słomy na Mokotów. Tam, w nie zamieszkannej i prawie doszczętnie zrujnowanej willi, chłopcy mieli swoją melinę. W ogrodzie rozrosły się bujnie krzewy i chwasty, zasłaniając wejście do piwniczki, która choć też wypalona, zachowała się w dość możliwym stanie. Chłopcy przypadkowo odkryli ten schowek podczas jednej z łapanek. Ukryli się tam i przesiedzieli bezpiecznie kilka godzin. Nieraz potem także korzystali z piwnicy, gromadząc tam swoje skarby, potrzebne do "roboty". Farby, pędzle, czasem gazetki, gdy odcinek, przez który mieli je przenieść, okazywał się nagle zagrożony obławą. Skrytka nigdy nie zawiodła. Teraz zamieszkali tam mali lokatorzy. Z desek, których było pełno w ogrodzie, chłopcy sklecili dzieciom postanie i zabronili im pokazywać się na ulicy.

- A co wam potrzeba, zawsze od nas dostaniecie - oznajmił Stach

stanowczo.

Od tej pory prawie codziennie na zmianę Stach, Jędrrek, a czasami i Zosia, choć to była dla niej zbyt daleka wyprawa, przynosili jedzenie dla “swoich” dzieci. Tak i mówili “nasze dzieci”. Miriam rozpalala na kamiennej posadzce piwniczki słaby ogień, gotowała wodę, grzała zupę, przynoszoną przez chłopców w kociołku. Zosia przyniosła część swojej garderoby, którą w takim nadmiarze znosili jej sąsiedzi w pierwszym okresie pobytu na Wolskiej. Powoli dzieci przychodziły do siebie, poprawił się trochę ich wygląd, ale nigdy nie znikał z ich czarnych oczu wyraz bezbrzeżnego smutku i czającego się gdzieś w głębi źrenic strachu. Nigdy też nie widziało się na tych dziecinnych twarzyczkach nawet cienia uśmiechu. Czasami Miriam nucila cichym, zachrypniętym głosem smutną piosenkę.

- Mirka - mówili do niej, bo tak spolszczyli sobie jej imię - nie śpiewaj, jeszcze tu kogoś naprowadzisz. - Przestrzegali, gdyż słyszeli, zbliżając się do piwnicy, jej stłumiony śpiew.

- Kiedy Jasek tak prosi... To śpiewała nam zawsze mama. “Mit gedajge”, to znaczy nie smuć się, synku... - tłumaczyła ze łzami w oczach Miriam.

- Ale prosimy cię, uważaj!

- Ja już nie mogę! Nie mogę tu wytrzymać! Jak długo jeszcze będziemy się tak męczyć?! - nagły okrzyk rozpaczony wyrwał się z ust dziewczynki. - Ja muszę stąd iść! Oni i tak nas znajdą! Przecież to niemożliwe, żeby nas nie znaleźli! Ja już nie mogę... A niech nas już raz zabiją... Pójdziemy do mamy... - łkała nieprzytomnie. Mimo całego strachu

nie wytrzymała już dłużej tego przymusowego zamknięcia, ukrywania się, samotności, stałej konieczności czuwania.

Jędrrek przeraził się nie na żarty. Co to będzie, jeżeli dziewczynka straci ostatecznie panowanie nad sobą? Może by ją jakoś stąd zabrać? Długo rozmawiał tego dnia ze Stachem, naradzał się z panem Franciszkiem i postanowili w taki sam sposób, jak na Mokotów, wywieźć dzieci do leśniczówki pod Żyrardowem, gdzie leśniczym był krewny Stacha. Zawsze będzie jakoś łatwiej ukryć i przechować tam Miriam i jej braciszka.

Następnego dnia wybrali się na Mokotów z postanowieniem zabrania dzieci. Jędrrek pozostał w ogrodzie na czatach, a Stach wlaźł przez wąski otwór do piwniczki. Po chwili wynurzył się z otworu. Twarz miał bladą jak kreda.

- Jędrrek! Nie ma ich!

- Niemożliwe! Co gadasz?

- Ano nie ma. Popatrz sam. Ani śladu.

- Może są gdzieś w ogrodzie?

- Przecież odezwaliby się. Zresztą nigdy nie wychodzili do ogrodu.

Obeszli cały ogród, przetrząsnęli ruiny. Może dzieci, czymś spłoszone, wyszły ze swej kryjówki i schowały się w pobliżu? Wołali półgłosem. Nikt nie odpowiadał. A może jeszcze wrócą? Może je tylko ktoś nastraszył, jakiś włóczęga, których tylu jest w Warszawie...

Różne myśli i przypuszczenia przychodziły chłopcom do głowy. Na wszelki wypadek zostawili przyniesione jedzenie na zwykłym miejscu w piwniczce. Wrócili następnego dnia. Jedzenie pozostało nietknięte. Po kilku

dniach przyszli znów - żadne ślady nie wskazywały na to, aby ktoś odwiedzał piwniczkę. W końcu stracili nadzieję. Być może dym, snujący się z gruzów, lub śpiew Miriam naprowadził kogoś na trop ukrywających się dzieci? Czy Niemcy ich zabrali, czy też Miriam w swoim obłądnym strachu nie wytrzymała napięcia ciągłej obawy o życie i uciekła wraz z Joskiem, aby zmienić kryjówkę? Czyżby bała się nawet swoich opiekunów?

- Nie becz - mruknął Jędrak do Zosi, gdy łzy potokiem spływały z jej niebieskich oczu. - Jest taka tajna organizacja, która pomaga uciekinierom z getta, Stasiak mówił tam komuś o tych dzieciach. Może je zabrali i umieścili w sierocińcu? - Była w tym tylko część prawdy, ale Jędrak po prostu chciał pocieszyć Zosię.

Któregoś dnia w drugiej połowie lata Zosia, mimo zakazu Jędrka wybrał się jednak na Mokotów. Zosia przywiązała się bardzo do Miriam, ta jej mała, czarna rówieśnica stała się dla niej osobą bliską. Gdy widywały się, Zosia bez skrepowania mogła jej opowiadać, co sama przeszła, i Miriam przyjmowała jej opowiadanie z całym zrozumieniem. Po prostu, ich losy były jednakowe, choć w szczegółach różne. A teraz Miriam zabrakło i serce Zosi ścisnął ból. Na krzaku przy wejściu do piwniczki znalazła niebieską wstążeczkę, którą podarowała kiedyś swojej nowej przyjaciółce, żeby mogła nią zawiązywać rozczochrane włosy. Czy Miriam ją zgubiła, czy to miał być jakiś znak? Zosia pochyliła się nad piwnicznym otworem, z którego zionęło pustką, ciszą i odorem wilgoci. Zawołała półgłosem:

- Miriam! Siostrzyczko...

Odpowiedziała jej cisza. Tylko z głębi ogrodu dobiegł do Zosi

melodyjny, trochę smutny gwizd wilgi.

7 - Troski i piosenki

Jędrak i Zosia nie zapomnieli oczywiście przez długi czas o Miriam i jej tajemniczym zniknięciu, rozmawiali czasem na ten temat, ale teraz, z końcem lata, spadło na nich ich własne, domowe zmartwienie.

- Jeszcze sto złotych za komorne, dług za dwa miesiące. W sklepie jesteśmy winni dwieście złotych. Od Staśka pożyczyłem pięćdziesiąt złotych.

Za lekarstwa trzeba zapłacić czterdzieści. Oj, Zośka, skąd wziąć tyle forsy? - westchnął któregoś wieczoru Jędrak, schylony nad skrawkiem papieru, na którym widniał groźny rząd cyfr.

Zosia zamyśliła się, podparłszy główkę ręką. W pokoiku było cicho.

Syczała tylko, przeciągle karbidówka, wydając niemiły, kwaskowaty zapach i czasami od strony łóżka dolatywał suchy, urywany kaszel Martyniakowej.

Chorowała już od paru tygodni. Z początku nie przerywała pracy, gdy jednak pewnego dnia przyniesiono ją z pralni do domu nieprzytomną i położono do łóżka, nie miała już więcej siły się podnieść.

- Oj, dzieci, co to z nami będzie? Taka bieda... Jędrak, jak też ty dasz radę ze wszystkim? - jęczała rozpaczliwie.

Jędrak uspokajał ją, jak tylko mógł.

- Niech mama się nie martwi. Jakoś poradzimy. Stasiek obiecał dodatkową robotę dla mnie wykombinować. Niech się mama tylko nie rusza. Poleży mama jeszcze trochę i będzie lepiej!

- Już jutro wstanę - obiecywała sobie Martyniakowa.

Nadchodziło jednak to jutro, a ona ciągle jeszcze nie była w stanie się podźwignąć.

Jędrzek poprosił doktora Zawadzkiego o poradę. Doktor przyszedł, zbadał Martyniakową i powiedział do Jędrka:

- Słuchaj, chłopcze, matka jest bardzo chora. Wyczerpanie pracą nad siłą, osłabienie przez niedojadanie, ciężka grypa. Na sercu też się to odbiło.

Musi teraz leżeć, lepiej się odżywiać, po jakimś czasie przyjdzie do siebie, ale już nie może pracować tak ciężko, jak dotychczas. Zapiszę jej trochę zastrzyków. Czy masz kogoś, kto by jej matce robił?

Jędrzek skinął głową. Siostra Stacha kończyła właśnie konspiracyjne kursy sanitarne, ale o tym doktor nie musi wiedzieć.

Schodząc ze schodów, Zawadzki ze współczuciem pokiwał głową. Jak wszyscy w domu bardzo lubił Jędrka i miał wiele uznania dla jego pracowitej, dzielnej matki.

Jędrzek po wyjściu doktora zasepił się. I co tu począć?

- Na głowie stanę, a muszę dać radę.

Z niebywałą energią zabrał się do roboty. Dwoił się i troił.

Sprzedawał gazety, handlował czym się dało, odnosił ludziom z dworca paczki i walizki.

Zosia objęła komendę w domu. Palila w piecu, sprzątała, robiła przepierki. Tylko gotować jeszcze nie umiała. Przychodziły sąsiadki, pomagały jej, ale Zosia nie lubiła prosić kogokolwiek o przysługę - wolała podpatrywać, jak się zabiera do tego pan Franciszek, który chętnie udzielał jej rad i wskazówek.

*Mimo ogromnych wysiłków Jędrrek nie mówił jednak w żaden sposób
związać końca z końcem. Ciągłe na coś brakowało pieniędzy. Lekarstwa dla
matki kosztowały bardzo drogo, ale przecież musiał je kupować!*

- No, nie mędrkujmy już, Zośka. Późno. Idziemy spać.

*Zosia wsunęła się pod kołdrę i zaczęła medytować. I czego to Jędrrek
mówi, że ja nic nie wymyślę? A może jednak coś takiego wynajdę, żeby mu
pomóc? Tylko jak to zrobić?*

*Z tymi myślami usnęła. Rano, po załatwieniu wszystkich domowych
spraw, wyruszyła na miasto.*

*- Hej, Zośka, co masz taką nadętą minę? - wołały za nią dzieci,
bawiące się na podwórzu. - Chodź, gramy w klasy! A my w piłkę!*

*Była to fantastyczna okazja. Piękna, błyszcząca, czerwona piłka była
własnością Magdalenki, córeczki pana mecenasa, mieszkającej "od frontu".*

*Magdalena ją przynosiła na podwórze tylko od czasu do czasu, mama jej
mówiła, że zniszczy się i podrapie. Ale Zosia oparła się wszelkim pokusom:*

- Spływajcie, nie mam czasu. Co mi tam wasze klasy!

- Eh, patrzcie ją, jaka ważna!

*Nie zwracając uwagi na docinki, Zosia wyszła na ulicę. Teraz
swobodnie poruszała się po mieście. Była wczesna jesień i słońce
przygrzewało dość mocno. Dziewczynka rozkoszowała się ciepłem i aż cierpła
na niej skóra, gdy myślał, że wkrótce nadejdzie jesień, a za nią zima. Zima,
mróz, zimno - to kojarzyło się jej z najgorszymi wspomnieniami. Gdyby była
w Sitańcu, poszłaby teraz do lasu na grzyby. Ale nie ma Sitańca...*

Dziś znów wzięła w sklepiku ziemniaki na kredyt. Dobrze, że

Marczakowa jeszcze daje... Ale jak tak dalej pójdzie? Zosia dotychczas nie rozumiała, co to są pieniądze. Dopiero teraz poznała ich wartość, pojęła, co znaczy ich brak. Pieniądze - to chleb, ziemniaki, karbid i tyle innych ważnych rzeczy, bez których tak trudno się obejść. Mieć pieniądze - to znaczy nie być głodnym, być ubranym, mieć gdzie mieszkać, leczyć mamę, żeby była zdrowa i mogła wstać. Za wszelką cenę musi zdobyć pieniądze. Ale jak?

Koło Dworca Głównego porwał ją tłum. Potrącana i popychana, o mały włos nie trafiła pod samochód.

- Ty, mała, uważaj! Gdzie włączysz?! Co to za zabawy sobie urządzasz, co?! - wrzasnął na nią wściekły szofer.

Zosia umknęła szybko i stanęła koło ściany. Obok niej przelewała się fala ludzi. Strudzeni, zbiedniali, nędznie ubrani, wylaniali się z drzwi wyjściowych hali dworcowej, szli zgarbieni pod ciężarem tobołów, dźwiganych na plecach, oglądali się trwożnie, czy nie wyskoczy skądś znieawidzona, zielona postać żandarma lub policjanta polującego na szmugiel żywności lub na cokolwiek, co można by odebrać i co miałyby dla niego jakąś wartość. Niektórzy handlarze, widocznie zamożniejsi, dźwigali potężne walizy, butni, pewni siebie, dobrze ubrani, zdrowo wyglądający. Nie należeli do tych, co by pozwolili sobie coś odebrać: zawsze mieli w pogotowiu banknot, który wsunięty w rękę żandarma, z miejsca "załatwiał sprawę". Tacy rozglądali się dookoła w poszukiwaniu rikszy czy dorożki.

- Hej, chłopak, ponieś no tę paczkę! - wołali na chłopców, kręcących się w pobliżu dworca w poszukiwaniu zarobku.

- Już się robi, panie szefie... A dokąd? - rażno podskakiwało od razu paru amatorów.

- Na Nowy Świat.

- A wiele pan sianowny da?

- Dwadzieścia złotych.

- Phi, za te grosiaki to sam se pan taskaj...

- No, a ile chcesz? - I tak targ dochodził do skutku albo nie.

Klient czasami odchodził z obrażoną miną, odprowadzany uwagami urwisów.

- Widzieliście go, myślał, że na frajera trafił!

Zosia słuchała i przyglądała się. Nieraz Jędrak też tu przychodził. A może by tak ona sama spróbowała? Nosila przecież kubelki z wodą - wprowadzie napelnione tylko do połowy - często dźwigała z chłopcami te paczki, o których mówi Jędrak, że tak pomagają w walce z Hitlerem...

Przybyło jej sił. Spróbuje.

- A może ponieść? - zaczęła nieśmiało jakąś zażywną jejmość.

- Nie potrzeba! - usłyszała pogardliwe mruknięcie.

Bynajmniej nie speszona, próbowała dalej.

- Ponieść panu?

- Idź, gdzie ty, taka mała - odpowiedział pasażer, mierząc wzrokiem postać dziewczynki.

- I gdzie to widziane, żeby taka smarkata laziła po dworcu! - burknął niezadowolony tragarz. Tragarze bardzo nie lubili dzieci: odbierały im zarobek.

- A wynoś że się do domu!

- Masz tu mała. - Jegomość z walizką wsunął jej w rączkę pięć złotych.

- Dlaczego dajesz? Nie trzeba dzieciom dawać pieniędzy. To je tylko

*uczy żebraniny - zauważyła z niezadowoleniem pani, towarzysząca
pasażerowi. Odeszli szybko w stronę dorożek.*

Zosia, mocno zmieszana, popatrzyła za nimi. Miętosił w rączce

papierek. Tego się nie spodziewała, tego nie chciała... Ta pani powieziała:

“żebranina”. Zosi stanęła w pamięci postać staruszki, która często zaglądała

do chat w rodzinnej wiosce Zosi. Mamusia dawała zawsze staruszce talerz

zupy i kawałek chleba, ale dzieci biegały za żebraczką i żartowały z jej

dziwacznej odzieży. Tak samo wyśmiewano się z “głupieego Maćka”,

obdartusa, który też przychodził “na żeby”...

Nie, żebrać Zosia nie będzie za nic na świecie. W oczach zakręciły się

jej łzy. Patrzyła bezradnie na pięciozłotówkę, zdawało się, że parzy ona jej

ręce. Jakby ją czym prędzej wydać? było południe.

Trzeba wracać do domu - zdecydowała Zosia, zmartwiona swoim

pierwszym niepowodzeniem. Postanowiła pojechać tramwajem. Był to w

ich obecnych warunkach finansowych luksus.

Ale przynajmniej pozbędę się tych pieniędzy, pomyślała Zosia. Właśnie

nadjeżdżał tramwaj, jadący na Wolę. Wyjątkowo nie był zbyt przepelniony.

Mimo to pasażerowie tłoczyli się jeden przez drugiego.

- Paniusia, gdzie się tak pchasz z tą paczką?

- A bo to na głowę komu wejść?

- Panie, zjeżdż no pan na chwilkę z mojej nogi.

- Jak się komu nie podoba, to rikszą jedź pani, a nie tramwajem!

Nagle w cały ten rozgadany, hałaśliwy tłum, w stukot kół i łomot rozklekotanych wagonów tramwaju, wpadł dźwięk piosenki. Prosta, wesola melodia, śpiewana cienkim, dziecinnym głosem:

Siekiera, motyka, bimbru szklanka,

w nocy nalot, w dzień łapanka!

Siekiera, motyka, światło, prąd,

kiedyż oni pójdą stąd?

W drzwiach wagonu stała dziewczynka, niewiele starsza od Zosi, w połatanej sukience i drewnianych trepkach i śpiewała zawadiacko:

Siekiera, motyka, piłka, linka,

tutaj Prusy, tam Treblinka,

już nie mamy gdzie się skryć,

szkopy nam nie dają żyć...

Siekiera, motyka, tramwaj, buda,

każdy zwiewa, gdzie się uda,

po co siedzieć w Cytadeli,

albo w jakiej innej celi...

Umilkły klótnie pasażerów. Choć znali już wszyscy na pamięć tę piosenkę, słuchali jej zawsze chętnie, tym bardziej że jawnie i publicznie - na złość okupantom. Obiegła już ona całą Warszawę. Oczywiście, hitlerowcy nie pozwalali jej śpiewać - konduktorzy mieli surowy nakaz, by wyrzucać z tramwajów śpiewające dzieci, które, nie zrażone niepowodzeniem w jednym wagonie, przemykały się sprytnie do następnego i zaczynały swą piosenkę

od nowa.

Zdarzało się, że oberwały cięgi od jakiegoś folksdojczy, czyli po warszawsku "foksa", który podał się za Niemca, bo miał w rodzinie jakichś germańskich przodków, ale rozumiał po polsku. Rozumiał więc i piosenkę i wpadał we wściekłość. Lecz co mieli okupanci robić z całą armią dzieci warszawskiej ulicy? Dzieci, wiedzące już, co to znaczy wojna i okupacja, walczyły na swój sposób. Jednym z takich sposobów była właśnie piosenka. Śpiewana na ulicy, w tramwaju, w pociągu, kpila z hitlerowców, ośmieszała ich, a warszawiaków podtrzymywała na duchu. Kto układał jej słowa i melodie - nie zawsze było wiadomo. Piosenki okupacyjne rodziły się jak humor warszawski, gdzieś na bruku, w cukierni, knajpie czy na przedmieściu, na złość prześladowaniom.

Siekiera, motyka, styczeń, luty,

Niemiec z Włocjem gubią buty,

siekiera, motyka, linka, drut,

dziś pan malarz jest kaput...

Piosenka wyśmiewała się z potężnego Hitlera. Pasażerowie słuchali.

Niejeden westchnął, niejeden się uśmiechnął.

Siekiera, motyka, piłka, alasz,

przegrał wojnę głupi malarz!

Siekiera, motyka, piłka, nóż,

przegrał wojnę już, już, już...

Gdy dziewczynka skończyła piosenkę, zaczęła przeciskać się między ławkami. Wyciągały się ku niej ze wszystkich stron ręce z pieniędzmi. Do

małej ręki wędrowały monety, banknoty. Gdy dotarła do miejsca, w którym stała Zosia, zatrzymała się i spojrzała na nią z figlarnym uśmiechem.

- Hanka! - zawołała Zosia.

- Ano widzisz, trzeba zarabiać! - powiedziała dziewczynka.

Znały się dobrze. Hanka Wiśniewska mieszkała w sąsiednim domu na Wolskiej i spotykały się często przy wspólnych zabawach.

- Kapujesz, odkąd Antka i Magdę wywieźli na roboty do Niemiec, pomagam mamie. Sama na nas nie zarobi - mówiła Hanka ze smutkiem, ale i z dumą.

Zosia przypomniała sobie panikę, jaka wybuchła kilka tygodni temu, gdy dużo młodzięży, zdolnej do pracy, zabrano z ich dzielnicy. Jędrak wtedy musiał się ukrywać. Wywiezione starsze rodzeństwo Hanki zarabiał na całą rodzinę, gdyż ojciec Hanki na początku wojny zaginął bez śladu. Pozostała chorowita matka z dwojgiem najmłodszych dzieci: Hanką i jej czteroletnim braciszkiem.

- A dużo zarobisz przez dzień? - zainteresowała się Zosia.

- Różnie, jak się trafi. Czasem pięćdziesiąt, sześćdziesiąt złotych, czasem się i setkę uezbiera.

Wysiadły z tramwaju. Hanka przystanęła i obliczała zarobek.

- Trzydzieści pięć, czterdzieści... Trochę mało. Muszę się przejechać jeszcze ze dwa razy. No, serwus!

- Poczekaj, Hanka! - Zosi zaświtała w tej chwili myśl. - Słuchaj, a może ja bym też spróbowała? Wiesz, u nas w domu teraz bida...

- A pewnie, że możesz. Spróbuj. Pomogę ci, nauczę tych piosenek.

Zobaczysz, to nie takie trudne. Tylko zimą nieprzyjemnie. Pośpiewasz trochę ze mną razem, podzielimy się, a potem możesz zacząć sama, jak się otrzaskasz.

- Och, strasznie ci dziękuję! Jesteś morowa. - Zosia wzruszona i ucieszona uściskała koleżankę.

- No wiesz, nie wyglupiaj się. Musimy sobie pomagać, bo nas zjedzą. - Hanka obróciła sprawę w żart.

- Teraz muszę lecieć do domu, dać mamie lekarstwa i upichcić obiad. Wieczorem przyjdę do ciebie.

- Na lekcję! - zaśmiała się Hanka.

- Na lekcję - odpowiedziała wesoło Zosia i pobiegła do domu.

Postanowiła na razie nic nie mówić mamie i Jędrkowi o swoich planach. A nuż się nie uda... Ale jeżeli przyniesie pierwsze zarobione przez siebie pieniądze, toż to dopiero będzie radość!

Była pojętną uczennicą i miała niezły głosik. Po kilku dniach wybrała się z Hanką na pierwszy "występ". Z początku nie szło jej. Czuli się bardzo onieśmielona, gdy oczy tylu pasażerów spoglądały na nią. Nie umiała jeszcze dobrze słów. Czasami po prostu uciekały jej z pamięci, plątała się i dopiero pewny siebie, wprawiony już głosik Hanki dodawał jej odwagi.

- Zośka, trzymaj fason! - trącała ją przyjaciółka i Zosia znów zaczynała śpiewać.

Bywały także nieprzyjemne chwile.

- Jazda stąd, uciekajcie! - wypędzał konduktor małe śpiewaczki. Nie ze złości, ale ze strachu przed hitlerowcem w czarnym mundurze, który z

ustrojoną damulką siedział na przedniej ławce “dla Niemców” i co chwilę oglądał się.

- Dopiero co jeden śpiewał, teraz znów przylazło bractwo. Trzeba mieć majątek, żeby każdemu dawać - mrucał niezadowolonym głosem jakiś pasażer.

- Nie daję dzieciom pieniędzy - fukała czasem jakaś jejmość. - Pewnie na cukierki zbieracie... Jest wojna, obędzie się bez cukietków.

Zdarzały się oczywiście i takie wypadki, że dzieci, które od dłuższego czasu przyzwyczały się do zarobkowania, wydawały pieniądze na słodycze, a starsi chłopcy na papierosy. Przeważnie jednak gorzka bieda wyganiała dzieci Warszawy z domu po zarobek.

- A może ojciec cię wysłał, żebyś mu na wódkę zarobiła? - słyszało się i takie złośliwe docinki.

Ludzie nie byli może nawet źli, ale wojna trwała już czwarty rok,

wszyscy

mieli

swoje

własne

zmartwienia,

przeżywali

biedę

i

prześladowania. Niepewni dnia ani godziny, obojętnieli na cudze

nieszczęścia i serca im twardniały.

Dzieci zaciskały wtedy zęby i odchodziły bez słowa.

Było wielu takich “śpiewających pasażerów”.

- Ojej, patrz, do tego tramwaju już nie ma po co iść... - zawiedziona

Zosia wskazała Hance dwóch chłopców_konkurentów, którzy wyprzedzili je

i szybkim susem wskoczyli do nadjeżdżającego wagonu, z miejsca

rozpoczynając smutną piosenkę o matce gdzieś na przedmieściu, śpiewającą

kołysankę swojemu synkowi i marzącą o tym, by wychować go na dobrego

człowieka.

Lat dwadzieścia minęło spokojnie,

syn jej wyrósł, robotny i zdrów,

a wieść straszna krąży o wojnie,

a w warsztatach niepokój i ruch.

Śpij, syneczku, śpij, sokole,

jutro wyruszysz na pole,

na krwawą walkę, na bój...

A ja będę się modliła,

bym ciebie nie straciła,

aj luli, luli, luli, lu...

Piosenka umilkła w oddali wraz z klekotem tramwaju.

Dziewczynki wskoczyły do następnego, w którym panował co

prawda wielki tłok, ale ich drobny wzrost pozwolił przeciskać się z

łatwością przez tłum pasażerów.

Najpierw zaśpiewały znaną piosenkę:

Dnia pierwszego września, roku pamiętnego

napadł wróg na Polskę z kraju sąsiedniego...

A potem tę, którą Zosia lubiła najbardziej:

Rozszumiały się wierzby płaczące,

rozplakała się dziewczyna w głos

i podniosła swe oczy błyszczące

na żołnierski, na twardego życia los...

Nie szumcie wierzby nam

żalem, co serce rwie.

Nie płacz, dziewczyno ma,

bo w partyzantce nie jest źle!

Zosia nauczyła się doskonale słów tej piosenki, którą śpiewała z

wyjatkowym przejęciem. Stawała jej w wyobraźni rodzinna wieś, ukochany

las, mama i ci żołnierze z leśnej polany, których tak świetnie zapamiętała.

Zapominała wtedy, że jest w Warszawie, i że nie ma ani Sitańca, ani mamy,

ani tatusia. Skąd mogła wiedzieć, że śpiewa o ojcu, który właśnie wojuje

gdzieś w lasach Zamojszczyzny...

Dziewczynki zebrały tego dnia dużo pieniędzy: na każdą z nich

przypadło po siedemdziesiąt złotych. Dla Zosi był to majątek! Razem z tym,

co uzbierała na poprzednich “występach” miała około dwustu złotych.

Słońce chowało się już za domy, kiedy Zosia, zmęczona, ale

uradowana wróciła na Wolską. Jędrzek był już w domu. Z niepokojem

przywitał małą:

- Co z tobą? Gdzie byłaś tak długo?

Zosia z triumfem wyjęła z kieszonki i położyła na stole pieniądze.

- Skąd masz? Co to za forsa? - Jędrrek zdumiony spojrzął na dziewczynkę.

- Zarobiłam! - dumnie oświadczyła Zosia.

- Ale jak?

Zosia opowiedziała Jędrkowi o swoim nowym zajęciu. Nie był zachwycony. Westchnął ciężko.

- Oj, Zośka, Zośka... Ja bym tam wolał, żebyś tego nie robiła. Za mała jesteś, zaharujesz się, gardło zedrzesz. A jeszcze jaki żandarm krzywdę ci zrobi, pobije albo z wagonu wypchnie...

- Nic mi nie będzie! - zawołała chwacko Zosia. - Ja chcę, ja muszę ci pomóc!

Jego duma nie pozwalała mu pogodzić się z faktem, że takie maleństwo, którym on się opiekuje, narażone jest na biedę i trud zarobkowania. Ale Zosia uparła się. Prosiła go ze łzami w oczach:

- Jędrrek, pozwól, we dwoje będzie nam łatwiej!

Martyniakowa, która zdrzemnęła się, wyczerpana gorączką, przebudziła się na dźwięk rozmowy i przysłuchiwała sprzeczcze dzieci. Gdy zrozumiała, o co chodzi, wybuchnęła płaczem:

- I za co tyle nieszczęść na nas! Że też ja ruszyć się nie mogę... A wy, moje nieboraki, musicie tyrać! O, Boże!

- No, no, niech mama nie lamentuje, bo będzie gorzej. Niedługo mama wyzdrowieje, to będziemy z Zośką nygusować. Ja pójdę na tajne komplety, a Zośka będzie z mecenasówną Magdalenką w piłkę się bawić.

- Widzisz? - podchwyciła Zosia. - Mamę trzeba leczyć. A skąd

weźmiesz na te zastrzyki, co są takie drogie, a pomagają jej? Sam na wszystko nie zarobisz!

Jędrak musiał przyznać Zosi rację, chociaż trudno mu było pogodzić się ze zrozumieniem, że Zosia przestała już być bezradną, zabiedzoną kruszyną, po trochu dorastała i zaczynała być w domu niemal równoprawnym partnerem. Okazało się również, że ma swoje zdanie i umie go bronić.

- A niech tam! - machnął desperacko ręką.

Zosia podskoczyła z radości. Nie umiała ukryć, że polubiła swoje "śpiewanki" i sprawiało jej przyjemność, kiedy tłum w tramwaju słuchał jej popisów. A nawet ryzyko z tym związane pociągało ją.

- A teraz posłuchajcie, nauczyłam się dziś nowej piosenki, o takim żołnierzu, co maszerował drogą i miał dwa serca!

Zaczęła śpiewać srebrzystym, dziecięcym głosikiem wesole słowa. W miarę, jak Tosia śpiewała, płacz Martyniakowej ucichał, a na zasepioną twarz Jędrka wyplłynął blady uśmiech.

Część pierwsza (c.d.)

8 - Ci najmłodszy...

Minęła jesień, nadciągała zima, która przejmowała lękiem serca wielu warszawiaków. Za co kupić trochę zapasów? Jak zdobyć węgiel czy drzewo? W co się ubrać? Kilkuletnia okupacja wyniszczyła ludzi doszczętnie.

Wzmagały się przy tym z każdym dniem prześladowania. Okupanci brali na Polakach odwet za swoje klęski, zwłaszcza na froncie wschodnim.

Armia Czerwona zwyciężała, armia Hitlera cofała się, ponosząc wielkie straty. Zaostrzała się też walka Polski podziemnej z najeźdźcą. Młodzież i dzieci Warszawy nie pozostawały w tyle za dorosłymi, w miarę swoich sił i możliwości.

Nie były to, oczywiście, tak poważne akcje zbrojne, jak wysadzanie niemieckich pociągów czy zamachy z bronią w rękę. Czasami można to było nazwać płatanem kawałów czy psotami. Ale psoty te, jak mawiali chłopcy, jednak "psuły krew" okupantom i bynajmniej nie podtrzymywały w hitlerowcach przekonania, że są niepodzielnymi panami polskiej ziemi i warszawskich bruków. Nazywano to "małym sabotażem" i młodzież, związana z różnymi organizacjami, brała w nim udział. Robiła to bardzo zręcznie i z wielkim zapalem, chociaż, mówiąc prawdę, nie wszyscy chłopcy nawet wiedzieli, z jaką to organizacją mają do czynienia, byli na to po prostu za młodzi, za mało doświadczeni i zorientowani w tak zwanej "wielkiej polityce". Im wystarczyło, że ktoś podsunął pomysł i że działają na szkodę okupanta lub okupantowi na złość.

Pewnego dnia, gdy gazeciarze czekali w Alejach Jerozolimskich na swój przydział gazet u "majdaniarza", Stach odwołał Jędrka na stronę i zwierzył mu się tajemniczym szeptem:

- Słuchaj, kombinujemy z chłopakami hecę. Mówił mi taki jeden, że potrzebuje paru obrotnych młodziaków, bo im kilku gości niedawno zamkli...

- No to lu. Robim! Ale co?

- Jutro mam się dowiedzieć, co, gdzie i jak. Pójdiesz ze mną?

- A pewnie! - Jędrrek za Stachem nawet by do piekła poszedł.

Za kilka dni można było zobaczyć o świcie skradające się ulicami postacie chłopców, którzy rozglądając się, czy nie nadchodzi patrol, zmierzali w stronę Nowego Świata. Było ich czterech: Stach, Jędrrek, Janek - też gazeciarz, wierny kumpel z Woli - i najmłodszy z nich spryciarz, Heniek, o którym wszyscy wiedzieli, że najszybciej biega.

- Heniek, ty pilnuj od Trzech Krzyży, a ty, Janek, stań przy Alejach, uważaj, czy jaki patrol nie lezie. Jędrrek, do roboty! - skomenderował Stach.

Był wśród nich najstarszy i tak się jakoś zawsze składało, że wszyscy go słuchali. Młodszy mówili do niego z szacunkiem "szefie", a dorośli zwali go mniej honorowo "prowodyrem".

Zatrzymali się przed jednym ze sklepów, na którego szyldzie widniał napis "Nur f~ur Deutsche" - tylko dla Niemców. Ludność Warszawy musiała się zadowalać otrzymywanymi na przydział bardzo lichymi towarami i materiałami. Tymczasem tu, na wystawach luksusowych sklepów rozłożone były doskonałe gatunki materiałów, ubrania, bielizna po specjalnie niskich cenach, przeznaczone wyłącznie dla okupantów. Doprowadzało to do wściekłości warszawiaków, którzy zazdrośnie spoglądali na te niedostępne dla nich dobra.

- Ja wam pokażę "nur fiur" - mrucał ze złością Jędrrek, majstrując przy sztabach, zabezpieczających wejście do sklepu. - Daj no jeszcze trochę tej mazi! - chłopak zawzięcie ładował do dziurki w kłódce papkę z cementu z jakąś domieszką, która natychmiast ścinała go na kamień. Stach od ręki przygotowywał to nadzienie.

- No, aleśmy ich zrobili! Pokichają się, a budy nie otworzą!

- Chyba że przepiłują kłódkę. Ale taka kłódeczka, fiu, fiu, to nie w kij dmuchał!

- Pękną ze złości!

- No i o to chodzi!

“Zabezpieczywszy” w ten sposób jeden sklep, chłopcy przystąpili do operacji przy następnym. Na Nowym Świecie przeważały sklepy dla obywateli niemieckich.

Wtem rozległ się cichy, ostrzegawczy gwizd. To Heniek dawał znać przyjaciołom o zbliżającym się niebezpieczeństwie.

- Na dziś dosyć...

Chłopcy przerwali robotę i umknęli szybko w stronę Alej

Jerozolimskich, gdzie powoli rozpoczynał się już poranny ruch. Dzwonił pierwszy, jeszcze pusty tramwaj, jadący na Pragę, senny dorożkarz popędzał konia, który w ciszy ulic głośno człapał kopytami, otwierały się niektóre sklepy spożywcze.

To nie sztuka zrobić kawał - jeszcze przyjemniej jest być świadkiem jego rezultatów. Przeczekali pół godziny, grając w klipę na samotnej ławce naprzeciwko gmachu Banku Gospodarstwa Krajowego, zamienionego teraz na jakieś urzędy. Potem zmieszali się z tłumem przechodniów, który gęstniał coraz bardziej, w miarę jak zbliżała się pora, gdy ludzie szli do pracy.

Otwierano już wszystkie sklepy. Jędrzek stanął przy jednej z wystaw, przyglądając się z ogromnym zainteresowaniem rybkom, które pływały w szklanym akwarium w sklepie również “nur fiur”.

Właśnie zjawił się dostojny, gruby Niemiec, widocznie kierownik z pękiem kluczy. Asystował mu mały chłopak _praktykant i personel sklepowy.

- Hmmm - zamruczał ze złością Niemiec, usiłując wepchnąć klucz do otworu w kłódce. - Donnerwetter... psiakrew! - Kląć po polsku naturalnie umiał.

- Herr szef pozwoli, może ja pomogę - podskoczył praktykant.

Zajrzał do dziurki i o mały włos nie parsknął śmiechem. Reszta personelu, widocznie Polacy, również z trudem powstrzymywała się od wesolości.

- Zamurrowane... - z udanym żalem zawołał praktykant.

- Co jest? Was ist das? co znaczy zamurwane? Ty się śmiać! Czekaaj, ja tobie nauczyć się śmiać!!!

- Herr szef, co ja poradzę? Was machen? Kaput! Zamurwane!

- Kto to zrobić? Ja wam pokażę! - Niemiec czerwony ze złości skakał, klął i aż trząsał się od krzyku. - Du, wolać polizei! Niemiacka polizei...

- A może lepiej ślusarza, po co polizei? Policja sklepu nie otworzy... - zaproponował praktykant.

Wymachując rękoma i wykrzykując przekleństwa Niemiec pobiegł sam w stronę placu Trzech Krzyży, aby zameldować władzom o swoim nieszczęściu.

Przy innych sklepach działo się to samo. Przechodnie zaczęły gromadzić się licznie, komentując zdarzenie, obserwując z satysfakcją zamieszanie i uśmiechając się nieznacznie.

Wkrótce cała armia ślusarzy zaczęła pracować przepiłowywać

klódki - na całym odcinku ulicy rozlegał się zgrzyt pilników i stuk młotków.

Nie trzeba dodawać, że ślusarze pracowali jak tylko mogli najwolniej. A

czterech młodych sprawców awantury kręciło się z niewinnymi minami

wśród tłumu, mrugając do siebie znacząco.

Chłopcy mieli w zapasie jeszcze inne niespodzianki dla okupantów.

Niektóre z nich wymagały ryzyka i zręczności, chłopakom jednak nie

brakowało odwagi. Gdy tylko otrzymali od organizacji jakieś zlecenie,

natychmiast zabierali się do jego wykonania.

- "Tylko świnie siedzą w kinie". Fajno mi się udał ten napis! - Jędrrek

odczytywał swe dzieło na ścianie jednego z kin warszawskich.

- Że też nie brak głupich, co chodzą i chodzą do kina. Jakby nie

wiedzieli, że ma się nie chodzić! - mądrzył się Janek.

- Poczekaj, już my im damy wciurę...

Następnego dnia cała Warszawa opowiadała sobie na ucho, jaką

miłą niespodziankę miała publiczność, zgromadzona na jednym z seansów

filmowych. Nieznani sprawcy podłożyli kilka bombek, łzawiących i

cuchnących. Wybuchła niestychana panika wśród amatorów wesołego

niemieckiego filmu, nie chcących podporządkować się nakazanemu przez

władze podziemne bojkotowi wszelkich rozrywek, organizowanych przez

okupantów. Bardzo gorzko płakała publiczność, uciekając z kina. Policja i

pogotowie ratunkowe miały pracowity dzień...

Niektórzy chłopcy wyspecjalizowali się w przerabianiu hitlerowskich

plakatów, wymieniając w nich jedną literę. Widniał na przykład na słupach

ogłoszeniowych plakat "Deutschland siegt an allen Fronten" - co znaczyło:

"Niemcy zwyciężają na wszystkich frontach". Wystarczyło "siegt" przerobić na "liegt", zmieniając jedną literę i już się czytało: "Niemcy leżą na wszystkich frontach". Inni stali się mistrzami w wypalaniu hitlerowcom żrącym płynem dziur w ubraniach i płaszczach w czasie jazdy tramwajem. Jeszcze inni nabrali wielkiej wprawy w tłuczeniu szyb wystawowych w niemieckich sklepach w godzinach południowych, podczas największego w nich ruchu. W tej robocie artystą okazał się mały Heniek, który tak szybko biegał, że zawsze zdążył zwać z miejsca swojego "przestępstwa".

Trrrach!!! Cegła, rzucona z całym rozmachem leciała w olbrzymią lustrzaną szybę niemieckiego sklepu żywnościowego na Nowym Świecie.

Brzdęk! W ciągu sekundy podłoga w sklepie zasypana była odłamkami szkła. Pisk klientów, tłoczących się przy ladach, zdawał się zwiastować co najmniej koniec świata. Niemało pieniędzy kosztowało wprawianie co kilka dni nowych szyb w sklepach, które przecież musiały wyglądać reprezentacyjnie.

- Nie idziesz ze mną jutro po gazetki? Jest transport - zapytał Stach Jędrka któregoś dnia.

Chłopcy nie rozstawali się prawie nigdy w swej konspiracyjnej robocie.

- Nie. Wiesz, odkryli we mnie malarza. Konkurenta Hitlera. Ściany mam malować.

- Gdzie?

- W Alejach. Tam, gdzie była egzekucja.

Egzekucja... Było to jedno z największych okrucieństw hitlerowców, a na dźwięk tego słowa ludziom serca zamierały z przerażenia. Drżano z niepokoju, gdy ktoś bliski wieczorem nie wracał. Może został złapany na ulicy, gdy szedł do pracy lub wracał do domu? Przypadkowe ofiary, nieraz zupełnie nie związane z żadną robotą konspiracyjną. Zakładnicy.

Przywożono ich ciężarówkami, które warszawiacy nazywali "budami", na byłe jakie miejsce w mieście, pod mur jakiegoś domu, usuwano przechodniów z ulicy i nawet nikomu nie było wolno wyglądać przez okno. Ustawiano skazańców ze związanymi rękoma i nogami, żeby żadnemu z nich nie przyszło do głowy uciekać lub zedrzyć z ust gipsowy knebel. A knebel był po to, żeby nikt nie wołał "Niech żyje Polska" lub wykrzykiwał swoje nazwisko. Potem następowały salwy. Ciała rozstrzelanych wrzucano z powrotem na ciężarówkę, na chodniku pozostawała tylko kałuża krwi, a na ścianie domu ślady po kulach. Następnego dnia tłumy gromadziły się wokół słupów, na których hitlerowcy naklejali czerwone afisze z nazwiskami rozstrzelanych "polskich bandytów". Niejeden z tłumy odnajdywał wśród tych nazwisk swoich najbliższych.

Warszawa jednak nie ugięła się pod tymi ciosami. Hasłem było: przetrwać i walczyć! "Polska Walczy" - litery P. W. splecione w kotwicę, znak nadziei kreślono czarną, trudną do zmycia farbą na murach i na bruku przeważnie właśnie w pobliżu miejsc egzekucji. Na miejscach tych ludność polska składała codziennie świeże wiązanki kwiatów, zabierane niezwłocznie przez żandarmów. Po wojnie w tych miejscach wmurowano pamiątkowe tablice i jeszcze dziś ludzie kładą tam kwiaty, zapalają znicze, a

w dniach pamięci zmarłych mali harcerze trzymają tam honorowe warty.

Było jeszcze ciemno, gdy Jędrak wyruszył "na robotę". Najlepiej było pisać na murach rano, gdy mijała godzina policyjna i patrole rzadziej krążyły po mieście. Z blaszanką farby pod kurtką i pomysłowo zrobionym pędzlem, który pomagał równo kreślić litery, Jędrak znalazł się przy Alejach Jerozolimskich. Zadanie nie należało do łatwych. Zawsze ktoś mógł przechodzić o tak wczesnej porze tym ruchliwym odcinkiem centralnej ulicy.

Jędrak rozejrzył się dookoła - było zupełnie pusto. Gdzieś daleko na Marszałkowskiej słychać było oddalające się kroki. Zabrał się do dzieła. Starannie wymalował napis. Tak pochłonięty był właśnie wykonywaniem pięknej kotwicy, że nie dosłyszał, jak od strony Kruczej zbliżyła się postać, niewyraźnie mającząca w półmroku zimowego ranka.

- Was?! Was ist das? - usłyszał nagle nad sobą skrzeczący głos.

Niewysoki żandarm z niedbale przewieszonym przez ramię karabinem, najwidoczniej dobrze podpity, zataczał się mocno na krzywych nogach.

- Was nachst du? Co tu robić?

Jędrak zdębiał. Uciekać! Ale jak? Wyprostował się w mgnieniu oka.

- Ja? Ja tu sobie moją lekcję odrabiam! - wrzasnął impertynencko w chwili, gdy żandarm już chciał go złapać za kołnierz. Umknął mu zręcznie spod ręki. Żandarm zatoczył się.

W tym momencie Jędrak złapał swoją blaszankę z farbą i lunął mu z rozmachem całą zawartością w twarz. Żandarm wrzasnął przeraźliwie.

Czarna, gęsta ciecz zalepiła mu nos, usta, oczy. Jak błędny, rozpaczliwie wymachiwał rękoma, farba zaś rozmazywała mu się po twarzy, rękach i mundurze. Na oślep chwycił karabin i podniósł go do strzału.

Ale Jędrka już nie było. Biegiem uciekał w stronę Kruczej, skręcił w Hożą, potem w Mokotowską i dopiero tam zwolnił tempo. Normalnym, spacerowym krokiem poszedł sobie, jak gdyby nigdy nic, do jednego z kolegów, który mieszkał na Piusa. Dusił się ze śmiechu, gdy przypominał sobie głupią minę żandarma, ociekającego czarną farbą.

- Alem go ubrał! Ciekawe, czy mu moja marmolada smakowała.

Pewno tak samo, jak nam ich kartkowe świństwo, którym nas karmią... - opowiadał kolegom, którzy nie mogli nacieszyć się tak doskonale udanym kawałem.

- Ale ty uważaj, Jędreku! Żeby nie był zalany albo gdyby ich było dwóch, to byś sobie teraz tu z nami, bracie, nie chichotał. Siedziałbyś gdzie na Szucha i pies z kulawą nogą by o tobie nie wiedział.

- Phi! - prychnął Jędreku lekceważąco. - Najgorzej, że jednego ząbka przy kotwicy brakuje. Jutro idę poprawić...

9 - Jak Piotrek Walczak wyprowadził w pole wizytatora

Przyjaciółka Zosi, Janka Balcerzakówna, córka szewca, biegła szybko Wolską, nie dbając o to, że w kałużach topniejącego śniegu zamoczą się jej filcowe kapce. Śpieszyła się nie tylko dlatego, że było bardzo zimno, a paletko miała cienkie. Chciałaby jak najprędzej znaleźć się w domu również z tego powodu, że nie było jakie wydarzenie miała do opowiedzenia swoim młodym przyjaciołom z podwórka: Zosi, Jędrkowi, Hance i Jurkowi

Zawadzkiemu - całej zgranej paczce, która zawsze dzieliła się ze sobą wszystkimi radościami i smutkami. Była bardzo przejęta. Zadyszana i zarumieniona z mrozu i wrażenia wpadła na podwórze.

Zosia mocowała się właśnie z wiaderkiem wody, sapiąc i śmiejąc się, gdy z kołyszącego się kubelka zimne krople pryskały jej na nogi. Zawsze pełna humoru, nic sobie nie robiła z pracy, dość ciężkiej jak na jej wiek i siły, żartując ze wszystkimi i podśpiewując swoje piosenki, które w tramwajach dawały zarobek, a w domu bawiły otoczenie i dodawały ludziom otuchy w tych ciężkich, smutnych dniach.

Jędrak rąbał drzewo i gwizdał, wtórując piosence Zosi. Drzazgi leciały na wszystkie strony.

- Znów mi zaśmieczę podwórko... Cięgiem ino sprzątaj za nimi... - mruczał niezadowolony pan Franciszek, przyglądając się spod oka tej robocie.

- A pan Franciszek to by tylko narzekał. Nie bójcie się, pozbieram każdy wiórek. Drzewo dziś drogie! - odkrzyknął w odpowiedzi Jędrak.

- Stara piła... - mruknął po cichu do przechodzącej obok Zosi.

Ta parsknęła śmiechem. Humory dzieciom poprawiły się ostatnio.

Mama Martyniakowa była już zdrowsza, zarobki Jędrka i Zosi pozwalały na pokrywanie najniezbędniejszych wydatków.

- Ja wam tu dam śmichy_chichy, urwisy jedne - burczał dalej Franciszek.

- Jaśka, a co ci to? Diabeł cię jaki goni?

- Uważaj, zamoczysz balowe obuwie i tata sprawi ci lanie!

Dzieciaki jeden przez drugiego zasypały Jankę docinkami. Stała

przed nimi zasapana, nie mogąc dojść do słowa.

- Żebyście wiedzieli... Co się w szkole stało...

- Ha, ha, ha! Pewnie cieleń oknem wyleciało!

- Wypchaj się, nic nie powiem, jak żeś taki!

- Nie, to nie! Bez łaski...

- Zbudowano Ogród Saski!

- No, no, już dobrze, spokój! Mów, Jaśka!

Zosia uspokajała Jędrka i Jankę, którzy zawsze kłócili się między

sobą w myśl zasady: kto się czubi, ten się lubi. Obrażona Janka już chciała odejść, ale dała się udobruchać.

- No, gadaj. Widzieliście obrażoną królownę...

Jeszcze trochę nadąsana Janka zaczęła opowiadać. Rozpierała ją

duma, że może zaimponować bractwu ciekawą historią.

A było tak. Jak zwykle tego dnia w szkole, do której chodziła

dziewczynka, pani na lekcji robót ręcznych opowiadała dzieciom historię

Polski.

Dzieci dobrze wiedziały, że o tych lekcjach nikt nie może wiedzieć.

Była to tajemnica ich i ich pani nauczycielki. W ogóle okupanci dbali o to,

żeby polskie dzieci umiały jak najmniej. Istniały tylko szkoły podstawowe,

czyli "powszechniaki", i zawodowe, w których uczono rzemiosł. Polacy mieli

być niewykształconymi robotnikami - i niczym więcej. Mieli nie znać swojej

historii, ani historii powszechnej, ani geografii, ani literatury. Odpowiedzią

Polaków na te represje było tajne nauczanie. Nie tylko w szkołach

powszechnych i zawodowych skrycie “przemycano” zakazane przedmioty.

Istniały też szkoły średnie i uniwersytety. Lekcje i wykłady odbywały się na tajnych kompletach w prywatnych mieszkaniach uczniów i profesorów.

Zdawano nawet matury i egzaminy. Jak w normalnych uczelniach.

Niestety, ta działalność pociągała liczne ofiary - i wśród uczniów, i wśród profesorów.

Zginęły

ich

tysiące.

Tysiące

poszły

do

obozów

koncentracyjnych, obozów śmierci.

A więc książek, podręczników w klasie nie było. Nie wolno też było nic

zapisywać. Uczono się na pamięć, starając się lepiej zapamiętać daty i

wydarzenia, niż gdyby chodziło o przedmiot obowiązkowy. Stopni pani nie

stawiała, ale każdy uczeń uważał za punkt honoru odpowiadać tak, żeby

zasłużyć sobie na pochwałę młodej, wesołej i takiej “swojej” nauczycielki.

Nie robiono jej nawet takich psot, jak panu od arytmetyki, nikt nie grał w

obrazki, stalki czy “kartofle”, albo w kółeczka i krzyżyki, nikt nie śpiewał

chórem “w niedzielę nad stawem rodzina kacza”, czym doprowadzano

zwykle do skrajnej rozpaczycy nauczycielkę rysunków.

Kolega, czy koleżanka, którzy jękali się na lekcji historii,

przypisywali zwycięstwo pod Grunwaldem Sobieskiemu, a Jagiełłę wysyłali na Turków pod Wiedeń, otaczani byli zgodną pogardą całej klasy i otrzymywali mało zaszczytne miano "fujary". Toteż w niedługim czasie tego rodzaju okazy leniuchów zaczęły należeć do rzadkości.

Tematem dzisiejszej lekcji był hołd pruski. Pani pokazywała dzieciom piękną, kolorową pocztówkę, fotografię obrazu Matejki i opowiadała o królu Zygmuncie Starym, który na rynku krakowskim przyjmował przysięgę wierności Polsce od pruskiego księcia Albrechta, byłego mistrza zakonu krzyżackiego.

Zastłuchane dzieci odłożyły na bok kredki, kolorowe papierki, klej, wycinanki, robótki ręczne, które miały służyć w razie możliwej wizytacji za dowód, że w klasie "wszystko jest w porządku". Nagle rozległo się ciche pukanie do drzwi. Wsunęła się jasna główka córeczki woźnego.

- Wizytacja... - zawołała półgłosem w stronę katedry i znikła.

Słysząc było tylko jej szybkie, ciche kroki na korytarzu, gdy biegła do sąsiednich klas, by uprzedzić uczniów i nauczycieli. A nuż wizytacja odkryłaby w którejś z klas jakąś lekcję zakazanego przedmiotu! Strach pomyśleć! Mogliby zamknąć szkołę, zaaresztować nauczycieli, wywieźć na roboty do Rzeszy starszych uczniów...

- Dzieci, mam nadzieję, że nikt nie ma w tornistrach książek ani zeszytów pod ławką. Krysiu, ty znów nie masz nic w ręku. Tyle razy ci mówiłam! Kończ tę chusteczkę, którą zaczęłaś dwa tygodnie temu haftować, guzdrało...

Pani była zdenerwowana, lecz starannie ukrywała swój niepokój

przed dziećmi. Jak gdyby nigdy nic zaczęła przechadzać się między ławkami.

- Tylko spokojnie... No, uśmiechnijcie się! Po co te ponure miny?

Trzymać się ostro, smyki... - dodawała otuchy swym wychowankom. Pani

Kalinowska

-

tak

brzmiało

jej

nazwisko

-

była

jednocześnie

wychowawczynią czwartej klasy, w której uczyła się Janka.

- Jakie krzywe ściegi stawiasz, Janko - z udaną surowością gromiła

dziewczynkę, gdy drzwi otworzyły się i do klasy wkroczyła grupa, złożona z

trzech osób. Dwóch panów szło przodem, a za nimi blady, ale spokojny

dyrektor szkoły.

- Dzieci, wstańcie - zwróciła się pani Kalinowska do uczniów.

Dzieci posłusznie uniosły się z miejsc i wlepiły wzrok w obcych

przybyszów, którzy uważnym, ostrym spojrzeniem przyglądali się klasie.

- Dzień dobry... - zabrzmiał chór leniwych, obojętnych głosów.

Jeden z wizytatorów skinął ręką na znak, że dzieci mogą usiąść. Gdy

ucichło szuranie nogami, trwające stanowczo dłużej niż potrzeba, i dzieci

usadowiły się w ławkach, wysoki i chudy jegomość o nieprzyjemnym

wyrazie twarzy zaskrzeczał:

- Jaka lekcja?

- Roboty ręczne.

- Hm - mruknął i obrzucił podejrziwym wzrokiem młodą

nauczycielkę. Pochylił się do swego towarzysza i coś mu szepnął. Tamten

skinął głową. - No to porozmawiamy sobie teraz trochę z dziećmi -

powiedział i zwrócił się do klasy.

Jego oczy spoza okularów szybko biegały po małych postaciach,

szukając odpowiedniej ofiary. Czterdzieści par oczu, niebieskich, szarych,

brązowych - raczej obojętnie patrzyło na niego. Dzieci były już

przyzwyczajone do podobnych "najazdów", jak nazywano te częste

wizytacje. Jakże pragnął ten kościsty, obcy jegomość przeniknąć w głąb

myśli, ukrytych w tych jasnych i ciemnych główkach, schylonych nad

pulpitami! Ale dzieci umiały milczeć i strzec swych tajemnic.

- Ty! chodź tu! - wizytator wskazał palcem na Piotrka Walczaka,

siedzącego w jednej z ostatnich ławek, gdyż po pierwsze natura nie

poskąpiła mu wzrostu, a po drugie odsypiał w szkole noce, spędzane na

dozorowaniu jakichś magazynów. Jak wielu innych, też musiał zarabiać na

chleb i powinien właściwie być o dwie klasy wyżej, lecz się nie spieszył z

ukończeniem szkoły. Jakoś go jednak bronila przed wywiezieniem na

roboty.

- Pewno "foks" - szepnęła cichutko sąsiadka Janki. - Po polsku gada...

Wśród dzieci dało się odczuć leciutkie poruszenie. Piotrek był

“cwaniakiem”, znanym z dowcipu.

- Ten to ma łeb nie od parady! - mówiono w szkole.

Na okupantów cięty był bardzo. Nienawidził ich z całej duszy.

Nacierpiał się od nich niemało. Ojciec jego zginął w Oświęcimiu, starszy brat musiał uciekać do lasu, do partyzantki.

- Ja też na wiosnę wieję do lasu... - twierdził uporczywie.

Pani Kalinowska odetchnęła z ulgą.

Ten nie da się wyprowadzić w pole, pomyślała.

- Ale trafił! Palcem w niebo! - cieszyły się skrycie dzieci.

- Jakiego znasz największego człowieka? - zapytał wizytator, gdy chłopiec stanął pośrodku klasy.

Piotrek wytrzeszczył oczy, zrobił głupią minę, podrapał się za uchem, przestąpił z nogi na nogę, chrząknął parę razy i wymamrotał:

- Ano, chyba pan Walenty to będzie największy, jakiego znam...

W klasie rozległ się gdzieniegdzie tłumiony chichot, lecz ucichł natychmiast pod ostrym spojrzeniem pani Kalinowskiej. Wizytator wytrzeszczył ze zdumieniem oczy.

- A kto to?! - zawołał głosem, w którym drgała złość.

- A to, proszę pana wizytatora... nasz woźny szkolny. Bardzo wielki, wzrostu ma chyba ze dwa metry...

Piotrek rozbrajająco naiwnie popatrzył na wizytatora i uśmiechnął się przymilnie.

- Ależ ja nie o wzrost pytam, ty głupi chłopaku, ale jaki jest największy bohater, najslynniejszy człowiek na świecie. No, prędko, mów!

Piotrek otworzył usta głupkowato i gapił się na wizytatora jak na osobliwe zwierzę. Udawał, że nie rozumie pytania. Ach, gdyby wizytator wiedział, że Piotrek jest jednym z najzdolniejszych uczniów w szkole!

- To ty nie wiesz? A kto to jest Adolf Hitler? No, jeszcze nie wiesz? Nikt ci o nim nie mówił? - Wizytator zaczynał złościć się coraz bardziej.

- Aaa, już wiem, już wiem! - zatrajkotał Piotrek z entuzjazmem.

- No widzisz, jednak z ciebie rozsądny chłopiec. A co zrobił wódz Adolf Hitler?

- Wojnę! - wypalił Piotrek, wpatrując się nadal ufnymi, niewinnymi oczyma w wizytatora.

- A jakie wielkie zwycięstwa odniósł Adolf Hitler? - próbował dalej pytać wizytator.

- Ano, pobił Anglików, Amerykanów, Rosjan, Szwedów, Francuzów, Włochów, Chińczyków, Japończyków i zdaje się, że pod Wiedniem Turków...

- plótl szybko Piotrek. - Niemców... - dodał po krótkim namyśle, ale z głębokim przekonaniem.

- Jak to, Niemców?! - wrzasnął oburzony wizytator.

- A to coś mi się musiało we łbie pokielbasić. - Piotrek zawstydzony pochylił głowę.

Dzieci zatykały rękoma usta, krztusząc się ze śmiechu.

- A ty pamiętasz, że Hitler pobił Polskę?

- Polskę... Polskę... A co to jest Polska? - niespodziewanie, lecz niesłychanie grzecznie zapytał Piotrek.

Wizytator spojrzał na niego podejrzliwie. Nie mógł zrozumieć, czy

chłopak jest aż tak głupi, czy też może pozwala sobie kpić z niego, z smego pana wizytatora?

- Jak to, nie wiesz? A gdzie ty mieszkasz?

- Pani nam mówiła, że w Generalnej Guberni. Generalgouvernement, czy jakoś tak... Nie umiem wymówić. Ale co to jest Polska, proszę pana? - głos Piotrka stawał się natarczywy.

Piotrek, jak to się mówi, "zastrzelił" swym pytaniem wizytatora.

Wizytator był wściekły sam na siebie. Wpadł w pułapkę. Ten smarkacz jawnie drwi. Przecież okupanci rzeczywiście chcieli wykreślić słowo

"Polska" z historii i geografii. Nie używano tego słowa nigdzie w

urzędowym języku. Chciano, żeby i dzieci o nim zapomniały... Jak tu

wybrnąć z głupiej sytuacji, którą sam stworzył nieostrożnym pytaniem?

Najlepiej będzie... Rozgniewał się.

- Ty mi tu głupich pytań nie zadawaj! Ja się ciebie pytam, a nie ty mnie, rozumiesz?!

Cała klasa triumfowała: udało się wyprowadzić wizytatora z

równowagi! A to ci zuch, ten Piotrek! Wykiwał tę szkaradną pokrakę!

Wizytator był już zupełnie wyraźnie zmieszany. Wypadałoby zadać

chłopcu jeszcze jakieś pytanie, żeby zatrzeć tamto nieprzyjemne wrażenie.

Tak dać się podejść temu polskiemu smarkaczowi! Jak on teraz wygląda

wobec swojego zwierzchnika z gestapo, który, chociaż mało rozumie po

polsku, przysłuchuje się wszystkiemu uważnie.

- Jaka jest największa rzeka w Generalnej Guberni? - rzuca więc na

chybił trafił pierwsze pytanie, jakie przychodzi mu do głowy i wydaje się

bezpieczne.

- Wisła.

- Dobrze. A dokąd Wisła płynie?

- Do morza...

- Byłeś kiedy nad morzem?

- Pewnie, że byłem.

- Gdzie? W Gotenhafen?

- Neeee... W Gdyni.

- A wiesz, gdzie leży Gotenhafen?

- Neeee...

- A Gdynia?

- Pewnie, że wiem. Nad Bałtykiem, niedaleko Gdańska.

- Przede wszystkim nie mówi się Gdańsk, tylko Danzig. A po drugie, czy ty nie wiesz, że Gdynia nazywa się teraz Gotenhafen?

- Neeee... A dlaczego się tak nazywa?

Piotrek znów wybauszyl oczy i pytająco spojrzal na wizytatora. Ten ze zniechęceniem machnął ręką i kazał mu wracać na miejsce. Wywołał jeszcze paru uczniów, nie ryzykował już jednak zadawania im takich pytań, jak Piotrkowi. Wciąż głowił się nad rozwiązaniem zagadki: czy chłopak tylko udawał, że jest nierozgarnięty, czy rzeczywiście nie rozumiał, o co chodzi.

- Bardzo słaba ta pani klasa. Dzieci w niczym się nie orientują! -

powiedział z wymówką do pani Kalinowskiej wychodząc.

Coś jeszcze pogadał po cichu w drzwiach z drugim wizytatorem. Ten

kiwnął głową. Do dzieci dobiegały tylko strzępki niezrozumiałych niemieckich słów.

Gdy nieproszeni goście opuścili klasę, wybuchł gwar głosów.

- Cicho, dzieci, cicho, oni jeszcze mogą usłyszeć! - uspokajała pani

Kalinowska, ze zdenerwowania ledwo trzymająca się na nogach. No, ale

minęło szczęśliwie. Mogłoby być gorzej, na przykład, gdyby rewidowali

teczki, co też się zdarzało podczas podobnych nalotów. Nigdy nie wiadomo,

co te dzieciaki ze sobą noszą... Gazetki, ulotki, zakazane książki...

- A to łobuz! Hitler największy człowiek! - przekrzykiwali się chłopcy

z oburzeniem.

Piotrek jako bohater dnia budził ogólny podziw.

- Morowo się spisałeś! Aleś mu przygadał z tą Gubernią. I z tymi

Niemcami, co ich Hitler pobił! I Japończyków! - zaśmiewały się dzieci.

Tak samo śmieli się Jędrzek i Zosia, gdy słuchali opowiadania Janki o

awanturze w szkole. Jędrzek westchnął. Tak by chciał pójść znów do szkoły!

Czasami wpadał do jednego ze swych dawnych nauczycieli albo do kolegów,

pożyczał książki, czytał. Ale cóż, nauki to nie zastąpi. Pocięszał się myślą, że

po wojnie znów będzie szkoła, taka prawdziwa polska szkoła. A wojna już

chyba niedługo się skończy. Zosia właściwie też powinna już pójść do

szkoły. Ale nie ma żadnych wymaganych dokumentów. Zaraz by ją

rozszyfrowali i byłaby z tego okropna bieda.

Uciecha dzieci z powodu nieudanej niemieckiej wizytacji w szkole

Janki nie trwała, niestety, długo. Minęło kilka dni. Janka wolnym krokiem

przywlokła się do domu ze spuszczoną smutnie głową i oczyma pełnymi łez.

- Już chyba nie będzie szkoły... Panią naszą zabrali dziś rano...

wprost ze szkoły... - łkała Janka w objęciach Zosi. - I pana dyrektora też! I

Walentego, woźnego. I panią od geografii. A myśmy byli dla niej tacy

niedobrzy! Kładliśmy jej muchy do kałamarza... A raz wypuściliśmy na

katedrę mysz... - Ale słuchaj, Janka, coś musi w tym być. Chyba ktoś sypnął?

No bo po jednym wyglupie Piotrka nie zrobiliby aż takiego pogromu.

Najwyżej dostałoby się waszej pani Kalinowskiej. A Piotrek? Co z nim?

Janka podniosła na Jędrka zażawione oczy:

- Piotrka już następnego dnia nie było w szkole. Mówią, że do brata

wywiął, do lasu.

- To i dobrze. No, ale ci nauczyciele? I Walenty?

Janka po chwili namysłu stuknęła się w czoło i zawołała:

- Już wiem! Tak. Chyba masz rację! wiem, wiem! Teraz rozumiem! - i

zaczęła gorączkowo wyrzucać z siebie słowa. - Już dawno przyglądaliśmy

się takiemu jednemu... Karolkowi. Taki rudy, pyzaty, siedzi w ostatnim

rzędzie koło Piotrka. I ciągle się koło niego kręcił, wciąż się go czepiał. A to

mu powiedz, co rodzina robi, a gdzie klasa po lekcjach chodzi, a co też na

wojnie słychać. I tak w kółko. Bohatera odstawia. Mówi, że jest w jakiejś

organizacji. A ktoś parę dni temu widział, jak jego mama całe torby ze

sklepu dla Niemców ciągała. Trzeba się dowiedzieć, ona na pewno jest

folksdojczką. Jeżeli tak, to nic, tylko on musiał sypnąć. I o tych lekcjach

historii i geografii Polski, i o gazetkach, co je pam Walenty zawsze miał u

siebie. I że “dyro” o wszystkim tym wiedział i na to pozwalał, a takich

starszych jak Piotrek naumyślnie w każdej klasie po dwa lata

przetrzymanywał, żeby na roboty nie pojechali.

- A jak się ten rudy Karolek nazywa?

- Karczmarek.

- Jak? Jak? Powtórz jeszcze raz.

- Mówię, przecież, Karczmarek. Jędrak aż zatrzęsł się cały z wrażenia.

- Taki rudy, piegowaty, wylupiaste niebieskie oczy?

- Tak, mniej więcej...

- A nie wiesz, ma on może brata?

- Ma. Mówił o nim kiedyś. Trochę starszy, raz był po niego w szkole.

Podobny do niego kropka w kropkę.

- Jaśka, ty nawet nie wiesz, co to znaczy! Nie masz pojęcia, jakiego klina mi zabiłaś!? Jeżeli to prawda...

- A co, ty tamtego może znasz?

- I jak jeszcze! On z nami od paru tygodni łązi. Też gazety sprzedaje.

Aż obrzydł nam, taki nudny.

- Ależ im się świetnie powodzi! Po cóż by tamten gazety sprzedawał?

Karol jest dobrze ubrany, ma zawsze bułki z szynką na śniadanie...

- Właśnie. A Wiktor niby w takiej biedzie. To mu na tramwaj pożycz,

to papierosów na handel odstęp... Coś tu nie gra! - Jędrak zasepił się. - On pewno nas szpieguje... - wyszeptał przygnębiony.

Chłopcy między sobą nie krępowali się zbytnio. Dawali upust całej swojej nienawiści i pogardy do okupanta, przechwalali się nawet czasami nieostrożnie swoimi wyczynami w konspiracji.

Ostatnio Wiktor Karczmarek, który nie wiadomo, w jaki sposób do

nich trafił, zbliżył się do Stacha i Jędrka. Nie zwracali na niego uwagi. Jeden więcej - jeden mniej. Tylu chłopców kręciło się po Warszawie w poszukiwaniu zarobku! Kto by się tam interesował, skąd który przyszedł i co robi jego rodzina? Nadmierna ciekawość była nawet niewskazana.

Okazało się, że sprawa wygląda poważnie.

- Przecież on nas może szpiclować, kiedy chodzimy po gazetki do drukarni do Jerzego! - wykrzyknął Stach, nie mniej przerażony od Jędrka, gdy przyjaciel przybiegł do niego z alarmującą wiadomością.

- A pewno! Musimy na niego uważać. Trzeba sprawdzić to, co mówiła Jaśka. Może to tylko takie babskie gadanie! Nie można nikogo na darmo podejrzewać.

Ale po bliższej, dokładnej obserwacji, zarządzanej przez Stacha, który się natychmiast opanował i zabrał do działania, doskonale funkcjonująca organizacja chłopców stwierdziła, że nie było to wcale "babskie gadanie".

Braciszkanie - Karol i Wiktor - mieli mamusię, regularnie zapisaną jako folksdojczka w niemieckich sklepach. Mieszkali u stryja we wspaniałym mieszkaniu, przed którym bardzo często zatrzymywały się auta.

Znajomi

milej

rodzinki,

często

odwiedzający

mieszkanie

Karczmarków, paradowali w mundurach, dobrze znanych warszawiakom.

Przychodzili też cywile o podejrzanym wyglądzie. W mieszkaniu bawiono się wieczorami wesoło i śpiewano niemieckie piosenki.

- Psiakość! A on nam mówił, że mieszka zupełnie gdzie indziej! -

splunął ze złością Jędrak, ukryty w bramie naprzeciwko domu, w którym właśnie przed chwilą zniknął ich kolega Wiktor Karczmarek, obejrzawszy się uprzednio uważnie dookoła, czy ktoś za nim nie idzie.

Teraz chłopcy już byli pewni, że ich "koleżka" to szpicel, nasłany na nich przez gestapo. Wiedzieli wszystko.

Niestety, było już za późno!

10 - Wsypa

- Wielka nowina, nie ma Berlina! - bezczelnie wykrzykiwał Jędrzek najnowsze wiadomości o bombardowaniu Niemiec przez aliantów, przeskakując z trzaskiem z tramwaju do tramwaju.

Zachęceni w ten sposób pasażerowie skwapliwie wyciągali ręce po gazetę. Było południe. Na słońcu śnieg topniał i ludzie cieszyli się, że zima ma się ku końcowi. Jakoś zawsze lżej się żyje, gdy grzeje ciepłe słońce. A może na wiosnę wojna już się skończy? Od samego początku wojny każdej zimy mówiło się, że już na pewno tym razem na wiosnę będzie koniec... A jeżeli nawet nie - to z całą pewnością latem!

Jędrzek, gwizdząc, stał na stopniu tramwaju, pędzącego w stronę mostu Poniatowskiego, mrużył oczy, wpatrując się tak, jak inni, z nadzieją w słońce, tym bardziej iż myśli jego, krążące dookoła obecnie przeżywanym dni, nie były zbyt wesołe. Chłopcy mieli dość powodów do zmartwień.

Wiktor zwąchał, że chłopcy boczą się na niego i od kilku dni nie przychodził do majdaniarza po gazety.

- I co to będzie, jeżeli on sypnie? Co on może wiedzieć? - zastanawiał się Jędrzek. Nie bał się o siebie, ale lęk o drukarnię i pracujących w niej ludzi, którzy zaufali chłopcom, nie opuszczał go ani na chwilę. Dali już znać Jerzemu o zagrożeniu punktu i na wszelki wypadek przedsięwzięto różne środki ostrożności. Ale nigdy nic nie wiadomo...

Jak gdyby na potwierdzenie tych myśli, tramwaj nagle zahamował na środku mostu, tak gwałtownie, iż Jędrzek o mały włos nie spadł ze

stopnia. Z obu stron obskoczyli wagony żandarmi w jasnozielonych i gestapowcy w czarnych mundurach z najeżonymi groźnie karabinami.

- Aussteigen! Wysiadać! Rrrraus! - rozległa się komenda.

Początkowo ludzi w tramwaju ogarnęła panika. Kobiety zaczęły płakać. Któryś z oficerów wrzasnął i wszyscy się uspokoili. Z malującą się na twarzach zawziętością zaczęli wysiadać - aż nadto dobrze znali już warszawiacy tak zwane "łapanki". Nie wiedzieli jeszcze tylko, że obławy tego dnia miały szczególny charakter. Tego dnia, 1 lutego 44 roku, dziewięcioosobowa grupa jednej z organizacji podziemnych "Parasola" dokonała zamachu na szefa policji w Warszawie, zwanego "katem Warszawy" generała Kutscherę. General zginął, a zamachowcy uciekli dwoma samochodami i rozproszyli się po mieście. Więc pościg za nimi trwał.

Jędrak zakręcił się w tłumie i w odpowiedniej chwili umknął w bok.

Jakiś żandarm złapał go za ramię, ale zobaczył gazety i puścił, machnąwszy ręką. Jędrak cofnął się i szybko pobiegł z powrotem w stronę Nowego Światu. Na przystanku przy Solcu udało mu się złapać tramwaj, też jadący w kierunku mostu - właśnie ruszał, cały oblepiony ludźmi.

- Łapanka na moście! - krzyknął Jędrak.

W jednej chwili ludzie oderwali się od stopni, zaczęli wysypywać się jak groch z wagonu i uciekać, gdzie kto mógł, schodami na dół, na Powiśle, albo do Śródmieścia. Jakiś Niemiec wyjrzał z przedniego pomostu.

- Co się dzieje? Dlaczego nie rusza? - denerwował się, zasypując konduktora pretensjami.

- Przecież ludzie wysiadają... - zauważył motorniczy z miną na pozór obojętną. Gdy tylko wagony opustoszały, tramwaj ruszył naprzód z tym jednym niecierpliwym niemieckim paszerelem w przednim przedziale.

A Jędrak już biegł dalej. To samo powtórzyło się przy następnym tramwaju. Spotkani po drodze przechodnie również od razu orientowali się, o co chodzi. Jeden powtarzał drugiemu: "łapią". I tak uprzedzano się nawzajem o grożącym niebezpieczeństwie. Wielu ludzi zawdzięczało swe ocalenie przed łapanką warszawskim gazeciarkom. Uprzedzeni przez nich na czas, mieli możliwość uciec, ukryć się lub przynajmniej pozbyć się jakiejś niebezpiecznej paczki na przykład z "bibułą", czyli gazetkami.

Przy Nowym Świecie Jędrak odetchnął. Tu już nie mógł nic wykrzykiwać, bo na rogu stał gestapowiec, a obok niego kilku "granatowych" policjantów baczny okiem obserwowało ruch uliczny. "Granatowi" to byli po prostu polscy przedwojenni policjanci, przeważnie zmuszeni przez okupantów do pełnienia służby. Chłopak był zadowolony z siebie: zapewne udało się wyciągnąć z biedy trochę osób. Nurtowała go jednak myśl: co się stało, że Stach nie przyszedł dziś po gazety? Przecież umawiali się, że potem pójdą razem na Wolę, żeby pomóc Jerzemu przy ewakuowaniu drukarni. Postanowił, że natychmiast po wyprzedaniu gazet pojedzie do przyjaciela, by dowiedzieć się, jak wygląda sytuacja.

Gdy wdrapał się po zniszczonych, drewnianych schodkach i zapukał w niskie drzwi, otworzyła mu Baśka, jedna z sióstr Stacha.

- Jest Stach?

- Nie ma. - Baśka z zawiniętymi rękawami i w mokrym fartuchu, na

którym widać było mydliny, nieomylny znak domowego "święta" - prania - zaprosiła Jędrka, by wszedł.

- Taki tu u nas dziś bałagan...

Wśród gęstej pary, unoszącej się z balii i z kotła, w którym gotowała się bielizna, można było słabo rozróżnić kontury paru gratów, wypełniających ciasną izbę. Druga siostra Staśka, Ania, kręciła się przy kuchni, mieszając w garnku kaszę i pochlipując od czasu do czasu.

- Ej, mała, co ci to? Czego beczysz?

- Ano, Stach się z nią pokłócił rano. Jakby go co ugryzło. Zły, że ani przystąpił. Matce odburknął, Ankę szturchnął, śniadania nie zjadł i poleciał.

Nie wiesz, o co chodzi?

Jędrak pokręcił głową i zastanowił się. Jaka mogła być przyczyna niezwykłego zdenerwowania Stacha? Przecież tak kochał swoją rodzinę. Nieraz rozhukany wśród kolegów, w domu zmieniał się nie do poznania, jako opiekun swoich "bab", jak je żartobliwie nazywał, zawsze dobry, wyrozumiały, choć do rany przyłóż! A tu... Skąd ta nagła złość?

- Czy był tu może kto dziś rano? - zapytał Baśkę.

- A jakże. O szóstej rano przyleciał Heniek, ten wasz szybkobiegacz, poszeptali coś przy drzwiach i tyle ich widziała.

- Heniek... No to ja już wiem, gdzie oni są. Pójdę tam, zobaczę, co się święci. Trzymajcie się, dziewczuchy. A jak Stach zły, to nie zawracajcie sobie tym głowy. Ot, wiecie, każdy dziś ma jakiś zgryz...

Wszedł, nadrabiając miną i pogwizdując beztrosko. Po co dziewczyny mają się martwić. Nie ich babska rzecz. Ale gdy tylko znalazł się

za bramą, przestał natychmiast gwizdać i popędził co tchu w stronę domu.

Niedobrze... Coś musiało się stać. Może Heniek u mnie też był, ale nie

zastał... Niespokojne myśli kłębiły się w głowie Jędrka.

Mały Heniek_szybkobiegacz pełnił funkcję łącznika w nagłych

wypadkach pomiędzy chłopcami, czyli kolportarzem i tajną drukarnią. A

Jędrak tego dnia wyszedł wcześniej z domu, żeby odnieść książki, pożyczone

od swego nauczyciela. Zajęło mu to sporo czasu, bo nauczyciel mieszkał aż

na Pradze. Byłoby szkoda, gdyby miały wpaść w niepowołane ręce.

“Placówka”, “Krzyżacy”, kilka tomików wierszy, historia Polski... W sam

raz smakolyki dla gestapowców, gdyby chcieli zajrzeć na Wolską. A kto wie,

co temu donosicielowi Wiktorowi przyjdzie do głowy?

Jędrak jak bomba wpadł do mieszkania.

- Był tu po mnie kto? - krzyknął od progu. Rzucił okiem po pokoju i

zdębiał.

Zosia siedziała na łóżku mamy Martyniakowej i w jej objęciach

zalewała się łzami. Martyniakowa głaskała ją słabą ręką po głowie i starała

się uspokoić szlochającą dziewczynkę. Jędrak pamiętał Zosię płaczącą tylko

na początku ich znajomości, gdy przywlókł ją do domu ledwo żywą,

wykradzioną z transportu. Od dłuższego czasu już nie widział łez w oczach

swojej dzielnej pomocnicy.

- Zośka, co się stało?! Gadaj!

- Staaach! Jędrak, Stach! - z trudem wykrztusiła.

- Co, Stach? co ze Stachem? No, gadaj nareszcie! - Jędrak ze

zdenerwowaniem potrząsał ramieniem dziewczynki.

- Gestapo zabrało! - Zosia znów wybuchnęła płaczem.

Przestań się mazać, jak baba! Gadaj po ludzku. Jak to było? Skąd wiesz?!

Głosem przerywanym od płaczu dziewczynka zaczęła opowiadać:

- Rano, jak wyszedłeś, przylecieli Stasiek z Heńkiem. Stasiek zaklął, kiedy się dowiedział, że ciebie nie ma, i umknęli. Ja za nimi, bo chciałam dowiedzieć się, co jest. Najpierw Stasiek fuknął na mnie, ale potem powiedział, że mogę pójść z nimi, no bo dziś przeprowadzka drukarni i może się do czego przydam. Poszliśmy. Po drodze mówił mi, że dostali "cynk", że gestapo już wszystko wie o drukarni i stąd ten raban. Może uda się jeszcze coś wynieść. Na miejscu Stasiek i Heniek weszli do środka, a mnie zostawili na dworze, żebym uważała i jak co, to miałam gwizdać.

- No i co? Wtedy przyszli, a ty może ich przegapiłaś, tych czarnych?

- No wiesz - obraziła się Zosia. - Inaczej było. Oni tam w domku siedzieli i siedzieli, podobno paczki wiązali, a ja tak wypatrywałam, że mało mi ślepia nie wyskoczyły. Nareszcie wyszli, obładowani jak te handlarki na dworcu. A Jerzy z żoną jeszcze zostali, bo coś tam mieli pozbierać.

Poszliśmy, ale tą prostą drogą, do Wolskiej, nie na skrót. Staszek mówił, że paczki za ciężkie i nie da rady przepychać się przez krzaki. Ja szłam pierwsza, a chłopaki za mną. Ale nie razem, tylko o parę kroków jeden za drugim.

Jędrrek pomyślał, że właściwie wszystko to było zgodne z zasadami zachowania ostrożności, więc czemu?

- No i dochodziliśmy już do skrzyżowania z Wolską, kiedy

usłyszałam, że idą... Cofnęłam się i zaczęłam machać ręką. Gwizdać nie mogłam, bo tamci by usłyszeli. Więc tylko machałam ręką i chłopcy to zobaczyli. Stanęli i pewno kombinowali, jak tu zwiać. A ja... wiesz, tam jest taki parkan, co ma obluzowaną deskę. Schowałam się w tę dziurę, że mnie nie było widać. Ale ja wszystko widziałam. No i zobaczyłam ich. Szło dwóch "zielonych", znaczy się żandarmów, i trzech "czarnych" i ten rudzielec Wiktor. Jak mu tam Karczmarek, co to go przez kilka dni śledziliśmy, gdzie mieszka. On coś zawołał i pokazał ręką na Stacha, który stał na środku drogi z paczkami, jakby zdębiał.

- A Heniek? - zapytał Jędrek, zastanawiając się, jak on sam postąpiłby w takiej sytuacji. Może by go też sparaliżowało ze strachu albo z zaskoczenia. Ten Wiktor...

- Heniek przytomniak. On jakoś złapał moment, bo szedł za Stachem.

Cisnął pakę w krzaki i w nogi. Jeszcze nie widziałam, żeby kto tak galopował. Prysnał w taką boczną ścieżkę, co prowadzi do ruin fabryki, i tyle go widzieli. Jeden żandarm strzelał, ale nie trafił. No i tak Heniek zwiął.

Zabrali tylko tę paczkę, którą w krzaki rzucił. Zdaje się, że to były ulotki i gazetki, bo papier się rozdarł i część się wysypała. A Stacha tak otoczyli, że ani rusz. Zabrali mu te paczki, przystawili do pleców lufę, przeszukali kieszenie, ręce kazali podnieść do góry i poszli z nim razem. Wszyscy.

- W stronę Wolskiej?

- A nie. W stronę drukarni. Jędrek jęknął.

- Nie lamentuj, nie ma czego. Niebieskie oczy Zosi, już teraz suche byłyszczały podnieceniem, a na zarumienionej buzi malowała się zaciętość. -

Jędrrek! Co ja, dziecko? czy strachają?

Jędrrek słuchał w napięciu i tylko przemknęło mu przez myśl: co to wyrosło z bezradnego maleństwa, które ledwo odchuchali półtora roku temu...

Zosia trochę jakby się zawstydzila.

- No wiesz... Z początku miałam pietra. Chciałam zaraz wiać, jak tylko oni sobie pójdą. Ale pomyślałam, że w drukarni zostali jeszcze Jerzy i Irka. Co to będzie, jeżeli ich tam nakryją? Nie wiedziałam, co jeszcze w drukarni zostało. No i pomyślałam, że trzeba im migiem dać znać, że idzie oblawa. Dobrze, że byłam schowana za tym parkanem. Stamtąd przez podwórka i krzaki dużo bliżej do drukarni. Więc ja nogi za pas i chodu. Zdążyłam. Od kuchennego wejścia. Jerzy i pani Irena byli jeszcze w piwnicy. Więc ja krzyczę do nich, żeby uciekali, ale zaraz, już, bo Niemcy idą.

Wyciągnęłam ich też tą skróconą drogą, wsadziłam do dryndy, co się akurat na Wolskiej napatoczyła, no i pojechali co koń wyskoczy. Zdążyliśmy w sam raz, bo jak wialiśmy, to jeszcze słyszałam, że ci gestapowcy kolbami drzwi frontowe rozbijają. Najwyżej trochę śmiecia znaleźli w piwnicy. I tyle.

Jędrrek oczywiście nie obawiał się “wsypy” ze strony Stacha. Zbyt dobrze znał twardy charakter swojego przyjaciela. Nie puści farby. Ale Wiktor, skoro już poszedł na taką jawną zdradę, na pewno zawiadomił gestapo, że Jędrrek, jako najbliższy kolega aresztowanego, może wiele opowiedzieć o wspólnych wycieczkach chłopców. I nie chodziło tu przecież o dwóch warszawskich wyrostków, nawet jeżeli kolpoirtowali bibułę. Skąd ją otrzymywali, od kogo, dokąd zanosili, adresy, pseudonimy, może

nazwiska... Chodziło o organizację i gestapo miało nadzieję, że przycisnąwszy “tych szczeniaków”, trafi na jej ślad. Nie było innej rady: Jędrak musiał się ukryć na jakiś czas. Heniek_szybkobiegacz już to zrobił, matka wysłała go na wieś do babci za Skierniewicami. Okazało się, że Jędrak przewidywał słusznie. Następnego dnia po wsypie Stacha gestapo już było u Jędrka w domu z “wizytą”. Przewrócili całe mieszkanie do góry nogami, wywlekli nawet z łóżka chorą Martyniakową, szukając, czy pod siennikiem nie ma jakichś ukrytych, kompromitujących dowodów. Nie znaleźli nic. Jędrak był bardzo ostrożny i nie trzymał niczego w domu, nawet pożyczanych książek. Klnąc “polskich bandytów”, gestapowcy wynieśli się, nie zdolawszy mimo licznych gróźb i szturchańców wymusić od matki odpowiedzi, gdzie podział się jej syn.

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Może go wzięli w łapance. Wyszedł wczoraj i jeszcze nie wrócił - odpowiadała drżącym głosem.

Zosi nie było. Tego dnia, wzruszająco, jak jeszcze nigdy dotychczas, z oczyma pełnymi prawdziwych łez, śpiewała w tramwaju swoje piosenki. Przecież teraz, kiedy Jędrak ukrywał się i nie mógł wychodzić na miasto, musiała zarabiać podwójnie, żeby im wystarczyło na utrzymanie.

Jędrak zaś znalazł dobre i pewne schronienie. Jego szkolny nauczyciel z Pragi, ten sam, od którego pożyczał książki, podał mu adres swojego przyjaciela, malarza.

Karol Kryński, ciemny szatyn o żywych, piwnych oczach i ujmującym uśmiechu, mieszkał w Śródmieściu. Składało się to dla Jędrka bardzo pomyślnie: bezpieczniej, dalej od dzielnicy wolskiej, od domu, który

z pewnością był pod obserwacją. Chłopiec nie mógł się na Woli w ogóle pokazać.

Gdyby nie dręczący niepokój o matkę, o Zosię, o to, jak sobie bez niego radzą, lęk o los Stacha - czułby się doskonale u swojego nowego opiekuna, z którym przypadli sobie do serca. Późnym popołudniem, a zwłaszcza wieczorami schodziło się tu sporo osób, zwłaszcza młodych.

Jędrak domyślał się, że są to tajne zebrania jakiejś organizacji, ale nikogo o nic nie wypytywał. Przychodzący w prowadzonych cicho między sobą rozmowach nazywali czasami gospodarza domu kapitanem "Wagą".

Po pewnym czasie dopuszczono i Jędrka do tych zebrań. Przedtem jednak kapitan "Waga" odbył z nim poważną, zasadniczą rozmowę.

Wyjaśnił mu cele grupy, którą kierował. Należała ona do formacji Organizacji Wojskowej Polskiej Partii Socjalistycznej, ale, jak mówił kapitan:

- ...nie chodzi tylko o to, żeby nauczyć się posługiwać bronią w walce z faszystowskimi Niemcami. Przyjdzie w końcu wolność i wtedy każdy z nas, a zwłaszcza wy, młodzi, musimy być przygotowani do nowych obowiązków wobec kraju. Trzeba go będzie odbudować i na nowo urządzić. Bo to już nie będzie taka Polska, jak przed wojną, gdzie jednym było za dobrze, a drugim bardzo biednie i źle. Nie będzie już bezrobocia ani niesprawiedliwości. Każdy będzie mógł się uczyć, i każdy będzie miał zabezpieczony byt na stare lata.

Jędrkowi bardzo się to podobało i zgadzało z jego przekonaniem.

Dobrze by to było, gdyby wszyscy w Polsce mieli pracę i dach nad głową,

żeby zadbano o ludzkie zdrowie, żeby ludzie mogli być szczęśliwi. Matka mu opowiadała, jak przed wojną jego ojciec całymi miesiącami był bez pracy, nie mieli co do garnka włożyć i wciąż żyli w strachu, że właściciel posesji wyrzuci ich na ulicę za niepłacenie komornego.

Zapytany, powiedział kapitanowi “Wadze”:

- Tak. Chcę należeć do waszej organizachji.

Ale, prawdę mówiąc, wszystkie te piękne cele i dążenia wydawały się jemu jeszcze wtedy dość odległe i niewyobrażalne, najbliższy zaś i zupełnie konkretny cel to było: bić okupanta z bronią w rękę. W każdym razie na zajęciach wojskowych nie było pilniejszego, bardziej gorliwego ucznia, niż Jędrak Martyniak, czyli “Bystry”.

Wpadali do Jędrka od czasu do czasu Janek, wypróbowany przyjaciel, i Jurek Zawadzki, syn doktora, wtajemniczony w całą sprawę. Zosia miała kategoryczny zakaz przychodzenia. Mogli przecież i ją śledzić. Nie pomogły protesty ani płacze. Janek przynosił wiadomości o Stachu. Był na Pawiaku. Raz czy dwa razy dotarł nawet do Jędrka “gryps” od Stacha, potajemna poczta więzienna, parę słów naskrobanych na bibułce papierosowej.

Zresztą,

organizacja

Jerzego,

mająca

swoich

wtajemniczonych ludzi wśród personelu więziennego, nie tylko dbała o

korespondencję, przekazywała również Stachowi paczki z odzieżą i jedzeniem. Stach był przesłuchiwany wielokrotnie, bili go do utraty przytomności. Wytrzymał wszystko. Nic nie powiedział. Pomagali Stachowi także inni, starsi więźniowie, wzruszeni i pełni podziwu dla nieugiętej postawy chłopaka. Ale co będzie dalej, kto wie...

Wśród przygnębiających wiadomości była jedna, która sprawiła Jędrkowi satysfakcję. Organizacja, do której należał Jerzy, tak nastraszyła kilka razy zdrajców - braci Karczmarków, że przerażona rodzina wysłała ich czym prędzej do jakichś dalszych krewnych do Niemiec, a że tam właśnie trwały intensywne bombardowania miast przez aliantów, Jędrrek miał nadzieję, że porządnie najedzą się strachu.

Były też i inne wieści, które krzepiły Jędrka w tych ciężkich dla niego dniach. Były to wiadomości o nadciągającej ofensywie wojsk radzieckich.

- Niemcy się cofają!

- Niemcy panicznie uciekają na zachód! - podawano sobie z ust do ust.

Przez Warszawę przeciągały oddziały, ustępujące z frontu. W rozsypce, nieładzie, obdarci, brudni, zmęczeni żołnierze Hitlera w niczym już nie przypominali butnych, pewnych siebie zwycięzców. Ciągnęli przez jezdnie znienawidzonego, niepokonanego miasta już bez dziarskich piosenek, spode łba rzucając wściekle lub zubożniałe ze znużenia spojrzenia na ludzi, którzy przyglądali się im z pogardą i nie skrywaną satysfakcją. "Niemcy uciekają!" - czyż mogły być wówczas radośniejsze słowa? Wzbierała fala zapatu, zdawałoby się, że jeszcze moment, jeszcze chwila, a przez miasto pobiegnie okrzyk: "Do broni!"

Gorące, czerwcowe i lipcowe dni 1944 roku...

Na horyzoncie, za Wisłą przewalały się dalekie jeszcze, lecz coraz bliższe i wyraźniejsze grzmoty walki.

Lublin wolny! Co dzień nowe miasta i miejscowości znajdowały się już po "tamtej" stronie frontu. Zaczęły docierać skąpe na razie i niedokładne wieści o tworzącym się rządzie w Lublinie. Armia Czerwona była - zdawało się wszystkim - tuż, tuż...

Część druga

11 - Warszawskie dzieci, pójdziemy w bój..."

Martyniakowa bezradnie kręciła się po pokoju. Wszystko leciało jej z rąk. Poruszała się z trudem: wstała dziś po raz pierwszy. Trzymając się sprzętów, ślaniała się od okna do drzwi, nie mając sił, by zejść na dół po stromych schodach, i jednocześnie nie mogąc usiedzieć na miejscu, targana niepokojem i niepewnością.

Podwórko i cała kamienica wrzały od samego rana. Podniecenie, trwające już od szeregu dni, dosięgło szczytu. Wszyscy zapomnieli o swoich własnych, prywatnych sprawach - nieważnych wobec tego, co się działo, czy dziać miało. Wszystkimi zakamarkami miasta obiegały wieści:

- Niemcy uciekają! Już wycofali się z Warszawy!

- Armia Czerwona naciera!

- Powstanie wybuchnie lada dzień! Lada chwila!

Nic sobie nie robiono z ostatnich, rozpaczliwych aktów terroru

hitlerowskiego, z zarządzenia mobilizacji wszystkich mężczyzn do kopania okopów. Pociągi jadące na zachód były przepelnione całymi rodzinami

niemieckimi, które z olbrzymimi bagażami usiłowały unieść do

“Vaterlandu”, do Rzeszy, swe głowy i zagrabione w Polsce mienie.

Od paru dni głośno mówiono o zbliżającym się powstaniu. Lecz tego

dnia, 1 sierpnia, po chwilowej przerwie, znów mówiono: “Na pewno dziś!”

Nad miastem wisały ciemne, gęste chmury, przesiewające dziwne,

blade słoneczne światło. Wiało niewiadomą grozą. Oczekiwanie... Za Wisłą,

gdzieś niedaleko, jak się zdawało, szalała wojenna burza.

Mówiono o bliskiej walce na Pradze. Ludzie z Pragi i z Grochowa

zaczęli uciekać tłumnie do Warszawy, która, jak sądzili, da pewniejsze

schronienie w czasie działań wojennych. Od południa tramwaje przestały

kursować przez mosty i tłumy pieszych z tobołami, walizkami, wózkami,

dziećmi, przelewały się przez most jak rzeka.

Wszystkie te wieści lotem ptaka docierały na Wolską. Ludzie

gromadzili się po bramach i podwórkach, rozmawiali bez żadnego już

skrępowania, nic sobie nie robiąc z okupantów, którzy jak gdyby się

rozplynęli.

Do Martyniakowej wpadał ciągle ktoś z sąsiadów z nowinami.

Syrena alarmowa rozjęczała się o jedenastej. To przeciągłe wycie, które

kilkakrotnie w ciągu ubiegłych dni stanowiło sygnał nalotu samolotów

radzieckich, tym razem zwiastowało chyba coś dziwnego, nieoczekiwanego.

Tłumaczono sobie: to znak, to wezwanie do walki!

- Czy już?

- Więc kiedy? - zawisały na ustach pytania, na które nikt nie umiał

dać odpowiedzi lub podawano sprzeczne ze sobą terminy.

- Gdzie Jędrzek? Co on robi? - Martyniakowa drżała, nieprzytomna ze zdenerwowania.

Rozpierała

ją

jednocześnie

jakaś

wielka,

niewypowiedziana radość, że to już, niedługo skończą się ich wszystkie cierpienia i zmartwienia.

- A ta smarkula Zośka, gdzie się ona podziewa?

Zośka wyskoczyła raniutko do miasta.

- Może co zarobię, nowin przyniosę - rzuciła na pożegnanie i wybiegła.

- I tyłem ją widziała - skarżyła się Martyniakowa sąsiadce.

Ugotowała szybko trochę ziemniaków: może które z dzieciaków przyleci głodne.

- Pani Martyniakowa! Już! Już! - wpadła nagle zadyszana sklepikarka Marczakowa i ze szlochem rzuciła się jej na szyję. - Powstanie! - Łzy ciurkiem leciały jej po twarzy.

Martyniakowa skamieniała. Drgnęła tylko nieznacznie w pierwszej chwili na dźwięk tych słów. Wpatrzyła się gdzieś w okno, ponad domem, jakby w coś niewidzialnego dla innych.

- Jędrus... - szepnęła ledwie dosłyszalnie.

- Pewnie, że poszedł! Mój stary już od dwóch dni siedzi w zajezdni -

trajkotała Marczakowa. - Ale lecę, moja pani, może się jeszcze czego dowiem.

Martyniakowa została sama. Uważnie i chciwie wsluchiwała się w odgłosy, płynące z miasta. Gdzieś daleko zaterkotał karabin maszynowy.

Odpowiedziały mu pojedyncze strzały. Wybuch targnął powietrzem.

Zadźwięczały szyby. Znow strzały. Martyniakowa zacisnęła słabe pięści.

- Już my im pokażemy...

Wtem na schodach rozległ się szybki tupot. Drzwi otworzyły się z rozmachem. Stanął w nich Jędrrek. Lecz jakże inny!

- Jędrus!

- Mama!

Padli sobie w objęcia. Jędrrek nie widział matki długie tygodnie. Z czułością wpatrywał się w jej bladą, mizerną, pooraną zmarszczkami twarz.

- Nie gniewa się mama, że idę?

- A gdzieżby... Toż to wstyd by był, gdybyś nie poszedł!

Przyglądała mu się uważnym, matczynym wzrokiem. Spoważniał przez ten czas. Jakby wydorósł. Trochę wyrósł. Ale nie to go zmieniło. I nie ubiór, który miał na sobie: sportowa, granatowa, trochę za obszerna na niego bluza. W ręku trzymał hełm, stary, polski, z 39 roku, który przechowywał pod węglem w piwnicy doktora Zawadzkiego jako swój bezcenny skarb - teraz przyszedł czas, żeby odkopać tę pamiątkę po ojcu. W oczach chłopca było coś, czego matka dotychczas nie знаła - skupienie, powaga, zdecydowanie, które z urwisa i pędziwiatra uczyniły małego mężczyznę.

- Gdzie Zośka? - rzucił nagle, rozglądając się po kątach.

- Nie ma, nie wiem, do miasta ją poniosło...

- A to dziewczysko! Jeszcze się gdzieś zawieruszy. Spróbuję popytać o nią, a gdyby wróciła, niech jej mama pilnuje. I niech się mama nie boi.

Wszystko będzie dobrze. Gdyby wybuchła strzelanina, iść do piwnicy. Do Zawadzkich albo do Franciszka.

- A ty? Gdzie będziesz?

- Muszę już iść. Na chwilę się urwałem. Ale jeszcze wpadnę. Będziemy niedaleko. Poproszę kogoś z kamienicy, żeby się mamą zajęli.

- Nie trzeba, synku, nie trzeba. Dam sobie jakoś radę.

- No, no, widzicie, jaka dzielna. A dziś pewno dopiero wstała. A może by i mama tak z nami do powstania, co? Ze stenem... - żartował Jędrrek. Głos miał nabrzmiaty czułością, a jednocześnie jakby tłumionymi łzami. - No to idę...

Odwrócił się szybko i po chwili tupot jego nóg ucichł na schodach.

Na podwórzu musiał się przebijać przez tłum lokatorów, którzy otoczyli go zwartym kołem.

- Widzicie go, ale się ubrał! - Dziewczęta z podziwem oglądały młodego bohatera.

- Puśćcie mnie, do licha! Myślicie, że ja mam czas? Mam rozkaz do wykonania... Jurek, hej, "Zawada", jesteś tam? - krzyknął w stronę okien na pierwszym piętrze.

- Już schodzę, poczekaj! - zawołał Jurek Zawadzki, wychylając się z okna. Za nim widać było trochę pobladłą twarz matki.

Wyszli razem - matka i syn. Ale pani doktorowa Zawadzka nie po to, by odprowadzać jedynaka. Pożegnali się widocznie w mieszkaniu. Z dużą torbą sanitarną przewieszoną przez ramię doktorowa, nie oglądając się za siebie, energicznym krokiem przeszła przez sień bramy. Jako fachowa pielęgniarka miała swój wyznaczony punkt, do którego było jej spieszo.

- A twój stary? - zapytał Jędrak.

- Już od dwóch dni zmobilizowany w szpitalu. Wiesz, jakby któremu z nas ucho urwało, to tylko do niego. - Jurek też pokrywał żartem wzruszenie.

- Teraz trzeba wykonać rozkaz kapitana, no nie? - powiedział Jędrak, kierując się do stróżówki.

Obaj mieli jeszcze twarze dziecinne poruszone pożegnaniem z matkami, ale już ich wciągał niepowstrzymanie ogień walki.

Od południa tego dnia cała ich grupa z zachowaniem wszelkich ostrożności przemykała się na Wolę. Udało się - dotarli wszyscy. Ich wolski oddział, 3 batalion OW PPS im. Stefana Okrzei, miał za zadanie obsadzić róg Wolskiej i Młynarskiej. W pewnej chwili kapitan "Waga" przywołał Jędrka i Jurka.

- Przynieście broń ze skrytki. Nie mamy jej za wiele - padł rozkaz.

Gdy jednak kapitan podał im adres, pod który mają się udać, oczy Jędrka zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

- Cooo? - wyrwał mu się okrzyk, nie mający nic wspólnego z dyscypliną wojskową.

- No, mówię przecież, Wolska. - Ponieważ Jędrak był jeszcze bardzo młodym żołnierzem, kapitan wykazał wyrozumiałość dla niesubordynacji.

- Tak, zrozumiałem, ale przecież to nasz dom! - Jędrkowi przez myśl nie mogło przejść: kto by tam u nich mógł gromadzić i przechowywać broń?

- Twój dom? Tym lepiej. Prędzej trafisz. W bramie, w stróżówce zgłosisz się do towarzysza "Dominika" z hasłem "Wolność". On ci wyda, co potrzeba. Odmaszerować!

Chłopcom dech zaparło ze zdumienia. Do kogo? Towarzysz "Dominik"? Któż to może być? Widocznie ten mruk Franciszek kogoś przechowuje w swoich zakamarkach, jak kiedyś Miriam i jej braciszka. Franciszek nie okazał jednak najmniejszego zdziwienia, gdy podawszy hasło stanęli przed nim Jędrak i Jurek, dwa urwisy, którym nieraz natarł uszu za różne psoty.

- A uważajcie tam... - mruknął swoim zwyczajem pod wąsem, wydobywając ze skrytki za szafą steny, wisy, granaty i skrzynkę nabojów.

- Panie Franciszku... - zaczął Jędrak i zaciął się.

- W tył zwrot i odmaszerować! Zrozumiano? - warknął bojowo stary, prężąc się groźnie.

Cicho tykał zegar na ścianie, grube kocisko, ulubieniec Zosi, spod przymrużonych powiek, przyglądał się obojętnie, zwinięty w kłębek na piecu. Przecież tyle razy był niemym świadkiem przedziwnych rzeczy, które działy się w stróżówce i o których nikt z lokatorów nie miał pojęcia.

Chłopcy stuknęli posłusznie obcasami, zupełnie zaskoczeni i wciąż jeszcze nie znajdując słowa, zabrali broń i wybiegli pędem ze stróżówki.

- A to smyki... Ja tu wam pokażę - mrucał do siebie stary, zastawiając szafę skrytkę.

Chłopcy wypadli na ulicę. Zawszqd już slychać było strzały.

Robotnicza Wola ruszyła do walki. Formowały się oddziały powstańcze. Z różnych kryjówek i zakamarków wyrzały od dawna ukrywane pistolety, granaty, rzadziej karabiny.

I tak zaczęły się dla chłopców wielkie dni. Żyli jak we śnie. Oderwani od domu i rodzin, od szkoły i pracy, ogarnięci zostali jakimś wielkim zapamiętaniem. Jędrrek i Jurek z początku byli tylko łącznikami. Jurek odnosił i przynosił rozkazy i meldunki, Jędrrek prawie bez przerwy trzymał się koło kapitana "Wagi", spełniając bez wahania jego najtrudniejsze rozkazy. W pierwszych dniach huk wystrzałów, walące się i płonące domy, krzyki rannych, śmierć kolegów - wstrząsały chłopcami do głębi. Potem oswoili się z tymi przeżyciami.

Barykada na skrzyżowaniu Wolskiej i Młynarskiej należała do jednej z najbardziej umocnionych. Przy pomocy ludności cywilnej ściągnięto tam kilka rzędów wagonów tramwajowych, a poza tym, co się dało: płyty z chodnika, wypełnione piaskiem kubły do śmieci, deski, meble, materace, cegły. Broniła przejścia w kilku kierunkach: na Wolę, na Stare Miasto, do Śródmieścia. Żołnierzy kapitana "Wagi" wzmocnił jeszcze oddział Armii Ludowej, który przybył z Koła pod dowództwem porucznika "Stacha" i podporucznika "Mirka". Już pierwszego dnia, po zapadnięciu ciemności, udało się opanować niedaleko położoną remizę tramwajową, gdzie zdobyto trochę broni.

Drugiego dnia, gdy Jędrrek, ukryty za workami z piaskiem, uczył się szybko sztuki celowania z ręcznego karabinu maszynowego od niewiele od

niego starszego sierżanta "Wichra", zauważyli z daleka przemykającą się od bramy do bramy postać dziewczynki. Niestety, dostrzegli ją także Niemcy, ukryci w pobliskich ruinach. Otworzyli ogień. Widać było doskonale, jak dziewczynka przylgnęła do ziemi za przewróconym słupem ogłoszeniowym, który ją ledwo chronił.

- Ona chce się do nas przedostać! - Jędrak z rozpaczą spojrzął na sierżanta.

- Cóż, teraz nie da rady. Chyba jak się ściemni.

- Ale czy wytrzyma?

Sierżant z obawą potrząsnął głową.

- Wątpię.

W pewnej chwili dziewczynka usiłowała podnieść głowę. W tym samym momencie Niemcy znów puścili serię z karabinu maszynowego.

Wychylona główka znikła.

- Trafili?!

Peten napięcia i grozy, Jędrak nie odrywał oczu od miejsca, gdzie schroniła się dziewczynka. Denerwował się coraz bardziej.

- Co robić, żeby jej pomóc?

- Nic nie poradzisz w tej chwili. Przecież nie pójdziesz do niej, nie uszedłbyś nawet dwóch kroków. Ani mi się waż. Gdyby cię ustrzelili,

"Waga" dałby mi popalić!

W poczuciu bezsilności i wściekłości Jędrak nie mógł usiedzieć spokojnie.

- Nie kręć się. Jeszcze ciebie trafią. - "Wicher" był nieugięty.

Powoli, aż nazbyt powoli zbliżał się zmrok. Gdy się już dobrze ściemniło i tylko łuny pożarów zaczynały rozrastać się szeroko nad Wolą, Jędrrek posłyszał cichutkie, zbliżające się skrzypienie gruzu, zaścietającego jezdnię przed barykadą i chrzęst szkła. Widocznie mała postanowiła za wszelką cenę przedrzeć się do barykady. Szelest słychać było coraz bliżej i bliżej.

Jędrrek poderwał się i już chciał wyskoczyć za barykadę. W porę złapał go "Wicher".

- Dokąd?! Jeszcze ją zdradzisz! Siedź cicho. Sama sobie musi dać radę.

W tej chwili gdzieś niedaleko wystrzeliła rakietą, oświetlając swym widmowym, rozsypującym się na wszystkie strony blaskiem ulicę i barykadę. Huknął strzał. Jeden, drugi. Zza barykady dał się słyszeć krzyk. Tylko jeden. Potem znów nastąpiła cisza, tak, jakby nawet wróg przeraził się tym, co się stało.

- Nie mogę! Dłużej nie wytrzymam! - rozpaczliwie krzyknął Jędrrek.

Zanim sierżant zdążył się obejrzeć, Jędrrek jednym susem przesadził umocnienie barykady. Po chwili zza worków z piaskiem wychyliła się jego głowa, ledwo widocznym cieniem odcinając się na tle nocnego nieba.

- Pst, pomóż...

Obydwaj z wielkim trudem wciągnęli bezwładne ciało dziewczynki, która cicho jęczała przez zaciśnięte zęby.

- Ranna?

- Tak, w rękę i w nogę, ale żyje, to grunt. Aleśmy zdążyli! - Ten okrzyk wyrwał się Jędrkowi w chwili, gdy świszczący pocisk nadleciał w ich

kierunku i rozerwał się tuż za barykadą, obsypując placówkę odłamkami i fontanną pyłu.

- No, a teraz trzeba ją chyba gdzieś przetransportować.

W porę przybyli chłopcom na pomoc dwaj koledzy, którzy mieli ich zastąpić po kilkugodzinnym, ciężkim ostrzale stanowiska. Jędrrek i "Wicher" unieśli ostrożnie ranną i pod osłoną murów zaczęli się przemykać w stronę szpitala św. Stanisława, który był najbliższy.

- Taka mała, a taka ciężka - sapnął Jędrrek, przystając na chwilę i ocierając rękawem pot z czoła.

- Prędeż, prędeż, korzystajmy, że przestali strzelać! - przynaglał go "Wicher".

Jędrkowi przypomniały się czasy, gdy wykradzioną z ciężarówki

Zosię włókł przez całe miasto na Wolską. Zosia... Wielki żal ścisnął serce chłopca. Pokochał ją jak siostrę. Gdzie ona teraz? Co się z nią dzieje? Może tak samo, jak ta dziewczynka, leży gdzieś ranna lub tuła się po schronach Warszawy?

Rozmyślenia przerwał mu cichy okrzyk.

- Stój, kto idzie?

- Swoi, od "Wagi". Ranną do szpitala niesiemy.

Z cienia wyłoniła się sylwetka wartownika powstańca. Przepuścił ich, byli już koło samego szpitala.

- Rany boskie! Jeszcze jedna? Gdzież my to wszystko pomieścimy? - załamała ręce sanitariuszka.

W szpitalu pełno już było rannych, mimo iż to był dopiero drugi dzień

walki. Leżeli wszędzie - na łóżkach, na skleconych naprędcie pryczach, na siennikach, rozłożonych na podłodze.

- No cóż, zanieście ją chyba do piwnicy. Tam też zrobiliśmy salę.

Gdy ranna leżała już na ławce, mającej zastąpić łóżko, Jędrak po raz pierwszy przyjrzał się jej uważnie. Pod zakrwawioną warstwą kurzu i brudu ledwo można było rozróżnić rysy, ale wydały mu się znajome.

- Hanka! - zawołał zaskoczony.

Dziewczynka, nie podnosząc głowy, otworzyła oczy i słaby uśmiech przewinął się po bladej jak kreda twarzy.

- Jędrak... - wyszeptała cicho.

- To wy się znacie? - zainteresował się "Wicher".

- Jeszcze jak! Ona mieszka w sąsiednim domu obok nas, na Wolskiej.

Z moją siostrą, Zośką, śpiewały razem po tramwajach.

- Jędrak... - jeszcze raz powtórzyła Hanka.

- Co? - Pochylił się nad leżącą.

- Słuchaj, ja... - Słowa jej rwały się i plątały. - Ja tu mam meldunek... pilny. Dla kapitana "Wagi".

Jędrak zrozumiał. Jak wiele innych dziewcząt i chłopców

warszawskich, w miarę swoich sił i możliwości, Hanka chciała przyjść z

pomocą walczącym. Była łączniczką. Przenosiła meldunki i rozkazy. Łatwiej

było przemknąć się nieraz dzieciom niż starszym żołnierzom. Czasami

jednak, tak właśnie, jak dziś, szczęście zawodziło małych bohaterów. W

późniejszych dniach powstania już nie tylko łączność między oddziałami

stała się zadaniem tych najmłodszych. Zaczęła działać poczta harcerska,

która umożliwiała rozsiانym i pogubionym rodzinom nawiązywanie kontaktów, pocieszała, dawała znać, że bliscy żyją i gdzie się znaleźli. Najmłodszy rwał się także do czynnej walki. To oni rzucali pod nacierające niemieckie czołgi mordercze butelki z benzyną i "sidolówki", granaty własnego wyrobu. Jeden z najmłodszych powstańców, "Warszawiak", Witold Modelski, który poległ we wrześniu na Czerniakowskiej z karabinem w rękę, miał lat jedenaście.

- Zaraz dam znać dowódcy. A może mnie oddasz?

- Nie, mam mu oddać sama do rąk...

- Jeżeli "Waga" jest niedaleko, zaraz go sprowadzimy. "Wicher", ona ma meldunek dla kapitana. Poszukaj go, poproś, żeby tu przyszedł.

Sierżant znikł i dzieci zostały same. Teraz Jędrzek miał możliwość zapytać o dom.

- Hanka, ty idziesz z Wolskiej? Wiesz, co tam? Jak mama?

- Nic pewnego nie wiem. - Mówienie sprawiało Hance widoczną trudność. - Ja już tak od paru dni kursuję u "Hala"... Z Woli sporo ludzi ucieka. Ktoś mówił, że palą domy. Żandarmeria szaleje... A jeszcze ktoś, kto tam bliżej nas mieszkał, mówił mi, że Franciszek zginął... ten wasz dozorca. Walczył do ostatka. Z pierwszego piętra strzelał. Dopóki czołg całej frontowej ściany nie rozwalil .

- Franciszek... - powtórzył cicho Jędrzek i w oczach zabłyśły mu mimo woli łzy, które szybko wytarł zakurczonym rękawem. Żołnierzowi nie wolno płakać. Franciszek - postać, która splotła się nierozzerwalnie z całym jego dzieciństwem, ze wszystkimi wspomnieniami najmłodszych lat... Nie opuścił

swej Woli do ostatka.

Zmęczona opowiadaniem dziewczynka znów zapadła w sen czy odrętwienie. Sanitariuszka, zajęta w drugim końcu piwnicy robieniem opatrunku jakiemuś ciężko rannemu żołnierzowi, kiwała wciąż tylko w ich stronę, dając znak, że zaraz przyjdzie. Rozległy się kroki. Nad pogrążonym w smutnej zadumie Jędrkiem i nieruchomą Hanką stanął kapitan "Waga". Błada twarz zmizerniała przez te dwa dni. Tylko ciemne oczy płonęły w niej jak dawniej.

- No i co? Jak się sprawuje nasza dzielna mała łączniczka? - zapytał dźwięcznym, mocnym głosem. - Siostro, dlaczego opatrunek nie jest jeszcze zrobiony? Patrzcie, co się dzieje. Mała nie wytrzyma tego upływu krwi! Chustki, którymi chłopcy naprędce przewiązali rękę i nogę Hanki, były całe czerwone. Na podłogę ściekał wąski strumyczek, tworząc obok ławki ciemną plamę.

- Już jestem! - siostra wprawnym ruchem, mimo nie ustającej od kilkunastu godzin pracy, uniosła dziewczynkę i zaczęła robić jej opatrunek. Hanka ocknęła się.

- To jest właśnie kapitan "Waga", Hanko.

- Podobno masz dla mnie jakiś meldunek?

Słabą ręką wyciągnęła z zanadru skrawek papieru i podała kapitanowi. Kapitan przeczytał. Po wyrazie jego twarzy Jędrzek poznał, że wiadomość musi być niezwykle ważna.

- Tak... - mruknął sam do siebie kapitan. - Tak... No, zobaczymy!

Łączniczko Hanko! Wiadomość przez was dostarczona ma dla naszych

działań wielkie znaczenie. Za wykonanie rozkazu i niezwykłą odwagę podam cię do odznaczenia! - Kapitan wyprężył się i zasalutował.

A Hanka z bólu i wzruszenia zemdląca.

Jędrak i "Wicher" stali obok, też poruszeni tą sceną. A to ma szczęście dziewczucha! Gotowi byli nawet zazdrościć jej rannej nogi i ręki.

- "Bystry" i "Wicher", idziemy. Nic tu po nas. Zaraz przyjdzie lekarz.

Bardzo dzielna ta mała. Prawdziwe dziecko Woli! No, a my w związku z tym meldunkiem, który dostarczyła, mamy nową robotę i to pilną - mówił

"Waga", popychając Jędrka w stronę drzwi.

Trudno, jak rozkaz, to rozkaz.

Nastał trzeci dzień powstania.

- Już nie mogę... - stęknął Jurek. Ręce mu mdlały, a w oczach robiło

się ciemno od nieustannego wyteżania wzroku. Oparł się o ścianę, którą ciągle wstrząsały detonacje.

- To się nam chyba zaraz zawali na łeb!

- Ano tłuką, bracie, i tłuką, a jakoś się nie zawaliło.

- Co myślisz? Chyba to wszystko skończy się niedługo?

- Pewnie... Ale frajer z ciebie, tak się piorunem zmachać. Daj no grata,

teraz ja popruję. - Jędrak zostawił Jurka przy karabinie maszynowym ulokowanym na wprost okna, poza umocnieniem z worków z piaskiem.

Wśród dymu trudno było o widoczność.

- Chyba tam... - mruknął Jędrak i oddał krótką serię w kierunku, skąd dobiegł go odgłos wystrzałów i posypały się iskry ogników.

- A jeszcze wczoraj byli tam nasi. Wycofali się?

Jędrak skinął głową i przez prowizoryczny peryskop, sklecony z paru kawałków dykty, jakiejś rurki i dwóch lusterek uważnie śledził niedalekie ruiny.

Pomieszczenie, w którym chłopcy mieli stanowisko, było kiedyś mieszkaniem - teraz przedstawiało zwalisko gruzów i połamanych sprzętów. Niedawno trafił tu niemiecki pocisk artyleryjski i kilku rannych powstańców odtransportowano do szpitala. Ponieważ nie miał ich kto zastąpić, pozostali na miejscu Jędrak i Jurek, radząc sobie z większym zapalem niż doświadczeniem.

- Do kapitana! - Na progu stanął podchorąży "Ryś".

- A kto tu zostanie? - Jędrak niechętnie opuszczał swoje pierwsze "samodzielne" stanowisko ogniowe.

- Rozkaz, rozumiesz? Nie mędrkuj, bracie!

Za podchorążym zjawili się kilku chłopców, niewiele zresztą starszych od Jędrka i Jurka. Kapitan "Waga" miał swoją kwaterę niedaleko zbiegu Wolskiej i Młynarskiej. Czołgając się i przebiegając pędem otwarte przestrzenie, chłopcy zdyszani dobrnęli do celu. Wyprężyli się na baczność, salutując z fantazją, czego zdążyli się nauczyć w krótkim czasie.

- Słuchajcie, chłopcy... Jest takie zadanie... - zaczął kapitan.

- Towarzyszu kapitanie! - przerwał mu nagle jeden z łączników, wpadając biegiem do piwnicy, w której odbywała się właśnie odprawa.

- Co się stało?

- Melduję, czołgi na Wolskiej!

- Na górę - skomenderował kapitan bez chwili wahania.

*Wszyscy rzucili się ku wyjściu. Było ich razem kilkunastu. W biegu
szykowali broń do strzału, sprawdzali, czy mają granaty. Wśród
nieustających wybuchów, trzasku palących się domów, i odgłosów
strzelaniny słyhać było coraz wyraźniej głuche dudnienie gąsienic po
bruku.*

- Ile też ich może być? - zastanawiał się Jędrak.

- Butelki z benzyną są?

*- Tu! - Kilku chłopców jeszcze młodszych od Jędrka trzymało w
rękach wypróbowaną, prymitywną, lecz jakże skuteczną broń w walce z
olbrzymimi, stalowymi potworami.*

*Ukryli się za załamami murów, w pobliskich, zawałonych gruzami
bramach, wśród umocnień barykady i czekali.*

*Łomot czołgów narastał. Minuty, które mijały, zdawały się trwać w
nieskończoność. Jędrak wiedział, że gdy kapitan pierwszy da znak
rzuceniem granatu, mają nawiązać walkę. Drżał jak w febrze i nogi lekko
chwiały mu się w kolanach. A nuż nie zdążą?*

Kapitan

“Waga”

jeszcze

po

cichu

porozumiewał

się

z

podporucznikiem "Mirkiem", dowódcą oddziału Armii Ludowej, z którym wspólnie bronili barykady.

- Patrol przed barykadą w młynie Michlera już jest?

"Mirek" skinął głową. Uzupełnił informacje:

- Kompania chorążego "Jaśmina" obsadza wyloty Działdowskiej,

Staszica i Młynarskiej, te, co wychodzą na Wolską.

"Waga" skinął głową. Już czas.

Czołgi szły, dudniąc ciężko i pociskami dział rozwalaly ocalałe jeszcze ściany domów. Ta myśl, że to "już", nie tylko dowódcom, ale i szeregowym obrońcom barykady rozbłysła jak błyskawica i nagle jakby zapadła się w przepaść. Niejednego przejął dreszcz grozy, paraliżującej ręce, trzymające gotowe do rzutu granaty i butelki z benzyną.

Warszawa zdążyła już poznać wiele niehumanicznych, okrutnych metod walki hitlerowców. Za każdym jednak razem, kiedy podczas Powstania przed atakującymi czołgami powiązani linami, popychani bagnietami, jako żywe tarcze - osłona hitlerowskiego ataku - ginąc i padając, wlekli się resztkami sił polscy zakładnicy - starcy, kobiety, młode dziewczęta, dzieci i mężczyźni, którym kazano rozbierać barykady, trzeba było niebywalejszej siły woli, żelaznych nerwów i zaciętej, warszawskiej odwagi, by w obliczu tej grozy nie opadły zaciśnięte na karabinach ręce powstańców. Potrzeba było całego poświęcenia, jakie wykazała warszawska ludność w tych dniach, aby ręce te nie zadrżały, celując we wroga, ukrytego za matką z dzieckiem i za młodą dziewczyną.

Kobiety szły przeważnie boso, w podartych sukniach, widocznie

niedawno wygnane z jakichś piwnic i schronów. Z boków siepacze ukraińscy, skuleni do skoku, mierzyli w kobiety z peemów. Z grupy kobiet, mających przed sobą i za sobą śmierć, rozległy się wołania: "My gotowe! Strzelajcie! Niech z waszych rąk!" Zza barykady rozległ się okrzyk: "Matki na bok"! Zrozumiały. Prysnęły błyskawicznie, przypadły do ziemi i wówczas barykada ożyła.

Na Młynarskiej rozgorzała walka. Chłopcy poderwali się. Jędrkowi na krótki moment nogi jakby wrosły w ziemię. Ciężkie niby ołów. Potem, sam nie pamiętał, kiedy skoczył. Rozpętało się piekło. Potworny wybuch wstrząsnął powietrzem. To zniszczono pierwszy czołg. Jędrak wtulił mimo woli głowę w ramiona, skurczył się w sobie i na sekundę przymknął oczy. Dookoła następnego czołgu zakotłowało się. Mieszały się ze sobą w jeden huk strzały atakujących, świst kul, trzaski rozrywających się granatów. Jęki, krzyki - nie wiadomo, niemieckie czy nasze... W ułamku chwili zamajaczyła tuż obok Jędrka olbrzymia sylwetka tygrysa. Uskoczył do tyłu i z rozmachem cisnął butelkę z benzyną. Jedną, potem drugą, którą ktoś mu podał. Buchnął płomień. Zagrzehotał karabin maszynowy. To sierżant "Wicher" z drugiej strony atakował hitlerowców, usiłujących przez otwartą kłapę wydostać się z płonącej pułapki. Wstrząs odrzucił Jędrka i cisnął nim o ziemię tak, że stracił przytomność.

Gdy ocknął się, spod przymrużonych powiek dostrzegł wokół siebie półmrok i jakieś sprzęty. Migotliwy płomień świecy pozwolił mu rozróżnić pochylone nad nim głowy.

- Nic mu nie jest - powiedział ktoś obok niego półgłosem. - To nie rana,

tylko kontuzja.

- Co dziwnego, żeby ci taki smok rozleciał się nad samą głową...

- I tak dobrze, że go odrzuciło do bramy. Nie pozbierałbyś kawałków!

Jędrak jęknął. Całe ciało miał bezwładne. Spróbował unieść rękę.

*- Nie ruszaj się, samo ci przejdzie. Jutro będziesz znów na barykadzie
frygać!*

*Jędrak poznał. To "Wicher". Ma zabandażowane czoło, widocznie
drasnął go odłamek granatu.*

- Gdzie jestem? W szpitalu? - pojękiwał Jędrak.

"Wicher" roześmiał się:

*- Rzeczywiście trzasnęło cię porządnie, że nie poznajesz kwatery
kapitana. Do szpitala stąd nawet dojścia nie ma.*

*- A co z czołgami? - Słowa z trudem wydobywały się Jędrkowi z
gardła, w którym czuł dziwne drapanie.*

- Ano, poszły. Dwa rozwaliliśmy, trzeci zawinął się i zwiął.

- To... Cholera, niedobrze, że zwiął...

*- Widzisz go, i tego mu mało! - zawołał "Wicher" ze śmiechem. - Taki
chytry na tę hitlerowską menażerię! Nie, bracie, dwa tygrysy to i tak
dobrze! Gdyby się przedarły, ładnie by cała nasza linia tu wyglądała!*

- A Jurek? Co z nim?

*- Twojego Jurka kapitan wysłał z meldunkiem. Nawet dziwne, że go
jeszcze nie ma. Może drogę ma odciętą. Podobno na Skierniewickiej szykują
nowe zgrupowanie czołgów i piechoty.*

- A ci ludzie, których pędzili przed czołgami? Ocaleli? - Jędrak poczuł

się już lepiej, szok miał i teraz ciekaw był wszystkiego, co dzieje się na barykadzie.

- Większość uwolniliśmy. Rozbiegli się. Jak ci w czołgach zaczęli się bronić, nie w głowie im byli zakładnicy.

Wiadomość ze Skierniewickiej okazała się niestety prawdą. Niemcy ponowili szturm na barykadę i koło południa rzucili do natarcia już nie trzy, lecz dwanaście czołgów. I znów pod osłoną około trzystu osób polskiej ludności cywilnej.

- Wszyscy na barykadę! Kto tylko może się ruszać! - zabrzmiał rozkaz. "Wicher" i "Ryś" pomogli Jędrkowi wstać i wyprowadzili z piwniczki. Oślepiła go nie tylko jasność dnia. Zobaczył coś, co ocuciło go do reszty i dodało sił do nowej walki.

I już nie poczuł ani razu drżenia kolan, czy ściskania w gardle. To nie był już tylko zadziorny chłopak, uwielbiający brawurę i imponowanie kolegom swoimi "wyczynami". W tym momencie narodził się prawdziwy, nieugięty żołnierz Powstania. Nie tylko oczyma, ale całą swoją istotą aż do głębi serca i duszy wchłonął płonącą jak żagiew po obu stronach ulicę Wolską. Palila się jego Wolska i przypominała ognisty wawóz. Czy mógł tam ocaleć ktokolwiek?

Od tej chwili Jędrak nie umiał już sobie uświadomić ani nawet później przypomnieć, co robił, jak walczył. Strzelał, strzelał bez opamiętania, dopóki mu wystarczyło amunicji. Widział, jak padają trafieni przez niego hitlerowcy, ich otwarte do krzyku usta - lecz krzyku tego nie słyszał, a oczy przesłaniała mu czerwona mgła.

Mimo bohaterskiej obrony barykada na skrzyżowaniu Wolskiej i

Młynarskiej padła, podobnie jak druga, na rogu Chłodnej i Karolkowej.

Kolumna czołgów nieprzyjaciela odrzuciła obrońców barykady na obie strony Młynarskiej.

“Waga” poprowadził swoich ludzi ku zajezdni tramwajowej. Tam mogli się nadal bronić, wsparci przez oddziały tramwajarzy. Tramwajarze walczyli bardzo dzielnie. Jędrak był świadkiem bohaterskiej śmierci Marczaka, męża sklepikarki z Wolskiej. Szepnął do Jędrka w ostatniej chwili: “Powiedz mojej starej...”

Niektórzy powstańcy cofnęli się ku Górczewskiej. Czołgi zaś parły naprzód, skrzyły w Towarową, ostrzelały ogniem działowym obrońców Dworca Poczтового i wjechały w Aleje Jerozolimskie w kierunku mostu Poniatowskiego.

- No i jak, odbijamy naszą barykadę? - naradzał się “Waga” z podporucznikiem “Mirkiem”, gdy czołgi nieprzyjacielskie opuściły już Wolską.

- Jasne, że odbijamy.

Opracowali plan natarcia i przystąpili do działania. Walka była niezwykle ciężka i trwała aż do zmroku. Odzyskiwano dom po domu. W niektórych piwnicach znaleziono pomordowanych w ostatniej chwili mieszkańców domów przy Młynarskiej. Barykadę jednak odbito. A właściwie jej gruzy: to, co pozostało po rozebraniu jej przez nieprzyjaciela przy pomocy polskich zakładników. Natychmiast zabrano się do jej odbudowy. Wykopano dodatkowo szeroki rów przeciwczołgowy przed

barykadą, Wolską i Młynarską zaminowano materiałem wybuchowym, który gdzieś zdobyli alowcy. Uzupełniano załogę: wróciły oddziały, wyparte przez nieprzyjaciela aż do cmentarza ewangelickiego. Wrócili jednak nie bez strat: ranni zostali ich dowódcy - porucznik "Wit" i kapitan "Hal". Wróg nie dawał wszakże spokoju obrońcom Woli. Późnym popołudniem stado junkersów dokonało pierwszego nalotu na Wolę i miasto. Ostrzeliwały domy i ulice z karabinów maszynowych i działek pokładowych. Znowu padały ofiary, zwłaszcza spośród ludności cywilnej.

Jedna natomiast niespodzianka sprawiła obrońcom wielką radość i podniosła ich na duchu. Koło pierwszej w nocy nadleciały halifaxy, samoloty sprzymierzonych, zapowiedziane sygnałem radiowym. Zrzuciły kilkanaście zasobników z bronią. Dwa wylądowały na Młynarskiej. W zrzucie znalazły się przeważnie pistolety maszynowe z amunicją, trochę przeciwpancernych "piatów" i ręcznych karabinów maszynowych. Część tego skarbu dostały oddziały wolskie.

Jędrka kapitan "Waga" odnalazł w kącie którejś piwnicy, gdy w nocy robił obchód placówki. Chłopak leżał skulony, ale nie spał. Jak to bywa z żołnierzami po bitwie, nastąpiła reakcja. Nie załamanie, lecz paraliżujący bezwład. Szeroko otwartymi oczyma wpatrywał się w mrok. "Waga" domyślił się, co mógł czuć i przeżywać jego młody podwładny. Jego ukochana Wola stała się rozbitym gniazdem. Zmieniła się w kupę gruzów i popiołów, w której zamarło wszelkie życie. Nie zająknął się więc "Waga" ani o matce Jędrka, ani o Zosi, nie zapytał, czy Jędrak miał o nich jakieś wiadomości, bo przecież niektórym mieszkańcom Wolskiej udało się uciec

*do innych dzielnic przed żandarmerią i własowcami, * którzy nie oszczędzali niczego i nikogo. Nie wypowiedział ani jednego słowa współczucia. Byłoby ono daremną jałmużną po bezlitosnej walce, jaką dziś toczył ten już nie chłopiec, lecz żołnierz. Spojrzawszy na wychudłą, poczerniałą twarz Jędrka i jego zapadnięte, jak gdyby nie widzące oczy, położył mu tylko rękę na ramieniu i powiedział:*

Własowcy - formacja wojskowa złożona z dezertersów i jeńców pochodzenia rosyjskiego i ukraińskiego.

- Wstawaj, "Bystry". Mam coś dla ciebie. Zamiast orderu.

I wręczył mu nowiuteńki, błyszczący pistolet maszynowy.

Jędrak jakby ożył. Skoczył na równe nogi i zawołał:

- O! A to skąd?

- Z nieba, bracie, z nieba. Alianci o nas zadbali. Niewiele wprowadzie, ale i to dobre, no nie?

Jędrkowi już świeciły się oczy. Już by biegł, już by strzelał; pieścił martwą stal, jak gdyby była najulubieńszą zabawką.

Teraz kapitan położył na stolku przy Jędrku kilka białych świstków.

- Co to? - zapytał Jędrak zdziwiony.

- Listy do nas. Podczas nalotu junkersy takie ulotki porzuciły.

Poczytaj.

Jędrak spojrział, zaczął kląć i wydawać okrzyki oburzenia.

- Co?! Co?! "Bór" kazał zaprzestać walki? Jaki to Centralny Komitet

Partii Komunistycznej? Co na to nasi kumple z AL_u? "Dawni Piłsudczycy"?

Co za jedni?

- No tak... Hitlerowcy sfabrykowali taką bzdurę i pomysleli, że ktoś u nas w to uwierzy. Ale jeżeli ktoś do nas pisze listy, to wypada mu odpowiedzieć. "Waga" uśmiechnął się trochę łobuzersko.

Jędrak patrzył na niego pytająco i mruknął:

- Ma się rozumieć...

- O, właśnie. Więc zrobimy tak. Z Grzybowskiej dostałem wiadomość, że oddział, który tam ma stanowisko, otrzymał całą pakę ulotek wzywających Niemców do poddania się. I takie tam jeszcze różne uprzejmości. Tylko że nie mają nikogo, kto dobrze znałby teren, żeby wleźć w ruiny i rzucić hitlerowcom tę pocztę. Proszę o dwóch młodych, zwinnych chłopaków. Więc ja pomyślałem, że może byś ty...

Jędrkowi trochę zrzędła mina. Ulotki rozrzucić! Też zajęcie! A jego barykada, teraz, kiedy ma taką wspaniałą broń? Nie mógł znieść myśli, że ma się rozstać z "Wagą". Ale nauczył się już dyscypliny wojskowej. Może to i ważne, te ulotki...

- No, a ten drugi? Jurek jeszcze nie wrócił.

Kapitan nie chciał mówić Jędrkowi, że jego przyjaciel niosąc meldunek zginął po drodze od strzału "gołębiarza", ukrytego na którymś z dachów. A zresztą "Waga" miał swoje wyrachowanie w tym, że wysyłał Jędrka z takim zadaniem. Oczywiście, nie było ono bezpieczne - bo i co było "bezpieczne" podczas Powstania? Ale bądź co bądź to nie to samo, co walka na barykadzie. Widział poprzedniego dnia Jędrka w akcji i przejął go dreszcz zgrozy na widok zawziętego okrucieństwa, z jakim poczynął sobie chłopak. Mignęła wówczas "Wadze" przez głowę myśl: Jędrak jest na to

jeszcze za młody. Jeżeli przetrwa Powstanie - będzie jeszcze dojrzawać, dorastać. A co z niego wyrośnie? Jak będzie żyć z tymi wspomnieniami?

Kapitan "Waga" chciał po prostu oszczędzić Jędrkowi tej jeszcze jednej ciężkiej walki, która - jak przeczuwał, a nawet wiedział, rozpęta się od rana.

Już wiedział o przybyciu potężnych nieprzyjacielskich sił pancernych i piechoty

w

okolice

Wolskiej.

Oskrzydlano

obrońców

barykady.

Spodziewano się nowego uderzenia od zachodu. Zaobserwowano silne gniazdo ciężkich karabinów maszynowych na wieży kościoła św. Wojciecha.

Pociąg pancerny przesuwał się od Obozowej ku Wolskiej. Tak, od świtu będzie tu piekło, i kto wie, czy ktokolwiek wyjdzie z niego żywy. A "Waga" chciał uratować życie Jędrka. Nie wiadomo co jeszcze będzie później, ale na razie niech sobie porzuca ulotki.

- Drugi? - odezwał się po chwili do Jędrka. - A mam dla ciebie kolesia.

- Skinął na kogoś, kto krył się za nim w cieniu.

- Stasiek!!! - wrzasnął Jędrek.

Padli sobie w objęcia. Czy myśleli, że się jeszcze kiedyś zobaczą?

Stach wiedział, że spotka się z Jędrkiem. Uprzedził go o tym kapitan

"Waga", ale kazał mu stać cicho i nie odzywać się. Miała to być

niespodzianka.

- Przygotować się do wyjścia. Macie na to pół godziny czasu. - Głos

“Wagi” znów zabrzmiał rozkazująco. Nie ma co rozpieszczać chłopaków.

Rozkrochmałą się, a potem przestaną zważać na niebezpieczeństwo.

Noc była dość spokojna i pogodna. Tylko gdzieniegdzie słychać było z

daleka pojedyncze strzały i trzask dogasających, walących się domów.

Chyba obie strony były wyczerpane morderczą bitwą poprzedniego dnia - a

może szykowali się jak do skoku: hitlerowcy do nowego ataku, powstańcy

do jego odparcia.

Chłopcy przykucnęli gdzieś w ruinach i nacieszyć się nie mogli swoim

spotkaniem. Ale niewiele można sobie opowiedzieć w ciągu pół godziny, gdy

jeszcze na dodatek trzeba dobrze pogłównkować, jak się dostać na punkt,

gdzie mają otrzymać ulotki.

- Ale powiedz mi wreszcie, chociaż w paru słowach, gdzie cię mój

“Waga” wyluskał? - wypytywał Jędrak.

- W zajezdni tramwajowej, jak wycofaliście się z barykady.

- A tam jak się znalazłeś?

- O tym potem, bo to dłuższa historia, teraz nie mamy na to czasu.

Powiem ci tylko, jak zwiąłem z Pawiaka, a raczej z transportu z Pawiaka.

Najgorsze były ostatnie dni. Wiedzieliśmy o radzieckiej ofensywie. Wciąż

gadano o Powstaniu, że już, lada dzień. Gestapowcy byli coraz gorsi, jak

wściekle psy. Mieliliśmy pietra, że skończą z nami na miejscu. A tu

przychodzą i każą się zbierać. Myślę - koniec. Wywiozą gdzie do getta i

rozwalą. Ale oni wybrali takich młodszych i zdrowszych i zapędzają do

*ciężarówkek. Wiozą na dworzec, ładują do wagonów. Mówię ci, jak jakie
bydło. Teraz to ja rozumiem, co ta nasza Zośka przeżywała. Myślałem -
chyba nie dojedziemy. Nic do żarcia, nic do picia, dusimy się jak muchy. A
jeszcze takie malutkie okienka, mało, że zakratowane, deskami pozabijali,
żebyśmy grypsów nie rzucali. Jedziemy i jedziemy, pociąg raz się wlecze,
raz staje. A tu zaczynają gadać - do Oświęcimia. Inni, że do fabryki
zbrojeniowej. To ja sobie kombinuję - coś to za daleko od Warszawy.
Stanęliśmy kiedyś w polu. Kręcę się, kręcę, ani nogą, ani ręką ruszyć. Czuję,
że coś mnie kłuje. A to gwóźdź w podłodze z deski wystaje. Ja ci dawaj go
ciągnąć. Ruszył. To ja tym gwoździem dalej drugi dłubać. Poszło. Tak chyba
z dzień dłubałem. Paru nas jeszcze było takich mądrych. No i potem
deseczkę_fiuuut! A jako że śledź jestem, bo się na wojnie nie upałem, gdy
tylko znów stanęliśmy, przez tę dziurę pierwszy dałem nogę. Pociąg zaraz
ruszył, więc nie wiem, co z tamtymi. A ja sobie na torze przeleżałem wzdłuż
szyn, srodeczkiem, cichutko, tylko uważałem, żeby mi podwozie fryzury nie
uszkodziło - no i tyle mnie widzieli. A potem pedały w garść i dawaj do
Warszawy zapychać. Wiedziałem, że już Powstanie, tylko w tej waszej
geografii połapać się nie mogłem. Jerzego szukałem. Ale szukaj igły w stogu
siana. Parę razy te zielone i te czarne matoly gonily mnie, kulek napsuli, ale
takie już ich szczęście do mnie, że jakoś życzenia nie mam w ich
towarzystwie przebywać. Na Wolską już nie mogłem się dostać. No i tak
kołowałem, ale to ci później opowiem. Musimy już Jędrus, za
przeproszeniem "Bystry", na naszą pocztę zapychać, bo nam ten twój
"Waga" leć urwie.*

Zerwali się i pobiegli. Godzina była odpowiednia. Jeszcze nie świtało, szary półmrok skrywał skutecznie oba ostrożnie poruszające się cienie. Miał rację "Waga", że wybrał właśnie ich, jakiegokolwiek były powody, dla których to uczynił. Znali teren jak własną kieszeń. Bezbłędnie przyklejali się do murów gdzie trzeba, gdzie trzeba - czołgali się lub szybko przebiegali otwarte odcinki.

O oznaczonym czasie Jędrak i Staszek znaleźli się w wyznaczonym punkcie, na Grzybowskiej, gdzie czekał już na nich młody porucznik ze stosem ulotek.

Gdy upychali ulotki po kieszeniach i za pazuchą, porucznik wyjaśnił im dokładnie marszrutę.

- Musicie dostać się w pobliże hitlerowskiej barykady przy skrzyżowaniu Krochmalnej i Wroniej. Pójdziecie przez częściowo spalone tereny Haberbuscha i ruiny domów przy Wroniej. Tu, gdzie jesteście, są ostatnie nasze placówki. A tam, dokąd idziecie, siedzi przeważnie Wehrmacht, żołnierze. No i to ich właśnie namawiamy, żeby się poddawali i w razie czego nie będziemy ich rozstrzeliwać, tylko traktować jako jeńców wojennych.

- Ale oni nas... - mruknął Jędrak.

- No tak, rozstrzeliwują. Ale chodzi o to, żeby zrobić u nich trochę zamieszania. Poderwać ich wiarę w Hitlera. Nasz wywiad donosi, że wśród szeregowych żołnierzy nastroje nie są najlepsze. W ogóle dość mają wojny, a udział w Powstaniu wcale im się nie podoba. Nie myśleli, że to przybierze takie rozmiary i taki rozmach. No, wiecie już, o co chodzi, więc idźcie,

żebyście byli na miejscu o świcie. Ale swoją pukawkę to zostaw tu, bracie, będzie ci przeszkadzać w drodze. Nie bój się, będzie bezpieczna. Oddam ci, jak wrócisz... I lepiej, żebyście nie mieli broni, gdyby co...

Jędrak z wahaniem wręczył porucznikowi swój drogocenny pistolet maszynowy, a Stach oddał starego wisa.

Zaczęli się przemykać wskazaną im drogą. Robili to już z wielką wprawą. Znali zresztą teren doskonale, różne im tylko wiadome przejścia i dziury w murach, zawałone piwnice, przekopy pod osłoną dymiących jeszcze w wielu miejscach gruzów. W końcu znaleźli się tak blisko Niemców, że słychać było wyraźnie ich rozmowy, pokrzykiwania i rozkazy, rzucane ostrym, chrapliwym głosem. Pobrzękiwały kubki i menażki, widocznie oddział zabierał się do śniadania. W kotle parowała zupa, której smakowity zapach dolatywał do chłopców. Od tej woni ścisnęło ich w dołku. Byli piekielnie głodni, a Jędrak po prostu nie miał w ustach niczego od dwóch dni. Wszystkie te odgłosy z niemieckich okopów tłumili skutecznie lekki szmer odsuwających się pod stopami chłopców kamyków i okruchów cegieł. Byli tuż. Ponad okopem, w którym usadowili się Niemcy, wznosiły się wysokie, poszarpane ruiny fabryczne. Po załamach muru, po nadpalonych belkach chłopcy zwinnie wdrapali się do wysokości drugiego piętra. Tu przyłgnęli przy pustych otworach okiennych, ukryci za stosem żelastwa i cegieł.

- Patrz... - szepnął Stach. - Mamy ich jak na patelni.

- Psiakość! Że też ten porucznik zabrał mi moją pukawkę. Ale byśmy im dali bobu.

- No i co? Ustrzeliliby cię, bracie, w mig. Ani byś się obejrzał.

Przecieśmy nie po to tu przyleźli - uspakajał go Stach, wykazujący zawsze więcej opanowania i zimnej krwi od przyjaciela.

- No, teraz na komendę. Razem. Wio!

Deszcz białych kartek, kołysząc się w rozjaśnionym już powietrzu, spadał na nie spodziewających się niczego żołnierzy. Zrobiło się niesłychane zamieszanie. Niemcy krzyczeli, rzucali się na kartki, łapali je w powietrzu, niektórzy zaczęli strzelać w różnych kierunkach. Oficer z trudem usiłował uspokoić żołnierzy. Chłopcy widzieli wyraźnie, jak Niemcy pochylali głowy nad kartkami, wrywali je sobie z rąk, niejeden kiwał głową w zamyśleniu, wymachiwali w podnieceniu rękoma, przez lornetki rozglądali się dookoła w poszukiwaniu tajemniczego nadawcy niespodziewanej poczty. Kilka kulek świsnęło chłopcom koło uszu. Przyczaili się. Nie widząc rezultatu strzelaniny i nie słysząc żadnych strzałów w odpowiedzi, Niemcy uspokoiili się. Paru z nich na rozkaz oficera zbierało ulotki. Jeden zabrał sporą ich garść i pognał z nią w stronę dalszych stanowisk, gdzie widocznie mieściło się ich dowództwo. Ale chyba nie wszystkie doniósł. Po drodze koledzy wrywali mu je z rąk i zaczęli pilnie czytać. Chłopcy chichotali po cichutku. Najwidoczniej ich akcja odnosiła pożądany skutek. Gdy zamieszanie zupełnie już ustało, zaczęli powoli i ostrożnie zsuwać się z murów.

- Ale mamy szczęście, że nie przyszło im do łba przeszukać ruin.

- Pewnie myślą, że z nieba spadło. Widziałeś, jacy skorzy do działania! To żołnierze, a nie esesmani czy inne zbiry.

Rozpoczęli znów swoją mozolną wędrówkę.

- Jak tam poszło? - zapytał porucznik, gdy stanęli przed nim na baczność z wesołym błyskiem w oczach.

- Meldujemy posłusznie, że rozkaz wykonany!

- Brawo, zuchy jesteście. No, to teraz zejźcie na dół do kuchni.

Należy się wam dobre śniadanie. A tu, "Bystry", masz swój peem. Ładny.

Zrzut?

- Tak - mruknął Jędrak, wyciągając skwapliwie rękę. Prawdę mówiąc, bardziej myślał w tej chwili o tym, co tu dają na śniadanie, niż o swoim pistolecie maszynowym.

Pomknęli żwawo do kuchni, gdzie harcerki uwijały się przy kotłach.

Otrzymali po dużym kubku czegoś, co przypominało słabo słodzoną kawę zbożową - ale było przynajmniej gorące - i po porcji racuchów ze sztucznym miodem. Przedziwne potrawy, których tajemnicę znały wyłącznie niezbyt fachowe, lecz pełne dobrych chęci młode kucharki, powstawały z tego, co dla powstańczej kuchni udało się zdobyć.

Jędrak przyglądał się dziewczętom, uwijającym się przy kuchni i noszącym wodę - i posmutniał. Przypomniała mu się Zosia. W momentach niebezpieczeństwa, walki czy ataku, jego poprzednie życie przestawało jakby istnieć. Cała uwaga skupiona była na karabinie czy granacie, na celu, do którego mierzył. Kiedy jednak zdarzała się chwila wytchnienia, myśl jego powracała uparcie na Wolską, do małej, drewnianej poprzecznej oficynki, do ciasnego, ciemnego pokoju, który zapewne już nie istnieje i w którym nikt na niego nie czeka. Matka, Zosia... Nie dopuszczał nawet do

siebie myśli o tym, że może nie żyją. Gdzie jednak są? Jak sobie radzą? Ze Stachem nie rozmawiali o Woli, o swych domach i rodzinach. Był to temat dla obu zbyt bolesny.

Jędrrek zamyślił się głęboko, mieszając kawę.

I nagle jak gdyby ziemia zatrzęsała się pod nogami. Zadrzały ściany piwnicy, w której mieściła się kuchnia. Zupa z kotła chlusnęła na podłogę, a dziewczęta przewracały się jedna na drugą.

- Nalot!!! - krzyknął ktoś, wpadając do kuchni.

Chłopcy porzucili nie dojedzone śniadanie i wybiegli na górę.

Bombowce nadlatywały kluczami nad Wolę i północne Śródmieście.

Zniżając lot rzucały serię bomb. Rozsypywały się domy i barykady, padali ludzie, trafieni odłamkami. Na placówkę co chwilę wpadał ktoś z budzącymi przerażenie doniesieniami:

- Bombardują cmentarze!

Na cmentarzach - ewangelickim, powązkowskim i żydowskim - trzymały się formacje powstańcze Kedywu.

- Pociąg pancerny zniszczył barykadę na Górczewskiej!

- Z Działdowskiej wypędzają ludzi i podpalają domy!

Ale zdarzały się chwilami wieści pocieszające:

- Na Wolskiej zniszczonoczołg!

- Chłopcy z "Parasola" przyszli na pomoc!

- Barykada "Wagi" broni się!

Oczywiście, Jędrrek i Staszek, a zwłaszcza Jędrrek - aż rwali się, żeby dotrzeć do tej "swojej" barykady, do "Wagi", żeby być tam, gdzie potrzebny

był każdy karabin w tej walce na śmierć i życie. Ale dowódca odcinka stanowczo się temu sprzeciwił.

- Zakazuję! - krzyczał. - Rozumiecie, zakazuję! To rozkaz! Nawet mysz się tam nie przedostanie. Z góry bomby, z boku pociąg pancerny, a jeszcze atakują ich od zajezdni tramwajowej. Ze wszystkich stron.

- Ale to mój oddział! Muszę!

- Teraz jesteśmy wszyscy jak jeden oddział. Tu, czy tam. Pomożesz im, jak po drodze padniesz? Chcesz walczyć, rozumiem. Potrzebny jesteś żywy, nie martwy. Wszystkim, co walczą. Tu też będziecie potrzebni. Nasze stanowiska na Łódzkiej za chwilę zaatakują czołgi. Już je słychać.

Kapitan mówił to wszystko dość ostro, ale patrząc na palającą twarz

Jędrka, płonące oczy, zaciśnięte w twardym uporze usta, rozmyślał: czym

zdobył sobie serca tych chłopaków "Waga"? Wielu było w Powstaniu

dowódców dzielnych, odważnych, sprawnie umiejących wydawać rozkazy,

wykonywane bez szemrania przez podwładnych. Ale tu było coś więcej,

tylko że kapitan nie wiedział - co. Bo nic nie wiedział o wieczornych

rozmowach "Wagi" z Jędrkiem i innymi chłopcami prowadzonych jeszcze

przed Powstaniem na melinie w Śródmieściu.

I tak przypadło w udziale Jędrkowi przeżyć jeszcze raz walkę z

czołgami, nacierającymi pod osłoną kobiet i dzieci. Nie reagował tak, jak za

pierwszym razem, drżeniem kolan, rąk, skurczem gardła. Zdawało mu się

po prostu, że śni ponownie jakiś koszmarny sen, którego żaden szczegół nie

jest mu obcy.

Po kilku godzinach atak został odparty. Stasiek pobiegł gdzieś z

meldunkiem, a Jędrrek, wyczerpany do cna walką, pokornie pozwalał małej sanitariuszce opatrywać sobie draśnięte odłamkiem ramię, kiedy stanął nad nim kapitan.

- Dziękuję ci, "Bystry". Dzielnie się sprawiłeś. Ale mam, niestety, dla ciebie bardzo złą wiadomość.

Jędrrek podniósł na kapitana zapadnięte oczy. Nie miał nawet siły wstać, by przybrać służbową, przepisową postawę.

- "Waga"? - szepnął, ale ten szept był ledwo słyszalny.

Kapitan skinął głową.

- "Waga" poległ na barykadzie. I nie tylko on. Zginął także sierżant "Wicher", ciężko ranny jest podporucznik "Mirek". Wasz oddział został zdziesiątkowany. Niemcy zdobyli szpital św. Stanisława i opanowali skrzyżowanie Wolskiej i Młynarskiej.

Jędrrek skulił się. Przypomnił sobie, co mówili mu ranni koledzy: kiedy człowieka trafia kula, z początku tego się nie czuje. Ból i cierpienie przychodzą później. Czasem takie, że nie sposób wytrzymać. Poczul dłoń kapitana na swoim ramieniu. Pewnie chciał go podtrzymać na duchu, ale Jędrrek nawet nie drgnął. Gdyby ten człowiek puścił go kilka godzin temu na barykadę... Przemknęło mu przez myśl, że wolałby tam, na barykadzie leżeć ranny czy martwy wraz ze swymi chłopakami i towarzyszami, aniżeli siedzieć teraz tu, ledwo draśnięty, ale żywy i cały.

Jędrrek nie wiedział, bo nie mógł wiedzieć, że tego samego dnia dosięgnął go jeszcze jeden, najboleśniejszy cios. Tego dnia stracił matkę.

Dowie się o tym wiele miesięcy później, z ułamkowych informacji

przypadkowych świadków tych wydarzeń. Co nieco opowiedział mu pewien chłopak, który uratował się z pogromu, włącząc na wysoki kasztan, rosnący na niedalekim cmentarzu. Chłopiec był drobny i gęste listowie skutecznie go ukrywało przed oczyma żandarmów i własowców, którzy nie oszczędzali ani kobiet, ani starców, ani dzieci. Ulica Wolska stała w ogniu. Kto mógł, uciekał w stronę Starówki czy Śródmieścia, ale nie wszystkim się to udało. Tego dnia na Woli wymordowano 38 tysięcy mieszkańców. W domu, w którym mieszkali Martyniakowie, nie było już wiele ludzi. Mężczyźni poszli przeważnie do Powstania, zostały kobiety i dzieci. Kiedy Martyniakową wypchnięto z jej izdebki na podwórze, front kamienicy zaczynał się już palić. Na podwórzu stała grupka ludzi, otoczona przez własowców. Był tam szewc Balcerzak z Janką, sklepikarka, mecenasowa z Magdalenką, jeszcze ktoś z sąsiedztwa. Kazano im wyjść na ulicę, a własowcy rozbiegli się po mieszkaniach, szukając, co by tam jeszcze można było zrabować. Martyniakowa, słaba po przebytej chorobie, oparła się o studnię. W tej chwili twarz mecenasowej zapłonęła rumieńcem i w oczach błysnęło szaleństwo. Zawołała półgłosem: "Tam zostało... Wszystko... Moja biżuteria, moje złoto!" i nie zważając na obstawę rzuciła się do domu przez wejście kuchenne od podwórza. A na podwórku została płacząca rozpaczliwie Magdalenka, ściaskająca w rączkach swój skarb: czerwoną, piękną piłkę. "Mama! Mama!" - wołała rozpaczliwie. Czy mecenasowa chciała po prostu ocalić swoje bogactwo, czy przy jego pomocy wykupić się od pogromu - kto to wie. Dwóch własowców popędziło za nią. I z góry, z pierwszego piętra, rozległ się już tylko jeden krzyk i dwa wystrzały.

Pozostałą gromadę zaczęto wypychać na ulicę. Martyniakowa wzięła Magdalenkę za rękę i wyszła z nią z bramy. Szła spokojnie, jak gdyby w ostatniej chwili odzyskała siły. "Cicho, córciu, cicho. To już nie potrwa długo" - powiedziała do Magdalenki i mała przestała płakać. Tylko mocniej ścisnęła rękę starej kobiety.

Martyniakowa ogarnęła wzrokiem morze płomieni, buszujących po obu stronach ulicy. Czarne płaty spalenizny krążyły w powietrzu, jak stada potwornych wron. Gdzieś za tą linią ognia znajduje się jej syn, zмага się z wrogiem. Czują, że tak jest - mówiło to jej matczyne przeczucie. A ona jest tu - na swojej Woli, ginącej, płonącej jak ofiarny stos. Tu się urodziła i wychowała, tu poznała dobrego i pracowitego chłopaka i wyszła za niego za mąż, tu przeżyła z nim szczęście i nieszczęście, dobre i złe lata, tu go pochowała na pobliskim cmentarzu, tu urodził się ich syn i tu go wychowała. I tak już widocznie było pisane, że ona, Martyniakowa, tu pozostanie na tym skrawku ziemi - z całej szerokiej ziemi dla niej najbliższym i najdroższym. Ani ten skrawek ziemi jej nie opuści, ani ona tego skraweczka w najtrudniejszej dla nich obojga chwili.

Przytuliła do siebie Magdalenkę i szorstką dłonią zasłoniła jej oczy.

- Nie patrz! - powiedziała.

Nie dosłyszały nawet salwy. Upadły jednocześnie - mała dziewczynka i obca dla niej kobieta, biorąca jakby w objęcia stertę gruzów. Czerwona piłka potoczyła się do rynsztoka i nie wiadomo, co było czerwiejsze - błyszcząca piłka, czy plama krwi, rozlewająca się na dziecinnej piersi.

** * **

Ktoś może być ciekaw, co się stało z dwiema przyjaciółkami Zosi, Jasią Balcerzakówną, córką szewca, i Hanką, która nauczyła Zosię śpiewać w tramwajach, a potem okazała się dzielną łączniczką i ranna, wyciągnięta przez Jędrka spod ognia, znalazła się w szpitalu. W Powstaniu łatwo się było zgubić i równie łatwo, nawet przypadkowo odnaleźć. Była to przecież walka w mieście, walka uliczna, placówki i domy zdobywano i tracono, oddziały cofały się i nacierały, gromady ludzi, uciekając przed wrogiem lub pędzone przez niego jako osłona czołgów, przewalały się po mieście, po schronach, rowach i przekopach, przez przejścia między murami i w murach kamienic.

Gdy własowcy wypędzali ludzi z domu przy Wolskiej, a wśród nich i Martyniakową z Magdalenką, w bramie zrobił się tłok i zamieszanie.

Balcerzak z Jasią był sam. Balcerzakowej nie było od pierwszego dnia Powstania. Z samego rana pobiegła jeszcze na targ, mając nadzieję, że uda się jej dokupić żywności do domowych zapasów. Nie wróciła i nikt nie wiedział, co się z nią stało. Młodsza dzieciarnia rozbiegła się, ciekawa każdego niezwykłego wydarzenia. Może je zabito, może tulają się po jakichś schronach. Z ojcem została tylko Jasia - "koza", jak ją nazywał stary Franciszek. Balcerzak nie miał żadnych złudzeń co do losu, jaki im przeznaczono. Nie myślał o sobie. Uznał, że przeżył już życie, które nie szczydziło mu trosk. Postanowił uratować córkę. Całe życie przed nią, jeżeli ocaleje. Była to decyzja prawie nieświadoma i błyskawiczna. Zrobił wrażenie, że się potknął, zachwiał i w tym momencie z całej siły popchnął Jasię w otwarte na oścież drzwi stróżówki, szepcząc jej cicho, żeby nie

dosłyszał własowiec, który właśnie szarpnął go za ramię i zamierzył się na niego kolbą. "Za szafę" - dosłyszała Janka. Widocznie szewc, przyjaciel dozorczy, znał tę skrytkę, w której Franciszek przechowywał broń.

Zastłonięta przez wysoką i tęgą postać ojca, Janka jednym susem skoczyła do stróżówki. Panował w niej nieprawdopodobny rozgardiasz. Może Franciszek, opuszczając ją w pośpiechu, pozostawił wszystko w takim nieładzie lub też splondrowali wewnątrz żandarmi. Janka dała nura pod porzucony na podłodze obszerny, stróżowski kozuch i zastygła w bezruchu.

Któryś z własowców zajrzał tam nawet, lecz nie widząc nikogo, uznał, że nie warto szukać czegokolwiek w tym ubogim pomieszczeniu. Gdy ścichły kroki w bramie i tylko już z ulicy dobiegały wrzaski faszystowskiej komendy, Janka wyczołgała się cichutko spod kozucha, odsunęła trochę szafę, której wewnątrz ziało pustką i wśliznęła się za nią do dość głębokiej niszy, gdzie leżało kilka poprzewracanych skrzynek. Przykucnęła za nimi i z powrotem zasunęła szafę, pociągając ją za nóżkę. I już tylko z daleka, jak echo w lesie, dotarł do niej odgłos salwy. Chciała zobaczyć, ale nie mogła - tak była przerażona wszystkim, co się działo. Ile czasu spędziła w swojej kryjówce - nie umiała sobie zdać sprawy. Wygonił ją gryzący dym i nasilające się gorąco. Ogień palącego się domu dotarł do schowka. Krztusząc się wybiegła na ulicę. Faszyci już odeszli, nie mieli chyba ochoty usmażyć się żywcem w tym piekle. Nie słyhać było strzałów, tylko syk płomieni i trzask zapadających się domów. Na ulicach leżały zwały rozstrzelanych mieszkańców Woli. Była noc, rozświetlona jedynie pożarami. Janka nie szukała zwłok ojca - niepodobieństwem było odnaleźć tu czy rozpoznać

kogokolwiek. Zaczęła biec środkiem jezdni, prosto przed siebie, w kierunku przeciwnym od Śródmieścia, aż padła z wyczerpania wśród jakichś zarośli.

Gdy się ocknęła, był już dzień, a koło niej siedział mały chłopiec, równie usmolony i ubrudzony, jak ona.

- Ty, stara - powiedział do niej - trzeba stąd wiać.

- Gdzie jesteście? A ty, kto?

- Tomek z Wolskiej. Moich też rozwalili.

- Jak się uratowałeś?

Wzruszył ramionami na znak, że to nie ma znaczenia.

- A przesiedziałem na kasztanie na cmentarzu. Mały jestem, to mnie nie wypatrzyli. A teraz jesteśmy za cmentarzem wolskim. Tylko, że niedaleko są "oni"...

I poprowadził ją dobrze widocznie sobie znanymi ścieżkami, drogami, drożynami i na przelaj przez łąki. Jance zdawało się, że droga ta trwa w nieskończoność.

- No to już jesteśmy we Włochach - powiedział malec. - Tu niedaleko mieszka moja babcia, ogrodniczka. Da nam jeść i prześpimy się.

Janka obejrzała się. Jeszcze nie wiedziała, co będzie z nią dalej, co pocznie sama na świecie, lecz ulgą była dla niej myśl, że piekło zostało poza nią. Mimo woli pomyślała o koleżankach i kolegach, dzieciach z jej podwórka. Gdzie są, co robią? Czy jeszcze kiedykolwiek spotkają się razem przy beztroskich zabawach?

Hanka Wiśniewska, mała "gwiazda" tramwajowych koncertów, była w szpitalu, ale już innym, przeniesiono ją do Karola i Marii. Właściwie

mogła już wstawać.

- Co to znaczy młodość! - mówił za każdym razem lekarz, gdy przychodził, by oglądać jej gojące się na przedramieniu i na nodze rany.

Mogła już nawet pomagać sanitariuszkom przy opatrywaniu ciężiej rannych. Martwiła się tylko o chłopców: dlaczego nikt do niej nie przychodzi? Czyżby o niej zapomnieli? Najbardziej niepokoiła ją nieobecność Jędrka. Skąd mogła wiedzieć, że zmienił kwaterę. O barykadzie kapitana "Wagi" docierały do niej ponure i tragiczne wieści.

A pewnego dnia szpital zdobyli hitlerowcy. Wdzierali się drzwiami i oknami, strzelając na wszystkie strony i wrzeszcząc, że i tu zrobią koniec z "polskimi bandytami".

Personel

szpitala,

zresztą

nieliczny,

był

przygotowany na najgorsze. Nie pierwszy to szpital powstańczy wpadł w ręce wroga. Tylko część szpitala Karola i Marii na rozkaz podpułkownika "Radosława" udało się ewakuować, zresztą już pod ostrzałem.

Ale lekarz kierujący szpitalem miał jeszcze jakąś malutką nadzieję, że przynajmniej leżących rannych uda mu się ocalić. Wydał więc zarządzenie:

"Wszyscy do łóżek i na prycze i przykryć się. Udawać nieprzytomnych i jęczeć..."

Nie zdało się to na nic. Szli od łóżka do łóżka i strzelali. Hance najbardziej było żal młodego blondynka, którego jeszcze przed godziną pomagała siostrze opatrywać. Nawet nie krzyknął, kiedy esesman wygarnął do niego z automatu. "Ja też nie będę krzyczeć! Nie będę" - powtarzała sobie w myślach. Gdy stanął nad nią człowiek w czarnym mundurze, zacisnęła usta i spojrzała mu prosto w oczy. Nie dojrzała w nich jednak ani żądzny mordy, ani błysku nienawiści. Patrzyły na nią jakoś dziwnie smutno i łagodnie, ze wzruszeniem, i przypomniał się jej ojciec, żegnający się z nią przed pójściem na front w trzydziestym dziewiątym roku. Nie wrócił z frontu i nigdy nie otrzymali od niego żadnej wiadomości. Miał takie same łagodne, szare oczy, ocienione długimi czarnymi rzęsami. Dwie duże łzy spłynęły jej po policzku. A o czym myślał w tej chwili człowiek w czarnym mundurze z palcem na spuście pistoletu? Może o swojej córce, która została ranna podczas alianckiego nalotu i leżała w berlińskim szpitalu - a może po prostu tylko o tym, że tej małej, chudziutkiej dziewczynki z zabandażowaną po pachę ręką w żaden sposób nie można zaliczyć do "polskich bandytów". Położył palec na ustach na znak milczenia, nasunął Hance koc na głowę i mruknął do idącego w ślad za nim esesowca, wykonującego swoje zadanie z kamienną twarzą: "Tot" - martwa. Żeby go jeszcze przekonać, że sumiennie wywiązuje się ze swych obowiązków, strzelił w materac, niby "na wszelki wypadek". I tak Hanka ocalała i mawiała potem zawsze, że to był chyba cud. Kiedy podpalili szpital i odeszli, Hanka wyczołgała się przez zwalony martwych ciał i schroniła w pobliskim domu, który akurat, na jej szczęście, był "niczyj". Następnego dnia przekradła się do najbliższej placówki

powstańczej. Oczywiście nikt nie chciał wierzyć w jej opowiadanie o “dobrym Niemcu” i stwierdzili, że ma bzika. A ocalała pewnie, bo się schowała w jakimś kącie. Resztę Powstania przeżyła, tułając się po piwnicach i schronach. Głównie pomagała harcerkom opiekować się samotnymi dziećmi. Wyszła z Warszawy po kapitulacji razem z tłumami ludności cywilnej, a z Pruszkowa trafiła do Milanówka pod troskliwą opiekę tamtejszych lekarzy. Po latach wykształciła się na śpiewaczkę i została jedną ze znanych gwiazd polskiej - i nie tylko polskiej - sceny operowej.

Wróćmy jednak teraz do Jędrka, który na nowej placówce nie mógł sobie jakoś znaleźć miejsca. Reszta załogi była zżyta ze sobą i starsza od niego. I mimo że tak brawurowo wykonali ze Stachem zadanie rozrzucenia ulotek, chociaż sprawiali się dzielnie przy odpieraniu ataku czołgów, traktowano ich jako tych “młodszych”, którym można zlecać rozmaite mało ważne zadania. Stach miał tego dość i po pewnym czasie urwał się, gdyż znalazł wreszcie swojego Jerzego, którego uwielbiał w równym stopniu, jak Jędrak kiedyś kapitana “Wagę”. Namawiał Jędrka, żeby poszedł razem z nim, ale Jędrak czym innym nabił sobie głowę: on musi przedostać się na Żoliborz, bo tam - jak słyszał - walczą “nasi”. To znaczy oddziały z tej samej formacji, do której należał “Waga” i jego ludzie. Powtarzał stale Staśkowi i sobie samemu, że jest to winien pamięci “Wagi” i jego chłopców. Na Żoliborzu walczyła brygada AK_OW PPS imienia Jarosława Dąbrowskiego i tylko tam, gdzie znajdzie wspólny język z kolegami i zrozumienie, przestanie się czuć czymś w rodzaju dezertera, odzyska werwę i bojowy zapał. A tu niewiele brakuje, żeby mu kazali razem z harcerkami zupę

mieszać w kotle. Stasiek poszedł do swojego Jerzego, a Jędrrek poczuł się jeszcze bardziej osamotniony. Nie wiedział wtedy, że dopiero po latach spotka się ze swoim przyjacielem. Po kapitulacji Powstania, razem ze swoim oddziałem Stach poszedł do niewoli. Dowiedział się, że stracił całą rodzinę i po uwolnieniu z obozu jenieckiego nie od razu chciało mu się wracać do Warszawy, gdzie nikt na niego nie czekał. Wędrował parę miesięcy po świecie, ale nigdzie miejsca nie zagrzał. Nigdzie mu się nie podobało. Więc w końcu wrócił, bo doszedł jednak do wniosku, że najlepiej mu będzie wśród swoich. Ale nie do Warszawy. Pojechał na Wybrzeże, wstąpił do Szkoły Morskiej i został marynarzem. Długo pływał po różnych morzach, w końcu zamieszkał w Gdyni i tam założył rodzinę.

Po rozstaniu ze Stachem Jędrkowi przydarzyła się historia, którą mógłby opowiadać jak bajkę, gdyby nie tragiczne momenty, jakich w niej nie brakowało.

Pewnego dnia kapitan przywołał go do siebie i powiedział:

- Słuchaj, "Bystry". Tu jest jeden człowiek, nie bardzo znający nasz teren, którego trzeba przeprowadzić. To fotograf. Robi dla dowództwa dokumentację działań. Mówimy na niego "Nowy", no bo jest u nas od niedawna. Wiesz, gdzie są stanowiska "Zdunina"? Srebrna, Towarowa, Dworzec Pocztowy. Otóż ze "Zduninem" sytuacja jest niejasna, trzeba dowiedzieć się, co się tam dzieje. Jest tam taki kąt między Srebrną i Towarową, a może i Miedzianą czy Platynową, teren dawnej fabryczki baterii
do

latarek

kieszonkowych.

Duże

podwórko,

ogrodzone

trzymetrowym murem, pośrodku wysoki komin fabryczny. Nie wiemy, kto tam siedzi. Może Niemcy, może nasi - ale kto też nie wiemy. Trzeba się tam dostać, już ty to potrafisz. No i "Nowego" zabieraj. Jak wrócisz, zameldujesz się.

Jędrak przyjrzał się uważnie swojemu nowemu towarzyszowi wypadu. Nawet mu się dość spodobał. Szczupła twarz, bystre ciemne oczy, wesoły uśmiech. Do wyznaczonego punktu dotarli bez większych przeszkód, przy okazji Jędrak stwierdził, że "Nowy" umie całkiem sprawnie, gdzie trzeba, czołgać się, gdzie trzeba, kryć albo szybko przebiegać otwartą przestrzeń. No, bracie, nie musisz ty być taki "Nowy", skoro znasz te podstawowe sztuczki! Ciekawe, coś ty za jeden? chciał go zagadnąć, ale nie był to czas na zwierzenia. Stali już pod murem i nasłuchiwali.

Nagle w oczach ich obu rozbłysło zdumienie, a "Nowy" uśmiechnął się rozbawiony.

- Co za czort? Szkółkę jeździecką ktoś sobie tu urządził, czy kawaleria ćwiczy się do ataku?

Za muru dobiegał wyraźny odgłos końskiego galopu, odbijający się echem w podwórzu zamkniętym murami. Po stercie gruzu, sięgającej prawie do wierzchołka muru, Jędrak i "Nowy" wdrapali się na górę i oczom

ich ukazał się przedziwny widok. Dookoła podwórza na oklep galopował młody człowiek z peemem przewieszonym przez ramię. Koń był piękny, zadbany i nie znać było po nim powstańczej diety. Galopadzie tej przyglądała się z zainteresowaniem grupka kilkunastoletnich chłopczków.

Ale nie wszyscy podziwiali bezinteresownie to widowisko. Trzech chłopców pełniło wartę, siedząc okrakiem na drugiej ścianie muru od strony

Towarowej, a tuż nad uchem Jędrka rozległo się donośne:

- Stój! Kto idzie, bo strzelam! Ręce do góry!

Było to trochę trudne do wykonania, gdyż "Nowy" trzymał w ręku aparat fotograficzny, a Jędrak swego zrzutowego stena, z którym się nie rozstawał, chociaż nie miał już prawie do niego amunicji. Może nieoczekiwani goście mieliby kłopot z wytłumaczeniem się, po co się tu zjawili, gdyby nie zabrzmiał nagle donośny i chóralny okrzyk:

- Jędrak!

I Jędrak zeskoczywszy z muru, wpadł prosto w objęcia swojej gazeciarskiej ferajny. Było ich tu kilkunastu i znał ich wszystkich tak, jak oni jego. Był więc i najmłodszy Kubuś, co chyba nie miał jeszcze nawet dziesięciu lat, i najstarszy wśród nich - Janek, młodszy od Jędrka o dwa lata. Wszyscy ściskali Jędrka, klepali po ramionach, obmacywali z zainteresowaniem pistolet, głaskali helm.

- I skąd was tu licho przyniosło? Co tu robicie? - wypytywał z zaintrygowaniem Jędrak, chociaż wiedział, że po tych jego cwaniakach wszystkiego można się spodziewać. Zaczęli mu opowiadać, jeden przez drugiego, przerywając sobie nawzajem:

- A no, zebraliśmy się pierwszego dnia w Alejach, jak zawsze, ale

widać było, że już z “szmatławcem” szlus...

- Jak się zaczęło to tango...

- Ty, nie wyrażaj się głupio... Jak się zaczęła strzelanina i

pokapowaliśmy się, że to już Powstanie, to daliśmy nogę przez Aleje na to podwórko.

- Poglówkowaliśmy, że jak trzeba Niemców prac, to i my będziemy prac...

- Tu była jedna skrytka z bronią, ale tylko trzy karabiny i trochę amunicji. No i taki plastik, z którego można robić granaty.

- Ale do kitu te granaty. Lepsze butelki. Z benzyną. A tu tego jest do lica. No i zaczęliśmy. Co jakiś czołg na Towarowej się pokaże, to my go łup!

Jędrka ogarniały na zmianę rozbawienie i trwoga. Te jego mikrusy, z których byłby pożytek na każdej powstańczej placówce, wypowiedziały, jak się zdaje, prywatną wojnę Niemcom. A w gruncie rzeczy są przecież prawie bezbronni. Jeden potężny pocisk z działa kolejowego, czy tak zwanej “szafy” albo “krowy”, jedna bomba lotnicza - i koniec z całym tym młodocianym wojskiem.

- No, a komu podlegacie? - zapytał przezornie. - Jakiemu zgrupowaniu? Kto wam wydaje rozkazy?

Chłopcy wybuchnęli śmiechem.

- Z choinki się urwałeś? My? Nikomu nie podlegamy. W ogóle nikt nie wie, że tu siedzimy. Sami się rządzymy.

- A kto tu dowodzi?

- Najpierw on dowodził - wskazali na Janka. - Mianowaliśmy go

“Generałem”, ale teraz mamy innego, prawdziwego dowódcę - oświadczyli z dumą.

W tej chwili młody człowiek, galopujący dookoła podwórza zatrzymał się przy nich, zeskoczył z konia i wręczył lejce Kubusiowi.

- Odprowadź do stajni i przykryj derką.

- To jest właśnie nasz dowódca - szepnął Janek do Jędrka. -

Nazwaliśmy go “Maszynka”, bo ma pistolet maszynowy. Podchorąży. Z Gdyni. Wlazł tu kiedyś do nas, tak jak ty dziś, no i został.

“Maszynka” był chyba niewiele starszy od Jędrka. Widać było jednak po minie, że wysoko sobie ceni swoją rangę, bo siląc się na ton serio, zapytał:

- A to kto?

Chłopcy wyjaśnili skwapliwie, widocznie “Maszynka” miał posłuch wśród swojej gromadki:

- Jędrak. Też gazeciarz, nasz kolega. Fajny kumpel.

- A ten drugi?

Jędrak wytłumaczył:

- To fotoreporter z dowództwa. Robi dokumentację działań. Ma pseudonim “Nowy”. Miałem rozkaz przyprowadzić go tu, bo nikt nie wiedział, co się w tej dziurze dzieje.

- Aha. No, niech sobie fotografuje, jak musi, nam to nie przeszkadza.

A ty chcesz z nami zostać?

Jędrak zawahał się. Z jednej strony miałby ochotę zostać tu i

porozrabiać trochę z chłopakami, aniżeli tkwić w ważniackiej załodze dowódcy, do którego jakoś nie miał serca, ale na dobrą sprawę po rozbiciu oddziału "Wagi", przeszedł faktycznie pod komendę kapitana. Pozostanie z gazeciarzami byłoby więc z jego strony niedopuszczalną samowolą. Miał zresztą własne plany, które chciał zrealizować. Poza tym... Nie był pewien, czy nie doszłoby po pewnym czasie do tarć z "Maszynką". Czuł się już doświadczonego powstańcem i nie odpowiadała mu zależność od prawie takiego samego jak on młodziaka.

- Kiedy, widzisz, ja mam swój przydział. Nie mogę tak sobie zwiać według mojego widzimisię...

- No jak tak, to trudno. Rozumiem. Dyscyplina.

Jędrrek odniósł wrażenie, że to wyjście z sytuacji bardzo "Maszynce" odpowiada, chociaż chłopcy nie ustawali w namowach.

- A czym karmicie tę szkapę? Też sama przyszła powojować? -

zażartował, patrząc, jak Kubuś szarpie się z koniem, wpychając go do jakiegoś baraku.

"Maszynka" najwidoczniej obraził się:

- Tylko nie szkapa. To rasowy koń. I to dobrej rasy. Po dawnych właścicielach został. Widzisz, ile tu różnych składzików, bud i baraczków.

Nawet siano dla niego mamy. A ja go tak przeganiem codziennie, żeby się nie zastał.

- My tu i krowę mamy... - pochwalił się Janek.

- Oho, całe gospodarstwo! To i mleko macie?

- Ano mamy. Doimy ją i mamy. Ale nie dla nas. Przychodzą tu matki

po mleko dla dzieci.

- Przez mur?

- E tam, która dałaby radę... Mamy dla nich drugie wejście. - I Janek pokazał zamaskowaną dziurę w murze. - Jak będziesz chciał jeszcze nas odwiedzić, to tędy.

W tym momencie jeden z chłopców, pełniący wartę na murze, przeciągle gwizdnął. Jednocześnie dało się słyszeć charakterystyczne dudnienie gąsienic. Czołg bez pośpiechu posuwał się Towarową, widocznie na zwiad.

Część druga (c.d.)

W mgnieniu oka uformowała się kolejka, a w rękach gazeciarzy pojawiły się butelki z benzyną. Jeden przekazywał tę "broń" drugiemu, a ostatni, skryty nieco za murem rzucił je z całym rozmachem.

- Dostał! Dostał! - rozległy się radosne okrzyki i zaraz potem huk wstrząsnął powietrzem.

- Karabin! - skomenderował bez namysłu "Maszynka".

I tu Jędrak był świadkiem dość osobliwej operacji wojennej. Karabin też wędrował z rąk do rąk jak pałeczka w biegu sztafetowym. Po wystrzale jeden chłopak błyskawicznie przerzucał karabin do drugiego, skrytego za murem kilka metrów dalej. Musiało to sprawiać na wrogach wrażenie, że barykada obsadzona jest przez jakiś liczny oddział. Załoga niemiecka, która wyskoczyła z płonącego czołgu, strzelała na chybił trafił, ale po pewnym czasie i to ucichło. "Maszynka" wychylił się ostrożnie przez mur i oświadczył:

- Gotowi. Pozbierać broń.

I mały Kubuś jak myszka dał nura na ulicę. Nie minęło wiele czasu,

gdy zjawił się z powrotem ciągnąc z wysiłkiem parę pistoletów

maszynowych. Chłopcy rzucili się na pomoc, a on chlupał żałośnie:

- Psiakość... Naboji nie ma. Wszystkie wystrzelali...

“Nowy” był zachwycony materiałem zdjęciowym, który udało mu się

zdobyć. Jędrak wracał trochę markotny. Nie uszedł jego uwadze wysoki

komin fabryczny na środku podwórza, mocno nadwerężony przez artylerię -

niewiele brakuje, żeby się to chłopakom zawałilo na głowę. Kapitan zaś, gdy

odebrał od Jędrka meldunek, pomyślał, że trzeba dać znać do sztabu. Niech

tym “dzikim” - jak ich nazwał - to bydelko zarekwirują. Ludzie na

placówkach nie mają co jeść. Zresztą o tej menażerii za murami opowiedział

kapitanowi nie Jędrak, lecz “Nowy”, zaśmiewając się do łez.

Co jakiś czas Jędrak sam lub z “Nowym” robili wypadki do

“gazeciarzy”, jak ich ochrzcił fotograf. Gdy zjawili się po paru dniach, malcy

byli najwyraźniej w złym humorze. Naskoczyli na Jędrka:

- To ty rozgadałeś o naszym zwierzyńcu? Papla!

- Słowo daję, że nie. Może “Nowy”. A co się stało?

- Zjawił się tu wczoraj jakiś miglanc. Mówił, że ze sztabu i rekwiruje

krowę na rzeź. My z początku z nim po dobremu. Tłumaczymy, że my mleka

nie pijemy, że to dla niemowlaków. Masz pojęcie, ile babek tu co dzień po to

mleko przychodzi. Ale on się uparł. No to myśmy go wzięli do niewoli.

- Jak to, do niewoli?

- Rozbroiliśmy go i wsadzili do szopy. Za kilka godzin zjawia się

drugi, bo pomyśleli, że temu pierwszemu coś się stało. Powiedzieliśmy, że ten pierwszy groził nam pistoletem, więc go rozbroiliśmy i chcieliśmy jako pastuszka zatrudnić. Oddaliśmy temu drugiemu jeńca i jego pistolet i zapowiedzieliśmy, że ich tu więcej widzieć nie chcemy. Niech z nami nie zadzierają...

Jędrak musiał sto razy przysięgać, że nie sypnął ich ani nikogo na nich nie nasyłał i tylko uśmieł się serdecznie, kiedy wyobraził sobie zarówno sztabowców, jak i swego kapitana, którego słusznie podejrzewał o ten podstęp.

Innym znów razem zastał Jędrak swoją bandę w szampańskich humorach.

- Wiesz - opowiadał Janek - dwa dni temu wieczorem nudziliśmy się, jak jasny gwint. Wiedzieliśmy, że w domu na przeciwko siedzą włosowcy. Więc zaatakowaliśmy ich. Strzelanina była, powiadam ci, jak na Wielkanoc z "kalafiorków". Aleśmy ich wykurzyli. Ale że była noc, ciemno, tośmy się grzecznie wycofali. Nie wiedzieliśmy, został tam kto, czy nikogo nie ma. Nasłuchujemy - cisza. Strzelaliśmy na postrach, nikt nie odpowiada. No i następnej nocy poszliśmy tam znów na zwiad. Pusto, głucho. Chyba całe bractwo uciekło. Trochę broni zostawili. Cztery erkaemy, tyle amunicji do nich co kot napłakał. Ale na odchodnym zapomnieli swój skarbiec zabrać. W kącie to leżało. Popatrz, jaki bank!

Jędrak z podziwu aż oniemiał. Czego tam nie było! Nie ulegało wątpliwości, że były to rzeczy zrabowane polskiej ludności. Pieniądze, złoto, biżuteria...

- I co z tym zrobicie? - zapytał Jędrak z ciekawością.

- Myśmy tak wykombinowali: dziś wieczorem to wszystko do wora i któryś z nas pójdzie do Śródmieścia. Dostaniemy za te cacuszka amunicji ile chcąc...

Transakcja doszła pomyślnie do skutku, o czym się Jędrak dowiedział przy następnej wizycie u "gazeciarzy".

Pewnego dnia "Nowy" poszedł sam do "gazeciarzy". Bardzo ich polubił, znał każdego po imieniu i wciąż był ciekaw, jak sobie maluchy radzą. Jędrak nie mógł mu tym razem towarzyszyć, kapitan wysłał go z jakimś ważnym poleceniem. Ale "Nowy" nie przyniósł dobrych wiadomości.

Zginął "Maszynka". Kubuś, którego bożyszczem był ten młodziutki dowódca, ryczał jak bóbr, inni też przygnębieni, nie byli skorzy do opowiadań. Dopiero Janek zdobył się na krótką relację. Poprzedniej nocy krążył nad okolicą "kukuruźnik", zwiadowczy, nisko latający samolot radziecki. Może szukał miejsca dla zrzutów. Niemcy go zestrzelili, a dwaj lotnicy wyskoczyli ze spadochronami. Spadli nad torami kolejowymi i "Maszynka" niewiele myśląc poczołgał się tymi torami w ich stronę, chcąc wskazać im właściwą drogę ucieczki. Niestety, stacjonowali tam też własowcy i znając język rosyjski lepiej od "Maszynki", ściągnęli lotników do siebie. Jaki los ich spotkał - nie wiadomo. Była ciemna noc i nic nie było widać. Ale "Maszynka" na torach był dobrym celem. Szukając jeszcze może spadochroniarzy, własowcy oświetlili teren rakietami i podziurawili "Maszynkę" jak sito. Szkoda "Maszynki", dobry był z niego dowódca...

- Tak to bywa na wojnie, Jasiu. Ratujesz życie innych żołnierzy i sam

giniesz. - "Nowy" wiedział, że pocieszanie nie zda się tu na nic. Niech chłopcy zachowają w pamięci swojego dowódcę jako bohatera.

- Zmieniamy pozycje - oświadczył kapitan pewnego ranka. -

Przenoszą nas trochę dalej do Śródmieścia. A ty, "Bystry", wciąż chcesz na ten swój Żoliborz? No dobrze, idź. Pewnie trasę masz już w małym palcu.

Tylko jeszcze pomóż dziewczętom przetransportować paru lżej rannych. Nie chciałem oddawać ich do szpitala, ale zabrać ich ze sobą też nie możemy.

Podczas gdy Jędrzek ubezpieczał konwój sanitarny, "Nowy" skoczył jeszcze do "gazeciarzy", żeby się z nimi pożegnać i w imieniu Jędrka życzyć im "bojowych sukcesów". Niestety, nikogo nie zastał. Podwórze było puste, nosiło ślady pożaru i wszystko wskazywało na to, że musiała tu trafić bomba lotnicza. Rozsypany komin fabryczny przykrywał wszystko stosem pokruszonych cegieł. Kilka grobów, porzucony karabin, trochę połamanych gratów - i cisza.

Jędrkowi "Nowy" powiedział, że chłopcy odeszli na inne stanowisko.

Po co ma się martwić. A może zresztą naprawdę tak właśnie było? Obiecał Jędrkowi, że po wojnie opíše historię "gazeciarzy". I dotrzymał słowa.

Dalszy przebieg Powstania pokrzyżował zamiary Jędrka. Po utracie Woli nie tylko Żoliborz został odcięty od reszty miasta, ale również Stare Miasto znalazło się w odosobnieniu. W ogóle tereny, pozostałe jeszcze w rękach powstańców, rozpadły się na osobne gniazda oporu. Tylko pojedyncze patrole i dzielne, młode łączniczki, nieustannie poruszające się po podziemnej sieci kanałów, umożliwiały porozumiewanie się dowództwa i komend zgrupowań.

Jędrrek spełniał wszystkie wydawane mu rozkazy bez szemrania, nikt nie mógł mu odmówić odwagi i samozaparcia, lecz wieczorami snuł się po placówce osowiały i apatyczny. Kapitan głowił się, jakby tu chłopcu pomóc, aż wreszcie któregoś dnia zaświtała nadzieja.

Wezwał Jędrka do siebie i wygłosił do niego obszerną mowę:

- Ta wasza formacja nosiła nazwę Oddziały Wojskowe Pogotowia Polskich Socjalistów, dobrze mówię, "Bystry"?

- Tak jest, panie kapitanie. Ale podlegaliśmy dowództwu AK.

- No tak, tak... W Powstaniu wszyscy poszli pod jedną komendę. Ja też, chociaż poprzednio AK nie podlegałem. A upewniam się dlatego, że mam dla ciebie trochę wiadomości o kolegach. No bo wciąż do nich wzdychasz i sierotkę mi tu odstawiasz. Otóż nie wszyscy zginęli wtedy razem z "Wagą" na barykadzie na Młynarskiej. Pewna grupa, nie wiem, ilu ich tam było, przedarła się przez gruzy getta na Starówkę i tam walczyła.

- A ja o tym nie wiedziałem! - z goryczą zawołał Jędrrek.

- I tak nic by ci z tego nie przyszło. Od nas na Starówkę nie przedostał byś się w żaden sposób. Jeden nieduży wasz oddział pod dowództwem porucznika "Smyka" bardzo dzielnie poczynął sobie razem z oddziałami zgrupowania "Chrobry I" w Arsenale i pałacu Mostowskich, broniąc dostępu do ulicy Długiej. Niestety, były ofiary. Zginął major Włodzimierz Miszewski, pseudonim "Władysław".

- To był nasz dowódca...

- Straty na Starówce są w ogóle ogromne. Pomoc z Kampinosu, której się spodziewaliśmy, nie dotarła. Napór wroga nieprawdopodobnie silny.

Mówię ci o tym, żebyś zrozumiał, dlaczego wycofujemy się ze Starego Miasta.

- Poddaliśmy Starówkę? - Jędrak aż jęknął. Obrona Starego Miasta była dla wszystkich powstańców i dla całej ludności Warszawy sprawą, którą uważano za najważniejszą, najbliższą sercu. Była symbolem i punktem honoru.

- Tak. Nie daliśmy rady. Brak broni, amunicji, wody, światła, żywności, piwnice pełne rannych i cywilnej ludności. Dowiedziałem się, że od wczoraj poszczególne zgrupowania wychodzą ze Starówki kanałami do Śródmieścia przez właz na Wareckiej. Twoi koledzy też tamtędy się wycofują. Jak ich doprowadzimy do porządku po tej zafajdanej wędrówce, będą dalej walczyć w Śródmieściu. Ale kierunek jest tylko jeden: ze Starówki na Śródmieście, bo porobiły się zatory. Więc jeżeli chcesz tych swoich towarzyszy odnaleźć, mogę ci dać przepustkę i idź szukać ich w okolicach Nowego Świata, może na kogoś natrafisz.

- A po co przepustkę?

- No bo samopas nie pójdziesz. Haseł nie znasz, byle wartownik przyaresztuje cię albo po prostu da w czapę. Mieliliśmy już takie wypadki, że Niemcy nasyłali nam swoich szpiegów, przebranych za powstańców. Że niby taki jeden z drugim zgubił swój oddział. A potem robił dywersję...

Były pierwsze dni września. Zaopatrzony przez kapitana w przepustkę, na której wypisane zostało, że szeregowiec "Bystry" udaje się za zezwoleniem swojego dowództwa na Warecką w celu przyłączenia się do macierzystego zgrupowania, Jędrak wyruszył w drogę.

- Życzę ci powodzenia - powiedział mu na pożegnanie kapitan. -

Właściwie szkoda, że odchodzisz, przydałbyś się nam. My się stąd tak łatwo wykurzyć nie damy... Gdyby ci się nie udało odnaleźć tych twoich pepesiaków, wracaj do nas.

Według rady kapitana Jędrak miał iść ulicą Złotą.

- To nasza dzielnica. Jest pod osłoną stanowisk majora "Gurta", który trzyma Chmielną. Oczywiście nie galopuj, uważaj, posuwaj się odcinkami.

Jakiś zabłąkany pocisk zawsze może się trafić.

A Jędrak pomyślał tylko: Do kogo ta mowa? Nie wybrałem się na zbieranie grzybków. Na tę Warecką muszę się dostać jak najprędzej, inaczej gdzie będę potem szukać moich po jakichś kwaterach... - I puścił się Złotą

biegiem, jak to on potrafił, wprawiony w szybkich kursach ulicami

Warszawy. I nawet nie dostyszał, jak nadleciał ten wyprorokowany przez kapitana pocisk. Poczuł tylko, że pada i nie może się podnieść. W oczach zrobiło mu się ciemno, jak gdyby zapadła noc.

Z posterunku "Gurta" ktoś zauważył, że na Złotej leży ranny

powstańc. Poszli po niego i przynieśli na swoją placówkę. Dostał

odłamkiem w udo i miał pocharataną głowę. Komendant kazał go zanieść do

powstańczego szpitala na Chmielnej. Większe, prawdziwe szpitale już

właściwie nie istniały. Albo były zburzone, albo spalone, zdobyte przez

hitlerowców. Więc w zwykłych domach, przeważnie w piwniacach, gdzie się

tylko dało, organizowano dla ciężiej rannych coś w rodzaju szpitali. Mówię

"coś w rodzaju", bo trudno to było nazwać prawdziwym szpitalem.

Nastawał już czas, kiedy nie było w mieście wody, ani do picia, ani do

gaszenia pożarów, nie było elektryczności i przy świetle ogarków świec trzeba było dokonywać zabiegów i operacji. Nie było środków dezynfekcyjnych ani opatrunkowych. Nie było jodyny ani morfiny, ani żadnych środków znieczulających. Ranę czasami po prostu owijano papierem. Więc byli tylko ranni, leżący często na kupie szmat lub wprost na podłodze, był jeden czy drugi przypadkowo znaleziony lekarz i parę dziewcząt, którym nie brakowało odwagi i poświęcenia, lecz nie miały medycznej wiedzy ni doświadczenia.

Do takiego szpitalika trafił Jędrrek. Przytomność przywrócił mu piekielny ból. Wysoki, szczupły brunet w lekarskim fartuchu, który kiedyś może był biały, lecz teraz cały poplamiony krwią, brudny i zupełnie nie przypominający szpitalnego ekwipunku, zwykłymi nożyczkami i ostrym nożem usiłował wyciągnąć duży odłamek pocisku z uda Jędrka.

- No, na szczęście, udało się - powiedział do kogoś, kto stał obok, gdy z rany chlusnęła obficie krew. - Podstaw miskę. I daj tę resztkę ręcznika, cośmy na bandażę podarli. Żeby nam się tylko zakażenie nie wdało, bo będę musiał amputować... - dodał ciszej.

- Oj, nie! - odpowiedział dziewczęcy głos. - Ja tu mam jeszcze trochę spirytusu. Wycyganiałam od dozorczy, co tu bimber w piwnicy pędził.

- No to dawaj, ale szybko...

Jędrrek znów stracił przytomność, a gdy się ocknął, w mdłym świetle ogarka, przyklejonego do stojącego obok stołka, dostrzegł czyjeś czarne oczy, wpatrzone w niego z czułością i niepokojem.

- Mirka... - szepnęła i wydało mu się, że czas dziwnie się cofnęła. Czy to

*nie piwnica w zrujnowanej willi na Mokotowie i skulona w jej rogu
dziewczyna o czarnych oczach z małym chłopczykiem, tulącym się do jej
kolan? Miriam. To na pewno Miriam. Jej oczy. Jej głos. Tylko że teraz ma na
sobie nie łachmany, lecz szarą sukienkę z szeroką opaską Czerwonego
Krzyża na ramieniu, a na głowie starannie zawiązaną chusteczkę. Ale to nie
tamta piwnica. Jakaś inna i on leży, a nie wczolguje się w piwniczny otwór,
żeby podać Mirce ronderek z jedzeniem. Dookoła pełno rannych. Krzyczą.
Jęczą.*

- Panie doktorze! Odzyskał przytomność! - mówi Mirka.

*- No to świetnie! Myślałem już, że go uśmiercisz, kiedy mu
wytlubywałaś ze łba odłamki nożyczkami od manikiuru - odezwał się
wesoły, miły, niski głos i Jędrak rozpoznał człowieka, który usuwał mu w
dziwny sposób odłamek z nogi. Widocznie to był lekarz. Chyba jedyny w tej
gromadzie rannych.*

- Poznałeś mnie... - szepcze Miriam. - Wszystko będzie dobrze, Jędrus.

*Pan doktor uratował ci nogę. Tylko nie ruszaj się. - Dała mu popić z
zardzewiałego kubka trochę mętnej, letniej cieczy, która była nie wiadomo
czym: wodą, czy rozwodnioną zbożową kawą, czy letnią zupą, i dodała: -
Teraz śpij. Jak się obudzisz, pogadamy.*

*Po paru dniach, gdy Jędrak doszedł trochę do siebie, Miriam
opowiedziała mu swoje przejścia. W piwnicy na Mokotowie wytropił ich
jakiś pies, którego jego pani wyprowadziła na spacer.*

*Ta pani zabrała Miriam i Joska ze sobą do domu, umyła i ubrała, a
wieczorem wsadziła do dorożki i odwiozła do zakładu dla sierot imienia*

Boduena. Tam siostry zaopiekowały się dziećmi, zmieniając im imiona i nazwiska. Kiedy zakład ewakuowano pod Warszawę, Mirka zostawiła Joska u zakonnicy, a sama uciekła do Powstania.

- To dla mnie jakby dalszy ciąg walki w getcie, wiesz? - powiedziała cicho do Jędrka.

- Ale dlaczego nie dałaś nam znać o sobie? Myśmy się tak martwili, co się z wami stało.

- A jak miałam dać znać, kiedy znałam tylko wasze imiona? Ani nazwisk, ani dokładnego adresu. Wiedziałam tylko, że mieszkacie na Wolskiej. A później siostry nie pozwoliły was szukać. Nikt nie mógł wiedzieć, że takie dzieci z getta są u Boduena. Dla naszego bezpieczeństwa. Mówiłam ci przecież, że nawet nazwisko i imiona nam zmienili. Jasek ma teraz na imię Józio, a ja Maria. Nowakowscy. Jasek przez długi czas nie mógł się do tego nowego imienia przyzwyczaić.

Miriam_Maria wypytywała o Zosię, o Stacha, o Franciszka. Jędrak opowiadał tyle, ile wiedział. Wspólnie martwili się o Zosię.

Płynęły dni, niespokojne i burzliwe. Trwały walki o Chmielną, hitlerowcy po upadku Starówki atakowali teraz Śródmieście. Padały bomby, pociski, rozsypywały się w gruzy domy, ale jakoś mała piwnica, udająca szpital, miała szczęście. Potem nastąpiła trochę zebrała. Było to już po zdobyciu Pragi przez Armię Czerwoną. Nieraz słyszeć było walkę powietrzną samolotów. To Rosjanie przepędzali stukasy bombardujące miasto. Z dnia na dzień czekano na ofensywę radziecką. Daremnie. I do dziś wielu ocalałych z pożogi nie może zrozumieć, że jeszcze nigdy w dziejach

wojen żadna armia nie zdobywała atakiem na wprost tak dużego miasta przez szeroką przeszkodę wodną. Żadna. A Armia Czerwona była wyczerpana długim bojem aż znad Berezyny i błot Prypeci, z resztkami paliwa i amunicji.

Warunki bytowania zarówno powstańców, jak rannych i ludności cywilnej stawały się coraz trudniejsze do wytrzymania. Jedno było pocieszające. Hitlerowcy przestali rozstrzeliwać rannych. Trwały podobno jakieś pertraktacje między dowództwem Powstania i Niemcami. W końcu Marysia przyniosła z miasta wiadomość: kapitulacja. Warszawa poddaje się, ale na warunkach strony walczącej. Po 63 dniach walki, jakiej nie znała tocząca się wojna, bohaterskie miasto, złożywszy w ofierze życie swoich ponad dwustu tysięcy mieszkańców, zamknęło tragiczny rozdział swojej historii. Ludzie różnie przyjmowali tę wiadomość - jedni z ulgą, inni z ciężkim sercem i łzami. Marysia informowała Jędrka:

- Więc najpierw wyjdą z miasta powstańcy, składając broń. Biorą ich do niewoli jako jeńców wojennych. Potem ma wyjść cała ludność cywilna. A na końcu będzie się ewakuować rannych. Do obozu w Pruszkowie.

I tak trzeciego października pod szpitalik na Chmielnej zajechała ciężarówka, na którą załadowano rannych. Jędrak nie mógł jeszcze chodzić. Doktor wziął go na ręce i wyniósł do ciężarówki, układając na wiązce słomy.

- A pan, doktorze? Jedzie pan z nami? A Maria?

Doktor pokiwał przecząco głową. Miał dziwny wyraz twarzy, malowało się na niej ni to pobłażanie, ni to wzruszenie.

- Zostajemy w mieście.

- W mieście? W tych gruzach? - Jędrrek rozejrzał się dookoła. Już prawie od miesiąca, leżąc na wyrku szpitalnym, nie widział Warszawy.

Tego, co po niej zostało.

- Ukryjemy się gdzieś w tych gruzach. Może, da Bóg, doczekamy wyzwolenia. Zrozum, ani ja, ani Miriam nie możemy się pokazać Niemcom.

Przecież jesteśmy Żydami. Kula w łeb albo Oświęcim, i tam koniec. Dzięki dobrym ludziom, a Miriam dzięki tobie i twoim przyjaciółom, jakoś

dotychczas przeżyliśmy, może i teraz nam się uda. No, wszyscy załadowani.

Jedźcie już. Życzę ci szczęścia i żebyś odnalazł wszystkich twoich.

Niby dorosły chłopak i niejedno już przeżył, ale Jędrrek nie powstydział

się łez w oczach, gdy hałdy gruzów skrywały przed nim widok dwóch

postaci - wysokiego, szczupłego mężczyzny o siwiejących włosach i obok

niego dziewczynki w szarej sukience o czarnych oczach. Czy zobaczy ich

kiedyś w życiu? Dopiero w jakiś czas po wojnie dotarła radosna wiadomość:

doktor i Miriam przetrwali zimę w gruzach, a potem wyjechali do Łodzi.

Doktor zaopiekował się Miriam. Skończyła medycynę i leczyła dzieci.

W Pruszkowie w obozie przejściowym Jędrrek przebywał tylko kilka

dni. Warunki w szpitaliku na Chmielnej mimo wysiłku doktora i Miriam nie

sprzyjały jednak gojeniu się ran. Toteż komisja lekarska uznała, że

konieczne jest dalsze leczenie szpitalne. Odesłano go do Tworek, gdzie poza

kliniką psychiatryczną znalazły już od pewnego czasu przytułek różne

resztki szpitali warszawskich, między innymi wojskowy Szpital

Ujazdowski. Tu młody, zdrowy i zahartowany organizm Jędrka dał sobie

szybko radę z ranami.

Jeszcze trochę kulał, lecz mógł już chodzić, gdy nadeszła wieść o wyzwoleniu stolicy. Nie czekał ani dnia. Torami kolejki włókł się do Warszawy. Mróz był siarczysty. Jakaś dobra dusza obdarzyła go ciepłą kurtką i butami. Z daleka, w świetle wschodzącego słońca, zwały gruzów, przysypane śniegiem, wydawały się różowe i przypominały rozległy łańcuch górski lub pasmo wysokich pagórków. Dopiero w miarę zbliżania się do miasta można było odróżnić pojedyncze ruiny. Ze wszystkich stron, z osiedli podwarszawskich, od strony Pruszkowa, od strony Pragi i Grochowa, do tych żalosnych ruin, resztek tak kiedyś pięknego miasta, ciągnęły karawany ludzi. Wyglądały jak małe strumyczki, które torują sobie drogę do wspólnego łożyska. Ciągnęli tobołki z resztką dobytku, który udało im się wynieść z pożogi albo zdobyć na wygnaniu.

A oto pasmo gruzów, które kiedyś było ulicą Wolską. Jędrrek zwolnił kroku. Nie tylko dlatego, że był wyczerpany długim marszem, a zraniona noga dawała mu się jeszcze we znaki. Nie mógł złapać tchu ze wzruszenia, pełnego lęku. Co zastanie, kogo zastanie tam, gdzie kiedyś był jego dom? Gnany dotychczas tylko tęsknotą, teraz cały drżał z przejęcia.

Z gruzów bramy, skacząc po ceglach i nadpalonych belkach, wybiegła mu jakby na spotkanie Zosia.

12 - Co się stało z Zosią?

Ażeby odpowiedzieć na to pytanie, muszę cofnąć się do dnia 1 sierpnia - tego dnia, który swymi tragicznymi wypadkami rozłączył tyle rodzin, rozdzielił losy setek tysięcy ludzi.

Ogólne podniecenie, pełne napięcia oczekiwanie czegoś, co ma się

stać lada chwila, udzieliło się również Zosi. Ciągnęło ją niepowstrzymanie do miasta.

- Zośka, zostań. I tak nic dziś nie zarobisz, a jeszcze gdzie oberwiesz!

Nie słyszałaś, co się na mieście dzieje? Zawieruszysz się gdzieś, a potem będę ciebie szukać - starała się przekonać dziewczynkę Martyniakowa.

- E tam, nic mi nie będzie. A wie mama, tylko pięćdziesiąt złotych mamy na jutro. Marczakowa znów o dług się upominała. Może zarobię parę groszy. Do Jędrka wpadnę, dowiem się, co słyhać.

- No, chyba, że do Jędrka. - Martyniakowa nie mogła oprzeć się chęci dowiedzenia się czegoś nowego o synu, zwłaszcza dziś, kiedy na mieście taki niepokój. - Ale zaraz wracaj, słyszysz - zawołała w ślad za Zosią, której drewniaczki tupąły już szybko w dół po schodach.

Zosia mknęła prędko w kierunku Śródmieścia. Zabrało jej to więcej czasu niż zwykle. To zatrzymała się, żeby pogadać ze znajomymi dzieciakami o nowinach, to znów razem z tłumem przypatrywała się przemykającym chyłkiem ulicami miasta samochodom niemieckim, w których widać było załadowane bagaże i zdenerwowane, blade, znieciercierowane twarze wrogów.

- Pietra mają!

- Ale więcej!

- A bodajbyście tak do piekła zajechali...

Tu i ówdzie włóczyły się patrole, lecz jakby bały się zaczepiać

ludność, której postawa była coraz bardziej jawnie wroga i zuchwała.

Gdy Zosia dotarła do "meliny" Jędrka, nie zastała już tam nikogo.

Dozorca oświadczył jej, że "pan malarz" właśnie przed chwilą wyszedł.

- A kiedy wróci?

- Bo ja wiem... Tak jakoś powiedział, trudno go było wyrozumieć...

"Mój Janie - powiedział - nieprędko się zobaczymy albo wcale. Niech Jan moich obrazów pilnuje". I poszedł. Tylem go widział. Musi na jakąś akcję.

Zosia zaniepokoiła się. Co tu robić? Gdzie ich szukać? A jeżeli na akcję, to chyba Jędrak w jakiś sposób da znać matce. Pocieszywszy się tą myślą, powróciła do drugiego celu swojej wyprawy. Gdzie by można było coś zarobić?

Tramwaje częściowo już nie kursowały, zresztą ludzie tak przejęci byli zbliżającą się ku Warszawie walką i swoimi sprawami, że nikt nie zwracał uwagi na małych śpiewaków.

Zosia w zamyśleniu posuwała się Alejami Jerozolimskimi w kierunku Nowego Świata. Gdy przystanęła na chwilę, uderzył ją widok nie kończącej się fali ludzi z tobołkami na plecach, z załadowanymi wózkami, ciągnących do Śródmieścia z Pragi przez most Poniatowskiego.

Gdy jedna z obładowanych kobiet przystanęła koło Zosi, dziewczynka zbliżyła się do niej i zapytała:

- A skąd to wszyscy tak idą, proszę pani?

Kobieta spojrzała na nią trochę nieprzytomnym, roztargnionym wzrokiem.

- Z Pragi. Skądże by. Z Pragi i z Grochowa. Tam na placu Szembeka już pociski lecą. Będzie za parę godzin straszny bój. Tak mówią. Zawsze to w mieście bezpieczniej. Ja do kuzynki, na Hożą. No, trza się zbierać...

Zarzuciła znów tobole na plecy, mocując się z koszykiem i kuferkim.

- A może pomóc zanieść? - zdecydowała się nagle Zosia.

- Poradzisz?

- Pewnie, przywykłam...

Dawniej może Zosia nie udźwignęłaby takiego ciężaru, lecz obecnie

jej małe ramiona były silne. Nabyła wprawy, nosząc wiadra z wodą i

węglem, pomagając chłopcom przy przenoszeniu paczek z drukarni.

Za odniesienie kufierka i koszyka Zosia dostała od kobiety 10 złotych.

Ucieszyła się i żwawo pobiegła znów w stronę mostu. Może znów się ktoś

taki trafi? Tym razem zapędziła się dalej. Pochód uciekinierów z prawego

brzegu Wisły nie kończył się. Odwrotnie - w miarę posuwania się

wskazówek zegara - fala rosła. Daleka kanonada dział frontowych nie

milkła. Ogólne zdenerwowanie powiększał widok Niemców, minujących

most Poniatowskiego.

- O piątej mają go wysadzać w powietrze - podawali sobie ludzie z ust

do ust.

Do piątej zdążyć jeszcze parę kursów przelecieć, myślała Zosia,

pomagając tym razem dźwigać dziecko jakiejś obładowanej i zasapanej

kobiecie. Znów zarobiła, więcej niż poprzednio, bo aż dwadzieścia złotych.

Alem się zmachała... Przysiadła na ogrodzeniu parku Paderewskiego

przy Zielenieckiej. Wspomnienie pustej szuflady stolika, w której chowano

w domu pieniądze, dodało jej sił. Jeszcze raz i koniec, postanowiła sobie w

duchu, czatując przy Zielenieckiej na jakąś większą partię uciekinierów.

- Może ponieść? może pomóc? - zaczęła nieustannie mijających ją

w pośpiechu ludzi.

Wszyscy, podobnie jak pierwsza klientka Zosi, mieli błędny, przestraszony wzrok. Panika pchała ich do Warszawy, w której gęsto zabudowane ulice, solidne mury domów, łudziły obietnicą większego bezpieczeństwa w razie bitwy czy ostrzału.

- Mała, chodź no tu! - przywołał Zosię jakiś mężczyzna, pchający przed sobą wózek, na którym piętrzyły się toboły. - Ponieś no to kawałek. - Wręczył jej walizkę, która zsunęła mu się z czubka spiętrzonych na wózku rzeczy. - Nie mam czasu znów przywiązywać...

Przez nisko przewalającą się ciężkie, ołowiane chmury przenikało blade słońce.

- Rany boskie, chyba dochodzi już czwarta. Czy aby tylko zdążymy? - denerwowała się towarzysząca mu kobieta z małym dzieckiem na ręku.

Ruszyli szybko Zieleniecką. Nagle wąż ludzki przy rondzie

Waszyngtona zwinął się i zakotłował. Gdzieś z różnych stron posypały się strzały. Odpowiedziały im z mostu niemieckie armatki i karabiny maszynowe. Z gęstwiny parku Paderewskiego wypadła grupa chłopców, kierując atak na niemieckie pozycje przy Wale Miedzeszyńskim.

- Co jest?

- Powstanie!

- Ludzie, uciekajcie! - krzyknęła histerycznie jakaś kobieta.

Powstał chaos nie do opisania. Tłum zaczął pędzić w odwrotnym kierunku, do Targowej. Ludzie przewracali się nawzajem, tratując porzucone w popłochu bagaże.

Tymczasem w okolicy mostu rozgorzała walka. Niemcy skierowali ogień w kilka stron: na ogródki działkowe przy Zielenieckiej, na park i na Saską Kępę, skąd, ukryci wśród willi i ogrodów powstańcy ostrzeliwali most. Wszelki ruch ustał. Ludzie rozbiegli się i pochowali w domach na Kępie lub przypadli w parku do trawników i tylko słychać było słabnącą, niestety, wymianę strzałów. Atak się załamywał... Wtem huknęło. Działo niemieckie, ustawione na moście, zaczęło ostrzeliwać dom na rogu Walecznych i Miedzeszyńskiej, skąd od czasu do czasu z okienka piwnicy dolatywała seria ręcznego karabinu maszynowego.

W zapadającym zmroku wieczornym milkły odgłosy walki.

Niewielkie, chaotycznie kierowane siły powstańców z niedostateczną ilością broni, nie były zdolne do opanowania mostów, tej jednej z najważniejszych pozycji. Za to z Warszawy docierały coraz wyraźniejsze odgłosy kanonady.

Tam się już zaczęło, pomyślała Zosia.

Na początku akcji rzuciła walizkę jej właścicielowi na wózek i przez dziurę w ogrodzeniu dała nura w zarośla parku. Tam rozszerzonymi ze wzruszenia oczyma chłonęła widok chłopców, pędzących do natarcia. W jednym z nich rozpoznała przyjaciela z Woli, Piotrka Walczaka - tego, który tak sprytnie wystawił na śmiech w szkole hitlerowskiego wizytatora.

- Piotrek! Piotrek! - zawołała, gdy mijał ją ściskając w ręku granat.

- Wiwat, Zośka! - rozległo się w odpowiedzi.

Odnalazła go potem w krzakach, gdy zaczęła zapadać już noc, pełna niepewności, grozy i niepokoju, wśród szumu parkowych drzew.

Pojedyncze strzały odbijały się suchym echem z różnych stron. To

Niemcy przeszukiwali Saską Kępę, wylapując ukrywających się powstańców. Rannymi chłopakami zaopiekowali się ludzie. Kilkunastu zabitych pochowano w parku.

- Kipnę, Zośka... - zdławiony szept wydobywał się z ust Piotrka, który otrzymał ciężki postrzał w pierś.

Zosia pochlipywała cichutko, trzymając oburącz głowę chłopca.

Majaczył.

Nad ukrytymi wśród krzaków, w miejscu gdzie niski teren parku wznosił się stromym pagórkiem ku ogrodzeniu, rozległ się stukot podkutych butów po chodniku. Patrol szedł Zieleniecką po drugiej stronie drucianej siatki. Z gęstwiny parku gruchnął strzał. Niemcy przypadli do ziemi.

No, teraz nas znajdą... - przemknęło Zosi przez głowę. Trafia - nie trafia...

Tuż nad głowami Zosi i Piotrka zaczęły terkotać niemieckie karabiny maszynowe. Pociski świszczwały, przecinając zarośla. Trzaskały gałązki krzewów. Zosia przytuliła się do Piotrka, zatkała rękoma uszy, przyłgnęła jeszcze mocniej do ziemi.

Po kilkunastu minutach, z których każda dla ukrywających się mogła oznaczać koniec życia - Niemcy przesunęli się dalej, odkładając widocznie do rana przeszukanie parku.

Przy pomocy ludzi z Saskiej Kępy Zosi udało się po kryjomu przeciągnąć Piotrka do jednego z pobliskich domów. Nie dożył jednak rana.

Zosia usiłowała mu jeszcze do ostatniej chwili dodawać otuchy:

- No, Piotrek, trzymaj się. Zaraz przyjdzie lekarz. On mieszka tu

niedaleko, dwa domy dalej. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Taki morowy chłopak, a tu kawały strugasz... Pamiętasz, jak tego wizytatora_folksdojcza w szkole wykiwałeś? Jak go z historii pytałeś? O co to szło?

Piotrek odpowiedział niespodziewanie głośno i wyraźnie:

- Co to jest Polska?

I to były jego ostatnie słowa.

Pochowano go w którymś z ogródków obok kościoła.

Po pogrzebie Piotrka Zosia przycupnęła najpierw w kącie piwniczki w jakiejś willi przy Francuskiej, razem ze wszystkimi mieszkańcami domku, którzy szukali tu schronienia. Usiłowała zdać sobie sprawę ze swego położenia. Co ma robić? Przygnębiła ją ostatecznie wiadomość, iż nie ma mowy o przedostaniu się do Warszawy, gdyż Niemcy trzymają w ręku mosty. Przepłynąć Wisłę też by się nikt nie ośmielił, gdyż załoga mostu oświetlała ją co chwila reflektorami. W ogóle poruszać się po Saskiej Kępie było niebezpiecznie. Strzelano do każdego, kto pojawił się na ulicy. A nawet do tych, których dostrzeżono w oknie. Mieszkańcy poukrywali się przeważnie po piwnicach.

Wieści krążyły rozmaite, urywane i niepewne, na początku radosne o zdobyciu najważniejszych punktów stolicy przez armię powstańczą. "Nasi zwyciężają" - mówiono.

- A Wola? Co na Woli? - Zosia zasypywała pytaniami każdego, kto tylko się jej nawinął.

- Nie wiadomo... Na Woli toczą się ciężkie walki. - Nic więcej nie

wiedziano.

- Dopóki to się nie skończy, muszę się jakoś urządzić. Na kilka dni. Bo

to chyba dłużej nie potrwa. Tak wszyscy mówią... - zdecydowała

dziewczynka, nieprzywykła do oglądania się na cudzą łaskę i czyjąś pomoc.

Wyszukała sobie schronienie w nie wykończonym domu, oddalonym

nieco od ulicy. Naściągła słomy, cegiel i desek i zmajstrowała sobie postanie.

Wtedy właśnie poznałam Zosię. Przyszła do naszego domu, którego

dozorczynię przypadkowo poznała. Byliśmy całkowicie unieruchomieni i

pod nadzorem załogi mostu. Nie wolno nam było opuszczać nawet piwnicy.

To nasz dom ostrzelano z działa na moście pierwszego sierpnia, bo podobno

ktoś do Niemców strzelał z piwnicznego okienka. Jak to było naprawdę, nie

wiadomo. W każdym razie nazywało się, że jesteśmy "aresztowani" i

codziennie nachodzili nas albo żołnierze, albo esesowcy. Każdy miał trochę

domowych zapasów, to torebkę kaszy, to paczkę makaronu, trochę mąki,

kawy zbożowej, ale była to aprowizacja więcej niż mizerna. Saska Kępa

została odcięta od Pragi i Grochowa i nie można było niczego kupić.

Najtrudniej było o chleb, po pewnym czasie śnił się nam po nocach.

Jedynym ratunkiem były ogródki, gdzie zamiast kwiatów każdy hodował

coś jadalnego. Można więc było wymknąć się, ukopać parę kartofli, urwać

kilka pomidorów lub cebulę. Podjęła się tego właśnie Zosia. Zręcznie

przedostawała się przez płotki i ogrodzenia, przemykała się przez przejścia

między domkami i dzięki niej mieliśmy co jeść. Za to my dzieliliśmy się z nią,

czym kto mógł. A Niemcy nie zwracali na nią uwagi. Na moście miał zresztą

stanowisko wehrmacht. Żołnierze nie byli tak zawzięci ani okrutni jak

gestapowcy czy żandarmi. Do powstańców strzelali, bo taki mieli rozkaz, to należało do działań wojennych. Ale co ich obchodzić mogła mała dziewczynka, która w ogródku zrywa pomidory.

Zosia przesiadywała z nami nieraz dłużej. Urządziliśmy sobie z moją matką legowisko w przedpokoju, za ścianą, która zasłaniała nas od okien, od strony Wisły, żeby nie koczować w piwnicy, gdzie zawsze ktoś z kimś się pokłócił. Tu przychodziła do nas Zosia na gorącą herbatę, której niewielki zapas uchował się w jakiejś szafce. Wieczory zaczynały już być chłodne, a Zosia miała na sobie tylko letnią sukienkę i drewniaczki. Wyszukałyśmy w szafie jakieś pasujące na Zosię rzeczy i buty mojego młodszego brata, który dawno z nich wyrósł, a teraz poszedł do Powstania - i tak mała dziewczynka przemieniła się w małego chłopca. Ale przynajmniej miała ciepło.

Przyglądaliśmy się jej z zainteresowaniem. Wyrażała się dziwnie: czasami mówiła tak, jak dzieci warszawskiej ulicy, a nieraz wtrącała określenia i słowa, używane raczej na wsi. I skąd ten spryt i zaradność w takim małym stworzeniu?

- Mam już dziesięć lat! - mówiła z dumą. I wtedy właśnie nabrawszy do nas zaufania, a może i sympatii, opowiedziała mi wszystko o sobie. O swojej wsi, o wysiedleniu, o Martyniakach i o Woli. Współczucie mieszało się we mnie z podziwem: ileż przeżyło to dziecko! I może dlatego przestała właściwie być dzieckiem. Nie było w niej już nic z dziecięcej bezradności, a nawet ufności czy przylepności. Była w niej jakaś siła i dojrzałość. Była jak gdyby dorosła, chociaż miała tylko te swoje dziesięć lat. Można było na niej polegać.

Płynęły dni, jeden smutniejszy i gorszy od drugiego. Oczekiwane lada dzień zwycięskie zakończenie Powstania odwlekało się. Nadzieje rozwiewały się w morzu płomieni, szalejących nad Warszawą, w dymach, które wiatr przepędzał nad domkami Saskiej Kępy. Leciały przez Wisłę platy popiołu, dolatywała woń pogorzeli, widać było jak na dłoni całe płonące miasto, czarne szkielety domów stawały się jakby przezroczyste. Nocami płomienie odbijały się w wodzie i wydawało się, że Wisłą płynie krew. Coraz mocniej i częściej waliła niemiecka artyleria, ustawiona na moście Poniatowskiego. Drżeliśmy, słysząc raz po raz skrzypienie "szafy", której pociski na tamtym brzegu siały śmierć i zniszczenie. Po pewnym czasie zaczęły pojawiać się nad miastem niemieckie samoloty, lecące nisko nad dachami. Podobne były do drapieżnych jastrzębi, które krążąc pozornie bez celu, upatrywały nagle zdobycz i rzucały się na nią z góry z błyskawiczną szybkością. Powiertrze przecinał srebrny, oślepiający błysk spadających bomb. Po chwili wstrząs powietrza, słup czarnego dymu, a następnie buchające płomienie. Trafili.

Za każdym razem, gdy Zosia słyszała wokół siebie złowieszcze słowa:

"O, o znów lecą..." - kulila się w sobie, tak jakby to na nią właśnie spaść miała za chwilę śmiertcionośna bomba. Nie bała się jednak o siebie.

Wiedziała, że Niemcy atakują tamten brzeg... O to też jej chodziło. O tamten brzeg. Przecież gdzieś w Warszawie, jeśli już nie na Woli, to gdzie indziej, na którejś ulicy i w którymś domu są jej bliscy, jej druga rodzina:

Martyniakowa, Jędrrek. Wybiegała ku nim całą duszą, wszystkimi myślami, każdym drgnieniem niespokojnego serca. Nie opuszczało jej wspomnienie

Piotrka, na którego grób zanosila czasami jesienne kwiaty, zrywane w ogrodach. Przecież Jędrak także walczy. W każdej minucie może go spotkać taki sam los jak Piotrka.

Zmagala się ze swoimi myślami, na przemian popadając w rozpacz, to znów odzyskując nadzieję, gdy w tajnych biuletynach radiowych, krążących gęsto po Kępie, pojawiały się bardziej pocieszające wiadomości o przebiegu Powstania.

Jednocześnie mieszkańcy Saskiej Kępy i innych dzielnic Warszawy, położonych na prawym brzegu Wisły - Grochowa, Pragi, Bródna, Targówka, przeżywali coraz cięższe dni. Szaleli własowcy, szaleli gestapowcy, nie ustawały rabunki i napady na bezbronną ludność, łapanki i egzekucje. Podpalali i wysadzali w powietrze fabryki, wywożąc przedtem ich wyposażenie.

Otaczano kolejno wszystkie ulice, wygarniano z domów mężczyzn, kobiety i dzieci i gnano ich do obozu, mieszczącego się w dawnych koszarach wojskowych na Pradze. Stamtąd codziennie długie sznury wagonów towarowych, pełne ludzi, odjeżdżały na zachód - w nieznaną.

Niemcy twierdzili, że wszyscy bez wyjątku będą musieli opuścić Pragę.

- Będzie tu wielki bój! Nie pozostanie kamień na kamieniu, wszystko pójdzie precz, tak jak tam! - tłumaczyli łamaną polszczyzną, ogarniając szerokim gestem Pragę i wskazując jednocześnie na dymiącą Warszawę.

Ludzi ogarniało przerażenie. Niektórzy pod wpływem tych gróźb załamywali się i nie bronili zbyt gwałtownie przed wysiedleniem. Nie

*wiedzieli jeszcze wówczas, że miejscem przeznaczenia tych transportów
będą przeważnie obozy koncentracyjne, z których wielu miało już nie
powrócić...*

Pewnego dnia Zosię obudził niezwykle gwar i ruch wokół domu.

*Zerwała się szybko i wybiegła na dwór. Cała ulica Francuska roiła się od
zielonych i czarnych mundurów. Rozległy się okrzyki, rozkazy, walenie
kolbami w zamknięte drzwi, stukot podkutych buciorów.*

- Alle raus. Wszyscy wychodzić!

- Jak to, kobikety z dziećmi też?!

- Wszyscy, wszyscy!

Ludzie miotali się w popłochu. Na Saskiej Kępie było już kilka

*łapanek, dotychczas jednak pozostawiano w spokoju kobiety, zwłaszcza z
małymi dziećmi.*

*Obecnie, zaskoczeni nagłym rozkazem, mieszkańcy Saskiej Kępy nie
wiedzieli co robić. Niektórzy usiłowali ukryć się wśród ogrodów i poletek,
lecz wszędzie już byli Niemcy. Wyciągali uciekinierów z kryjówek, szarpali,
bili kolbami i wymyślali od "polskich bandytów". Jak zwykle bywa w
chwilach paniki, chwytaśno to, co się nawinęło pod rękę, pakowano do
plecaków i tobołków rzeczy zupełnie zbędne, pozostawiając przedmioty
mogące przydać się w drodze. Placz kobiet i dzieci, krzyki żandarmów, gwar
zdenerwowanych głosów, bieranina - powiększały ogólne zamieszanie.*

*Zosię przyłączono do grupy mieszkańców naszego domu. Popędzono
wszystkich na rondo Waszyngtona, gdzie uwijali się gestapowcy,
rozdzielając na grupy zbitą gromadę ludzi, ustawionych czwórkami wzdłuż*

Francuskiej. Trudno było właściwie zrozumieć, czym kierowali się gestapowcy, odstawiając jednych na bok, innych zaś przeznaczając do transportu.

Skierowano

nas

w

stronę

Zielenieckiej,

ku

grupie

przeznaczonych do transportu. Długi szereg ludzi przykucnął na krawędzi ogrodzenia parku. Mężczyzn prawie nie było, może kilku. Większość ich zabrali Niemcy w poprzednich łapankach. Kobiety - starsze i młodsze, dziewczynki w wieku Zosi, mali chłopcy - cały ten tłum kręcił się bezradnie w miejscu, poszturchiwany przez gestapowców, którzy nie pozwalali nikomu oddalać się ani na krok.

Był ciepły dzień i słońce piekło niemiłosiernie. Nastąpiło południe, gdy

Niemcy skończyli poszukiwania po domach w pogoni za ukrywającymi się ludźmi.

- Naprzód! Marsz! - skomenderował gestapowiec, popychając

pierwsze szeregi złapanych w kierunku Targowej.

Rozpoczął się pochód. Co chwila zatrzymywano się ku wielkiemu

oburzeniu żandarmów - kobiety nie mogły sobie poradzić z bagażami, które w pierwszej chwili zdawały się takie lekkie, a obecnie uniemożliwiały

poruszanie się. Odrzucano na bok, po prostu do rowu czy rynsztoka, na chodnik, gdzie bądź, wszystko to, co przed godziną uważano za cenne i potrzebne. Dzieci, ledwo suwając nogami, wlokły się, płacząc, za matkami.

Wózki z całkiem małymi dziećmi utykały na bruku ku rozpaczycy kobiet.

Ponuro i powoli posuwano się naprzód, a droga wlokła się w nieskończoność.

- Dokąd oni nas prowadzą? Co z nami będzie?

- Pewno na Inżynierską, do koszar, a stamtąd za Wisłę...

- Ale czy nas wypuszczą, czy będą trzymać w jakimś obozie? -

niepokoila się kobieta, niosąca chore dziecko.

- Nie wiadomo. Co dzień odchodzą całe pociągi na zachód - wyjaśniał

jeden z mężczyzn, widocznie miał jakieś wiadomości. - Razem z ludnością

polską Niemcy przerzucają w ten sposób na tamten brzeg posiłki dla swoich

oddziałów. Pociągi idą przez Warszawę, a nasi wtedy nie ostrzeliwiają

torów. Tak mówią, ale czy to prawda, nie wiem. Słyszałem...

Zosia z początku trzymała mnie za rękę, ale nagle jak gdyby powzięła

jakąś decyzję. Szepnęła do mnie:

- A ja nie dam się im zabrać. Ja już wiem, co to są transporty i

niemieckie obozy. Nie ma głupich. Pyskam.

Gdy kolumna wysiedlonych dochodziła do Targowej, mieszkańcy

Pragi, mimo iż sami poznali już, co to są łapanki, zaczęli nieśmiało wychylać

się z domów.

- Prowadzą kobiety. Kobiety z dziećmi! - szła wieść.

To było niesłychane. Pierwszy raz: kobiety z małymi dziećmi!

Nie jeden doskoczył do idących, narażając się na ciosy kolby, podawał chleb albo kubek wody.

Powietrzem Grochowa raz po raz wstrząsały wybuchy. Ale nie były to jeszcze upragnione odgłosy bitwy.

- Gdzie to znów?!

Brzęczały szyby, gdzieś sypało się szkło z okien. Twarze przechodniów, od czasu do czasu przemykających się Grochowską, Zamojskiego, Targową, były zacięte i ponure.

- Fabryki wysadzają... - obiegała dookoła pełna grozy wiadomość.

- Maszyny wywożą!

Wyliczano zniszczone zakłady pracy: "Drucianka", "Szpotański", "Optyczna", "Wedel"... Oznaczało to dla ludzi brak pracy, brak chleba na długie, długie miesiące. Pięści zaciskały się w bezsilnym gniewie. Padały przekleństwa.

- Jedna pociecha: Widać, że niedługo już tu posiedzą, jeżeli zaczęli fabryki burzyć - szeptano po cichu.

Na rogu Ząbkowskiej i Targowej, mimo wrzasku żandarmów, zgromadziła się spora garstka ludzi. Kiwano z politowaniem głowami, próbowano pocieszać idące kobiety, które wlokły się resztkami sił.

Zosia puściła moją rękę i zaczęła się rozglądać. Domyśliłam się, że szuka miejsca, w którym obstawa hitlerowskiego konwoju miała luki.

Znalazła. W bezpośredniej bliskości nie było żandarma. Jeden szedł kilkanaście kroków przed Zosią, inny, za nią, zajęty był właśnie popędzaniem jednej z mdlejących kobiet. Zosia nieznacznie przesunęła się w

stronę chodnika, na którym stała grupka dzieci, przyglądających się smutnemu przemarszowi. Teraz!

Zosia jednym susem znalazła się na chodniku. Wmieszała się w gromadkę dzieci, mrugając na nie porozumiewawczo. Zrozumiały.

Zastłoniły ją ciasnym kręgiem. W szeregach nikt nie zauważył ucieczki Zosi.

Jeszcze kilku osobom udało się w ten sam sposób umknąć na bok. Między innymi i mnie. Matki mojej ze mną nie było. Udało się jej uniknąć łapanek i została na Kępie.

Zosia drżała z niecierpliwości. Kiedy oni już przejdą? myślała. Żeby tylko który z nich mnie nie poznał! Oj, dostałaby bicie!

A smutny pochód nie kończył się. Czwórki wynędzniałych, umęczonych kobiet szły, szły bez przerwy. Na szczęście konwojenci nie zwracali uwagi na gapiące się dzieci. Oto ostatnie już, przerzedzające się szeregi. Oto ostatnia czwórka. Jeszcze ktoś się wlecze... A, to ta pani, której przynosiłam wodę - przypomina sobie Zosia. Żal jej tej pani. Taka słaba, stara, chora na serce. Jej syn tak jak Jędrzek, w Powstaniu, w Warszawie. Czy się jeszcze kiedyś zobaczą? Ta pani tak bardzo zawsze płakała wieczorami...

Oto ostatni konwojent mija Zosię. Za nim na smyczy pies policyjny, uważnie węszący na wszystkie strony, tak, jakby chciał dać do zrozumienia, że znajdzie każdego, kto się ukrył, nie wiadomo, jak głęboko. Ale i on minął Zosię szybkim truchtem, pociągając za sobą swego przewodnika. Zobaczył jakąś małą psinę, która właśnie dała drapaka do pobliskiej bramy. Dzieci roześmiały się:

- No, proszę, nawet psy przed nimi uciekają...

A więc - przeszli! Jeśli o mnie idzie, skryłam się czym prędzej w parku

i co sił w nogach pobiegłam z powrotem na Kępę do matki.

Zosia odetchnęła z głęboką ulgą. Jest wolna! Ale na jak długo? Czy nie

grozi jej nowa łapanka? I co ma teraz ze sobą począć? Na Saską Kępę nie

chce już wracać, dość się tam najadła strachu. Mimo woli spojrzała w stronę

Otwocka. Od czasu do czasu słychać stamtąd strzelaninę artyleryjską. Może

już niedługo...?

13 - Nowi przyjaciele

Tak już się jakoś składało, że w każdej, najtrudniejszej sytuacji Zosia zawsze znajdowała przyjaciół. Co było tego przyczyną? Czy po prostu miała szczęście?

Ci, co znali Zosię, twierdzili, że szczęście to nie przychodziło samo.

Zosia umiała sobie jednać przyjaciół. Jej szczere, ufne, szeroko otwarte na świat niebieskie oczy, odwaga i zaradność, gotowość przyjścia z pomocą każdemu, kto był w potrzebie, przyciągały do niej ludzi jak magnes.

Nowym tego dowodem było zakończenie pamiętnego dnia łapanki, 5 września. Podziękowawszy dzieciom za okazaną pomoc, Zosia postanowiła pójść na Grochowską.

Ludzie, przyglądający się przemarszowi kobiet, zabranych z Saskiej Kępy, szybko poznikali w zaułkach Pragi. Ulice zupełnie opustoszały. Część Targowej Niemcy już wcześniej ewakuowali, mężczyźni i młodzież z Pragi i Grochowa pozabierali na roboty. Każdy, kto jeszcze pozostał, krył się jak mógł.

Na Grochowskiej mieszkała jedna z koleżanek Zosi, którą dziewczynka poznała, śpiewając w tramwajach. Pójdę do Małgosi, może mi co poradzi, pomyślała.

Gdy jednak zapukała w niskie drzwi na poddaszu, odpowiedziało jej głuche milczenie. Zastukała jeszcze raz. Zupełna cisza. Ale obok, u sąsiadów słyhać było, że ktoś się krząta. Zastukała.

Drzwi otworzyła jej tęga kobieta z zapłakaną twarzą. Oczy miała

czerwone od łez.

- Przepraszam panią bardzo, ja do Małgosi. Czy pani Filipiakowa wyjechała? Może pani wie...

- Filipiaków nie ma, dziecino. Filipiaka zabrali wczoraj. A

*Filipiakowa z Małgosią poszły za nim. Żeby być razem. Tak mówiły. I
mojego starego też zabrali i wszystkich mężczyzn z tej kamienicy. -*

Rozplakała się, ocierając łzy fartuchem. - Ino ja tu zostałam, jak ta sierota.

Mój chciał, żebym domu pilnowała... O Jezu, co za nieszczęście...

*Zosia oniemiała. Ostatnia deska ratunku wymknęła się jej z rąk. Tak
liczyła na Małgosię! Co tu teraz robić?*

- Przepraszam - wyjąkała i cicho zamknęła za sobą drzwi.

*Wlokła się wolno ulicą Grochowską, bez celu. Wydało się jej, że nogi
ma z ołowiu. Całodzienne przeżycia i teraz ten zawód podkopały jej siły.*

*Prócz tego była głodna. Nie jadła nic od poprzedniego dnia. Wsunęła rękę do
kieszeni spodni, które dostała w prezencie od tej pani z Kępy, która
częstowała ją taką dobrą herbatą. Kieszeń była pusta, ani grosza. Sklepy
zresztą były wszystkie pozamykane, więc i tak nie mogłaby nic kupić.*

*Zmierzchało. Na ulicach pusto. Gdzieniedzie przemykał pod murem
jakiś cień, pospiesznie niknąc w bramie.*

*Nagle dziewczynka dostrzegła przed sobą pochyloną postać,
posuwającą się naprzód równie wolno jak ona. Była to starsza kobieta.*

*Przystawała co chwilę odpoczywając. W obu rękach dźwigała ciężkie
widocznie koszyki. Gdy zatrzymała się ponownie, Zosia zbliżyła się do niej.*

- Proszę pani, a może pomóc? - zapytała nieśmiało.

Spojrzały na nią z pomarszczonej twarzy dobre, szare oczy.

- Nie podźwigniesz...

- O, ja jestem silna, niech pani pozwoli, ja już nieraz nosiłam ciężkie rzeczy - zapewniała Zosia gorąco.

Nadzieja zaświtała w jej sercu. A może ta pani da jej za to kawałek chleba albo może wskaże jakiś kącik, gdzie mogłaby przespąć chociaż tę jedną noc?

Sięgnęła po jeden z koszy. Rzeczywiście był ciężki. Spod papieru wystawał bochenek chleba. Zosia poczuła, jak na ten widok żołądek jej kurczy się z głodu.

- No dobrze, ponieś trochę. Niedaleko już do domu. Ruszyły.

- A ty dokąd tak późno idziesz? - zainteresowała się kobieta.

- Ja... - zająknęła się Zosia. - Ja właściwie nigdzie.

- Jak to "nigdzie"?

Zosia w krótkich słowach opowiedziała swoją historię. Dobre, szare oczy nieznajomej budziły w niej zaufanie.

- Hm - mruknęła kobieta - no, zobaczymy, może ci co poradzę.

Szły teraz trochę prędzej. Zosia brnęła ostatkiem sił. Osłabiona zmęczeniem, zdenerwowaniem i głodem, zaciskała zęby, wlokąc ciężki koszyk.

Było już prawie zupełnie ciemno, gdy stanęły przed niewysokim domkiem.

- To tu.

Weszły do długiego, ciemnego korytarza. Kobieta pchnęła jedne z

drzwi. Oczom Zosi ukazał się nieduży, czysty pokój. Palila się naftowa lampa, w której świetle dziewczynka dojrzała siedzącą przy stole młodą kobietę z dzieckiem na ręku. Na ich widok zerwała się z miejsca i położywszy dziecko na łóżku, podbiegła, by odebrać od towarzyszki Zosi koszyki.

- No, nareszcie mama wróciła. Taka już byłam niespokojna!

- Aż na Radzymińskiej byłam. Patrzaj, co przyniosłam.

- Tyle chleba! No, to starczy nam na długi czas! - zawołała radośnie córka.

- Ojca nie ma jeszcze?

- Jeszcze nie wrócił. Ale był tu Felek, mówił, że wszystko idzie dobrze.

Powinni niedługo już być. A co to za dziewczynka? - wskazała na Zosię, która przystanąła przy drzwiach.

- A spotkałam po drodze. Dobre dziecko, pomogła mi koszyk dźwigać. Z Warszawy, z woli. Rodzina została tam, a dzieciak tu trafił przypadkiem. Nie ma gdzie spać, z Kępy chcieli ją dziś rano zabrać. Razem z tymi wszystkimi kobietami, co je połapali. Jej udało się uciec. Chyba ją jakoś u nas ulokujemy, dla takiego chuchra znajdzie się kąt...

- Pewnie. No. To siadaj tu. - Młoda kobieta współczująco spojrzała na Zosię i przysunęła jej krzesło.

- Ledwie się to na nogach trzyma. Głodnaś, chcesz jeść?

Zosia skinęła głową. Nie była w stanie przemówić ani słowa. Talerz zupy opróżniła w mgnieniu oka. Miłe ciepło rozeszło się po jej ciele. Potem głowa jakoś sama zaczęła się kiwać, oczy zaczęły się kleić - i Zosia nie wiedziała, kiedy usnęła.

Po pewnym czasie obudziły ją jakieś szmery. Coś ciężkiego

przesuwano po podłodze. Otworzyła oczy. Przez zmrużone powieki dostrzegła, że w pokoju nadal pali się lampa. Zosia leżała na sienniku, ułożona wygodnie pod ścianą, przykryta derką.

Na przeciwległej ścianie odbijały się cienie, fantastycznie wielkie, schylone nad dużym, niekształtnym przedmiotem. Dwaj mężczyźni rozmawiali półgłosem.

- Tu lepiej będzie, mówię ci.

- Może masz rację...

Znów cichy zgrzyt.

- Ciszej, ludzi pobudzisz. Jeszcze się nam tu kto na łeb zwali.

Zosia zobaczyła, jak ciężki przedmiot, owinięty w gałgany i papier, z wielkim trudem wsuwano pod łóżko.

- Tak, teraz zasuń tą skrzynką i tą drugą.

- No, dobra! Sam diabeł nie znajdzie. - Zaśmiał się cicho jeden z rozmawiających, prostując schylone plecy.

- A niedoczekanie ich!

- Chodź trochę się uratowało. Będzie od czego zaczynać, kiedy się wyniosą. Jak dziś rano zobaczyłem, że te przeklętniki do obrabiarek się dobierają i do transportu je szykują, myślałem, że nie wytrzymam i łupnę któregoś. Mało, że tyle ludzi naniszczli, jeszcze i fabrykę wywożą. To ja do ciebie! Trochę im jednak skubnęliśmy. Nie doliczą się. Diabła zjedzą, jeżeli potrafią zmontować coś z tego, co zabrali.

Zosia domyśliła się. Jeszcze na Saskiej Kępie opowiadano sobie po

cichu, jak robotnicy wykradają i ukrywają maszyny i ich części, przygotowane przez okupanta do wywiezienia w głąb Rzeszy. Kiedy skończą się działania wojenne, przynajmniej kilka zakładów można będzie jakoś na początek uruchomić.

Myśl ta przemknęła szybko przez skolataną głowę Zosi i zatarła się natychmiast. Zmęczona dziewczynka znów zapadła w głęboki sen.

Rano zawarła znajomość z całą rodziną nowych swoich przyjaciół.

Walenty Jasiński był majstrem w fabryce Szpotańskiego. Kobieta, której Zosia pomogła dźwigać koszyki, jego żona, serdecznie odniosła się do dziewczynki.

- Nigdzie nie pójdziesz - powiedziała, gdy Zosia chciała odejść, podziękowawszy za nocleg. - Jedno więcej w domu i takie małe, nie zawadzi.

Pomożesz Baśce przy dziecku. No nie, Baśka? - zwróciła się do córki.

- A ja będę miał dwie córki - śmiał się wesoło Felek, mąż młodej kobiety, wskazując ręką na dziecko, które właśnie karmiła jego żona.

Zosia nie próżnowała. Z całych sił starała się odwdzińczyć Jasińskim za okazaną jej pomoc. Kołysała i przewijała dziecko, biegła po zakupy, pomagała przy kuchni, zmywała.

Minęło kilka dni, pełnych niepokoju i trwogi. Przyjdą Niemcy, czy nie przyjdą? Zabiorą resztę ludności ze sobą na zachód, czy też uda się tu przesiedzieć i przetrwać?

Niemcy wyraźnie szykowali się do odwrotu. Wybuchy raz po raz wstrząsały powietrzem. Jedną po drugiej wysadzano fabryki. Robotnicy, którzy po kryjomu schodzili się do Jasińskiego, w poczuciu własnej

bezsilności zaciskali pięści i ponurym wzrokiem śledzili gęste, czarne kłęby dymu, unoszące się nad Grochowem. Wszystkie usta powtarzały jedno pytanie:

- Kiedy nareszcie to się skończy?!

Koniec przyszedł nagle. Rozpoczęło się to w niedzielę 10 września, kilka dni po przyjściu Zosi do Jasińskich.

Zagrała radziecka artyleria. Niemiecka odpowiedziała, ale słabiej.

Niemcy ściągnęli już własne siły do tyłu, za Pragę. Po raz pierwszy w życiu Zosia usłyszała radzieckie katusze. Niemcy w panicznym lęku kryli się po piwnicach, gdy zaczynał się przewalać potężny, nieprzerwany grzmot.

Jeden za drugim leciały ogniste pociski, siejące spustoszenie.

Wszyscy przenieśli się do piwnic. Skuleni, po ciemku, w trwodze i jednocześnie pełni nadziei, mieszkańcy Pragi, Grochowa, Kępy - czekali.

Bój o Pragę trwał parę dni. Zosi wydawało się jednak, że trwa całe wieki. Zdawało się, że każdy pocisk, przelatujący z szumem nad domkiem, trafi w ukrytą w piwnicy gromadkę. Leciały szyby, drżały i waliły się mury, kołysały się domy. Gwizdały bomby lotnicze, szukając niemieckich stanowisk, zamaskowanych wśród domów mieszkalnych, nawet wokół kościoła. Niemcy zamienili rzeczywiście miasto w pole bitwy. Każda noc pełna była śmiertelnego lęku: czy dożyjemy rana? Kobiety odmawiały chórem modlitwy. W czasie krótkich przerw w strzelaniu słychać było nawet w piwnicy głucho dudnienie kół i kopyt końskich po bruku.

- Niemcy się cofają... - szła od piwnicy do piwnicy wieść.

Jednego z tych dni, 12 września, kilka potwornych wybuchów

targnęło powietrzem. Ludzie poupadali jeden na drugiego. Zosia, niosąca właśnie czajnik z wodą, przewróciła się w przejściu.

- Trafili w nas! - mignęła myśl, jak błyskawica.

- Nic, nic! Ruhe, spokój! - krzyknął jeden z niemieckich żołnierzy,

którzy, mając w pobliżu okopy, chętniej jednak siedzieli w schronach niż na stanowiskach, objadając w dodatku ludność ze skromnych zapasów żywności.

- To nasi żołnierze wysadzili mosty...

- Jeszcze i to! - jęknęła Zosia. - Jak ja się teraz do Warszawy dostanę?

Nie wiedziała biedaczka, że nie brak mostów będzie najważniejszą przeszkodą w przedostaniu się jej do domu na Wolską przez długie jeszcze, pełne bolesnego wyczekiwania tygodnie. Armia Czerwona i kościuszkowcy zdobyli wprawdzie prawy brzeg Wisły aż do Jabłonny, lecz na lewym brzegu dogorywało jeszcze Powstanie, a potem w gruzach miasta i poza nim armia hitlerowska umocniła swoje siły i pojedynkę artyleryjski przez rzekę ciągnął się jeszcze całe cztery miesiące. O przyczółki na lewym brzegu toczyły się krwawe walki.

Dla ludności Grochowa, Pragi, Kępy najgorsza była noc z

czternastego na piętnasty września. Artyleria waliła z obu stron bez

przerwy. Strzały rozbrzmiewały tuż obok - nad domkiem, w ogródkach, na ulicach.

Nad ranem nieco przycichło. Słyszeć było tylko pojedyncze wystrzały

armatnie. Strzały pistoletowe, których dotychczas nie było słyszeć, odbijały się echem wśród murów.

I nagle...

W przemęczony, wylękniony tłum ludzi, zbitych w ciasną gromadę w ciemnej, wąskiej, dusznej piwnicy, padł pierwszy okrzyk:

- Niemców nie ma! Nasi są!

Z początku z niedowierzaniem podniosły się wszystkie oczy na małego chłopca, który z ciekawości wymknął się przed chwilą z piwnicy i teraz wracał z tą wieścią, w którą ludzie nie mogli wprost uwierzyć. Czy to rzeczywiście możliwe, że Niemców nie ma? Że to koniec zbyt już długiego pasma tych wszystkich cierpień i nieszczęść, jakich doznano? Czy to aby prawda? Poszli, przepędono ich i nie wrócą?

Zosi serce aż podskoczyło do gardła. Jako jedna z pierwszych rzuciła się ku wyjściu. Z innych piwnic powoli, jakby z niedowierzaniem, nieśmiało, zaczęli wychodzić ludzie o szarych twarzach - w szary świt dnia.

Okopy przy domu były puste. W nieładzie rozrzucona amunicja, porzucona broń świadczyły o pośpiechu ucieczki wroga.

Było pusto i jakby mgliście.

Wtem, z boku, w przejściu między domami, ukazał się żołnierz. Za nim drugi, trzeci - wszyscy z karabinami gotowymi do strzału. Nie Niemcy.

Szare, watowane kurtki, na hełmach i futrem obszytych czapkach - czerwone gwiazdy.

A wśród nich...

- Nasi! - krzyknął ktoś.

Zielone mundury, a na rogatywkach - orzeł!

Jeden włókł się wolno, utykając. Dalej - dwóch niosło bezwładną

postać na noszach.

- Nasz, ranny! - kobiety rzuciły się w ich stronę.

Tłumy kobiet, dzieci, niewielu pozostałych mężczyzn, wychodzących teraz z ukrycia - zaczęły masowo wysypywać się ze schronów i piwnic.

- Nasi...

Zosia spojrzała na Jasińskiego, który stał obok niej. Jakby mu sił nagle zabrakło: oparł się o mur. Po zmarszczonej twarzy starego majstra płynęły łzy.

- Baśka! - poderwał się niespodziewanie. - Baśka! - krzyknął głosem zdławionym ze wzruszenia. - Nasz sztandar, migiem!

Baśka rzuciła się do mieszkania. Za chwilę - wydobyty z najgłębszej skrytki na dnie szafy, przechowywany z narażeniem życia przez pięć długich, krwawych lat, biało_czerwony sztandar powiewał nad bramą domku.

A za chwilę zakwitła sztandarami cała ulica.

14 - Zima na Grochowie

- Chlebek świeży, bułeczki, chlebek... Komu, komu, bo idę do domu...

- Nafta, nafta, nafta...

- Igły, nici, igły, nici, nici, dobre mocne nici...

- Do mięsa, do mięsa, staniało, staniało...

- A bodaj to prawda, że staniało. Bujasz, laluniu...

Nawoływania przekupek i przekupniów zlewały się w natrętny,

jednostajny chór zmieszanych głosów. Żywności na kartki dawano bardzo

skąpo, sklepów prywatnych było jeszcze mało, kontakt Grochowa z Pragą

ograniczony z powodu stałego niemieckiego ostrzału ze strony lewobrzeżnej

Warszawy, rozkwitał więc na całego prywatny handel bazarowy, zwłaszcza

na placu Szembeka. Ktoś przywiózł od rodziny z pobliskiej wsi mięso - więc

handlował nim. Komuś ocalało trochę towaru z dawnej prywatnej

wytwórni, odstępował go drobnemu handlarzowi lub dawał w komis.

Piekarzowi ocalała piekarnia, lecz zburzono sklep - więc Zosia i inne

dziewczęta ustawiały się w kolejce od rana, by otrzymać swój dzienny

“przydział”. Za sprzedane pieczywo dostawały procent.

Drobny, mokry śnieg sypał bez przerwy. Deptany nogami

niezliczonych przechodniów, zamieniał się w lepkie, grząskie błoto.

Zapadał wczesny, grudniowy zmrok. Mimo to długie szeregi

handlujących wciąż jeszcze wystawały wzdłuż ścian domów Grochowskiej i

w uliczkach, przylegających do placu Szembeka. Zziębnięte, obdarte

postacie kulily się w bramach i między straganami targu. Jeszcze parę

złoty trzeba zarobić... Jeszcze kilka bochenków chleba trzeba sprzedać, bo inaczej będzie strata - na nic całodzienny, ciężki zarobek.

- Dużo ci zostało?

- Dwa chleby i pięć bułek - mruknęła Zosia, unosząc kawałek płótna i zaglądając do swego koszyka.

Podobnie jak inne dziewczynki, handlujące pieczywem, kulila się w swoim kubraczku, połatynym i zbyt dużym na nią, kupionym za grosze na targu. Zziębnięte ręce wsunęła w rękawy i przytupywała w miejscu, żeby rozgrzać zmarznięte nogi. Ach, te nogi! Najwięcej było z nimi kłopotu.

Odmrożone jeszcze podczas transportu z Zamościa, obolałe od całodziennego stania i biegania w zbyt na nią obszernych butach chłopca, z którego siostrą zaprzyjaźniła się na Saskiej Kępie, często już odmawiały posłuszeństwa swej małej właścicielce. Zresztą, te ofiarowane w prezencie buty zdążyły się już podrzeć, a w podeszwach widniały duże dziury.

- Masz jeszcze bułki?

Zosia z westchnieniem ulgi pozbyła się reszty towaru. Ten jeden chlebo zanieś do domu na kolację.

- No, idę...

- Masz szczęście - szepnęła sąsiadka Zosi, spoglądając z niechęcią na swój dość jeszcze ciężki koszyk.

Będą walić, czy nie będą? rozmyślała Zosia, przyspieszając kroku, choć z trudem wyciągała nogi z grzązkiej mazi. Po ciemku musiała omijać wielkie stosy belek, które leżały - jak mówiono - przygotowane do budowy pontonów przez Wisłę. W tej chwili dostyszała z daleka głuchy odgłos

armatniego wystrzału, który brzmiał jak uderzenie w bęben.

- Walą!

Niemcy bez przerwy ostrzeliwali Pragę, Grochów, Saską Kępę, tory na Grochowie i na Pradze. Nie było dnia, żeby pociski nie przelatowały, gwizdząc lub hucząc ciężko nad domami, ulicami i ogrodami. Czasami celowali w stanowiska polskie i radzieckie, rozlokowane za Grochowem, wśród pól, często jednak ofiary ponosiła też ludność cywilna. Zburzone domy, fronty kamienic poszarpane odłamkami, szpitale, pełne rannych, szeregi mogił na tymczasowych cmentarzach - stały się dla mieszkańców tych dzielnic przez długie miesiące jesieni i zimy 1944 roku sprawami dnia powszedniego. Dołączyły się jeszcze do tego epidemie: tyfusu i czerwonki. Ludność żyła więc nie "jak na froncie" - lecz po prostu - na froncie, niepewna dnia ani godziny. Droga z Grochowa na Pragę nazwana została "aleją śmierci". Skoro tylko jakiś śmiałek pojawił się na Targowej i usiłował przekroczyć Brukową czy Szeroką, Niemcy, którzy mieli stanowiska na przeciwległym wysokim brzegu Wisły, rozpoczynali polowanie. Ludzie jednak powoli przywykli i coraz mniej zwracali uwagi na ostrzał. Nawet dzieci zadzierały już tylko głowy do góry, śledząc obojętnym spojrzeniem kierunek przelatujących pocisków. Mówiły do siebie: "O, znów gawron leci!"

Tak też i Zosia brnęła dzielnie i obojętnie wśród śnieżnej zamieci i zapadającej nocy, w podmuchach ostrego wiatru, który przygłuszał świst pocisków. A jednak z westchnieniem ulgi dotarła do domku, gdzie nadal mieszkała u majstra Jasińskiego. Otrząsnąwszy okrycie i buty ze śniegu, weszła do izby. Wszyscy siedzieli już przy stole, jedząc skromną kolację.

Chleb, kartofle, kasza, kawa zbożowa - był to całodzienny niemal posiłek rodziny.

- Jesteś nareszcie! Tak się bałam, znów łupią... - Jasińska przysunęła Zosi talerz.

Dziewczynka jadła, przysłuchując się opowiadaniu majstra.

- Robiliśmy aż do zmroku. Jeszcze jedną obrabiarkę ustawiliśmy. Za tydzień robota musi ruszyć.

- Tak, ale co z tego - westchnęła ze smutkiem Jasińska - kiedy żyć nie ma z czego. Tyle że trochę mąki albo kaszy przyniesiesz i chleba, Zośka zahandluje albo Baśka praniem dorobi.

- Ciężko, wiadomo. Ale przecie nie będzie gorzej, tylko lepiej.

Najgorsze już minęło. Teraz trzeba robić i budować. Słyszałem, jak mówili dziś żołnierze, co to chcą nam zamówienie na remonty dać, że niedługo już na Warszawę pójdą. Ale to bardzo ciężka sprawa.

Felek uzupełnił wiadomości.

- Pewnie, że ciężka. Mówili mi, że nasi próbowali przepłynąć Wisłę amfibiami i łodziami na Czerniaków. Mnóstwo zginęło. Potopili ich Niemcy. Podobno tylko garstka przedostała się na tamten brzeg.

Zosia posmutniała. Tak dawno już mówią o zdobywaniu Warszawy, a ciągle nic z tego. Co prawda na północ od Pragi w stronie Jabłonny i Zielonki słychać bez przerwy pojedynki artyleryjski, ale jak długo to może jeszcze potrwać, zanim przełamią niemiecki front - kto wie?

Następnego ranka Zosia znów powlokła się ze swoim koszykiem na targ. Obudzona nadzieja przygasła. Słychać było jedynie rzadkie strzały

armatnie. Na północy - cisza. Ludzie, zmarznięci i skuleni, szybko przemykali w różne strony, żeby zdążyć do pracy, dopóki Niemcy nie zaczęli jeszcze strzelać.

Dzieci szły do szkoły.

Zosia z zazdrością obserwowała ich ożywione twarze, gdy biegnąc rozprawiały o lekcjach, nauczycielach i swoich, dla niej zupełnie obcych, koleżeńskich sprawach. Westchnęła głęboko. Wprawdzie Jędrrek uczył ją wieczorami czytać i pisać, podpatrywała też, jak Jaśka Balcerzakówna, córka szewca, odrabia swoje lekcje i wypytywała ją o różne sprawy - ale to nie była szkoła, prawdziwa szkoła. Każdy coś robi, ma swoje obowiązki.

Jasiński i Felek pracują w fabryce, Baśka pierze, mama Jasińska zajmuje się domem i gospodarstwem, a ona - cóż? Chlebem handluje. Co to za zajęcie, gdy inne dzieci się uczą. Czuli się obca, gorsza od nich.

- Co tam masz, chleb? - usłyszała nagle tuż obok siebie niski, przyjemny głos.

Szybko postawiła koszyk i wydobyła z niego świeży, pachnący bochenek razowca. Spojrzała na kupującego. Znała go z widzenia. Często kupował od niej chleb ten zawsze spieszący się, skromnie ubrany, lecz wesoło uśmiechnięty pan o miłych, niebieskich oczach.

- A ty tak ciągle tylko handlujesz? Ile masz lat? - zapytał, wyjmując pieniądze z kieszeni i odliczając należność.

- Muszę, trzeba zarabiać - odrzekła Zosia. - Dziesięć lat skończyłam.

- No to już najwyższy czas do szkoły. Nie uczysz się?

- Gdzie tam! - Machnęła ręką. - To chyba kosztuje. Kto by mnie darmo

uczył. Ja nie tutaj. U obcych mieszkam. Zarabiać trzeba - powtórzyła ze smutkiem.

- Przecież za naukę u nas się nie płaci. A uczyć się trzeba. Zarobek, hm... Cóż, możesz sobie po lekcjach jakoś dorobić. Przyjdź do mnie jutro, na Kordeckiego, coś poradzimy. Wiesz, gdzie jest szkoła na Kordeckiego?

Zosia wiedziała. Tchu jej zabrakło ze zdumienia i wzruszenia. Bez słów skinęła tylko głową.

- Pójdę do szkoły! Pójdę do szkoły... - powtarzała sobie bez przerwy, nie mogąc uwierzyć temu szczęściu. Myślała o tym cały dzień, wykrzykując jak automat z roztargnieniem swoje niezmiennie:

- Chlebek, świeży chlebek!

Mylła się w wymienianiu ceny, w wydawaniu reszty, za białą bułkę policzyła tyle, co za razowiec.

- Nie śpij, mała! - huknęła jakaś nieprzyjemna jejmość.

Nie, Zosia nie spała, ale zdawało się jej, iż przeżywa jakiś cudowny sen. Szkoła, o której marzyła i rozmyślała dniami i nocami, przestanie być dla niej zaczarowanym światem!

Wieczorem podzieliła się swoją szczęśliwą nowiną z Jasińskimi.

- A pewnie. Powinnaś iść do szkoły. Tyle będziesz miała, co w głowie sobie uskładasz - zadowolony Jasiński skinął głową. - Prawdę mówiąc, trzeba nam było o tym wcześniej pomyśleć, tylko że głowy do tego nie miałem. Taki huk roboty.

- Ale jak ja będę zarabiać? - Zosia nie mogła pozbyć się wątpliwości.

- Jakoś się poradzi... Przecie szkoda, żeby dzieciak się marnował, choć

u nas tylko w gościnie. Ale Wola to też nasza robociarska sprawa - mruknął stary majster do żony.

- Ano, trzeba będzie ją jakoś oporzędzić, żeby w takich szmatach nie poszła - orzekła Jasińska i zabrała się od razu po kolacji do łatania i cerowania kubraczka i spodni dziewczynki. Te spodnie, prezent jeszcze od pani z Saskiej Kępy, były teraz w zimie dla Zosi prawdziwym ratunkiem.

Z bijącym sercem wkraczała Zosia następnego dnia do klasy, wprowadzona przez swego niedawnego klienta, który okazał się nauczycielem szkoły powszechnej.

Zupełnie inna była to szkoła, aniżeli Zosia sobie wyobrażała na podstawie opowiadań Jędrka i swoich starszych przyjaciółek z Woli. Nie stały tu ławki z pulpitami, nie było katedry, ani stolika dla nauczyciela.

Dzieci rozmieściły się, gdzie popadło. Część na kilku połamanych ławkach, reszta na prostych, nie heblowanych deskach, opartych na kulawych stołkach, a nawet po prostu na podłodze pod ścianami.

- O, i ty tu?! - usłyszała nagle Zosia radosne wołanie z różnych stron.

Tereska i Kasia, które tak samo jak Zosia handlowały pieczywem, Franek "od nafty", Maniek od węglarza, jeszcze paru znajomych konkurentów i przyjaciół z targowiska - wszyscy tłoczyli się w zimnej, ciasnej klasie.

Przez szpary w oknach, załatanych popękkanymi szybkami i dyktą, wiało tak, że, jak to się mówi, "wiatr chodził po izbie".

Lekcja się jeszcze nie zaczęła, więc dzieci rozmawiały wesoło.

- A jakie macie książki? - interesowała się Zosia.

- Książki? - zawołała Kasia ze zdumieniem. - Widzieliście, czego jej się zachciało! Nikt nie ma książek. Tak się uczymy, z tego, co pan nauczyciel mówi.

- Zeszytów też nie ma. Skąd by mi mama na to pieniądze dała! -

Tereska wyciągnęła z kieszeni zwitek zapisanych, zatłuszczonych, luźnych kartek.

- Z tym pisaniem to w ogóle do bani. Ja wcale nie piszę - Franek

“nafciarz” obejrzał z politowaniem swoje odmrożone, czerwone palce. - Tak puchną, choroba, że ołówka utrzymać nie mogę.

- Widzieliście go, pewnie taki zdolny, że wszystko pamięta - z

przekąsem zauważył złośliwie Maniek “węglarz”. - Zawracanie głowy z tą

cał szkołą... - mruknął niechętnie. - Matka tylko zrzędzi: idź, a idź do klasy.

Uparła się. I czego ważnego ja się tu nauczę? Liczyć umiem lepiej niż trzeba.

- Pewnie! Najlepiej to umiesz dodawać klientom do rachunku za

węgiel, co go im przy wadze odejmujesz! - zaśmiały się kpiąco dzieci, które

wiedziały, że z Mańka dobry “rachmistrz”.

Zrobił obrażoną minę.

- Dużo wy tam wiecie, jak trzeba zarabiać! No, ja dziś pryskam. Do

diabła mi siedzenie w tym psim mrozie. Po targu położę, to choć na

papierosy zarobię.

Ale nie zdążył już zwiąć, gdyż nauczyciel właśnie wchodził do klasy.

Był to pan Bleszyński, ten sam, który przyprowadził Zosię. Zaczęła się

lekcja.

- Dziś najpierw arytmetyka. Powtórzymy poprzednią lekcję.

W tej chwili Maniek demonstracyjnie głośno ziewnął.

- Słuchaj, Maniuś. - Pod spojrzeniem łagodnych oczu nauczyciela

Maniek z lekka się zaczerwienił. - Ja wiem, że umiesz dobrze liczyć, ale nie

sądź, że już więcej nie możesz się nauczyć, że wszystkie rozumy zjadłeś. A

skorto uważasz, że znasz ten przedmiot lepiej niż inni twoi koledzy, to

mógłbyś im pomóc w nauce. Teraz powiedz mi, ile jest dwa i dwa?

- Cztery! - palnął Maniek bez namysłu.

- Masz rację i nie masz. Może to być też dwadzieścia dwa -

zażartował nauczyciel. - Widzisz, że nie wszystko jeszcze umiesz! Ale ucz się,

może zostaniesz w przyszłości kiedyś sławnym matematykiem...

Klasa wybuchnęła śmiechem. Zawstydzony Maniek usiadł z

powrotem na swoim miejscu na po dłódze. Po lekcji podszedł do Zosi i

powiedział cicho, tak, żeby nikt nie słyszał:

- Chodź no, Zośka, pokażę ci, co przerobiliśmy dotychczas z

arytmetyki.

Oszołomiona i rozgorączkowana nowymi przeżyciami, Zosia

wybiegła po lekcjach razem z innymi dziećmi na ulicę. Rozpierała ją radość.

Pokrzykiwała wesoło, lepiąc wraz z koleżankami kule śnieżne i

bombardując się nimi nawzajem.

Na targowisku czuła się zawsze samotna, choć dookoła było tyle

ludzi. Wiedziała, że zdana jest wyłącznie na własne siły. A tu jest w

gromadzie. Taka sama, jak inne dzieci, czuje się im równa. Już nie

potrzebuje śledzić zazdrosnym wzrokiem uczniów, spieszących na lekcje.

Wydawało się jej nawet, że w polatanym kubraczku wcale nie jest jej tak

zimno, jak było wczoraj.

Pobiegła na targ. Postanowiła kupić sobie jeden zeszyt, taki grubszy, "do wszystkiego", za pieniądze, zaoszczędzone przy handlu chlebem. Co prawda, miała sobie za te pieniądze zreperować buty. Ale te śliczne, grube zeszyty w pomarańczowych okładkach, o przyjemnie szeleszczących kartkach stanowczo wyglądają zbyt kusząco!

Przypadek sprawił, że Zosia trafiła akurat do mnie, do mojej budki, w której usiłowałam zarobić na utrzymanie matki i ciężko chorego ojca. Wydzierżawiła mi tę budkę właścicielka drewniaczka na krańcu Grochowa, gdzie zainstalowaliśmy się w malutkiej klitce po wysiedleniu nas z Saskiej Kępy. No bo jednak nas wyproszono z tej dzielnicy, tym razem wszakże nie Niemcy, lecz wojsko radzieckie. Była to przecież najprawdziwsza linia frontu i w istocie nie było wskazane, żeby ludność cywilna łązkowała po okopach i wysuniętych stanowiskach artyleryjskich.

Już kilka razy spotkałam na Grochowie Zosię. Ucieszyłyśmy się z tego spotkania, ale byłam w takiej sytuacji, że doprawdy w niczym nie mogłam jej pomóc. Zresztą mówiła, że ma gdzie mieszkać, ma co jeść, a ludzie, którzy się nią opiekowali, są dla niej bardzo dobrzy. Wiedziałam też, że handluje pieczywem i od czasu do czasu kupowałam od niej bułkę dla ojca. Ale tym razem Zosia zgłosiła się do mnie jako klientka.

- Chciałam kupić od pani zeszyt. Wie pani, przyjęli mnie do szkoły - powiedziała z dumą.

- To świetnie! - ucieszyłam się. - Z tej okazji dostaniesz ode mnie zeszt w prezencie. Niech ci dobrze służy! To nie handlujesz już chlebem? Jak sobie

radzisz?

Podziękowała za zeszyt i powiedziała z zakłopotaniem:

- No, z handlem kłapa. Ale przecież muszę zarabiać. U Jasińskich się nie przelewa, a ja nie chcę być dla nich ciężarem. Może coś wykombinuję...

Wtedy przyszedł mi pewien pomysł do głowy, wyjście, dogodne dla nas obu. Nigdy nie prawiliśmy sobie z Zosią "duserów", zdawkowych grzeczności. Zosia mimo swego młodego wieku była osobą zbyt "serio", aby pieścić się z nią jak z dzieckiem. Miała przy tym jakieś takie poczucie własnej godności: nigdy nie przyjmowała niczego darmo. Była "honorowa".

Za zeszyt położyła mi na ladzie bułkę, którą widocznie kupiła sobie na kolację. Uraziłabym ją, gdybym się nie zgodziła na tę towarową wymianę.

- Posłuchaj, Zosiu - powiedziałam do niej. - Widzisz, ja tu siedzę w budce cały dzień, odejść nie mogę, bo nie ma mnie kto zastąpić. Przyjeżdża do mnie pewien kupiec z Sokołowa i zawsze bierze większą partię zeszytów i ołówków. W tamtych stronach już dużo szkół jest czynnych. No i wtedy mam kłopot. Nie mogę sama iść na Pragę czy do pracowni po towar. Po lekcjach może przynosiłabyś mi te zeszyty i ołówki. Zarobisz sobie chyba więcej niż na bułkach i chlebie. Uprzedzam cię tylko, że to dość daleko i te paczki są przeważnie ciężkie. Zastanów się, czy dasz radę. Korzyść byłaby obopólna. Zosia nawet nie namyślała się. Ucieszyła się.

- Och, bardzo pani dziękuję. Na pewno będzie pani ze mnie zadowolona - stwierdziła z zapalem. Nie przerażała jej myśl o dalekiej drodze na Radzymińską czy Ząbkowską.

Od tego dnia co dzień prawie, po południu, wędrowała z Grochowa

na Pragę, nie zważając na ostrzał, zimno i wczesny zmrok, ani na ciężkie paczki, które przychodziło jej dźwigać. Wędrowała po wyludnionych niemal zupełnie ulicach Pragi, prześlizgując się na czworakach przez przecznice Targowej pod gwizdzącymi jej nad głową kulami, sypiącymi się z przeciwległego brzegu Wisły. Nie, mimo wszystko nie zrezygnuje ze szkoły. Na każdej lekcji, dzień po dniu otwierał się przed nią nowy, nieznany świat. Postanowiła, że gdy dorośnie, zostanie nauczycielką jak pan Bleszyński. To taka piękna praca!

Nadeszły i przeminęły jak z bicia trzaśł święta Bożego Narodzenia.

Wigilia u Jasińskich była skromna, ale uroczysta. Stół, nakryty białym obrusem, zastawiony był jednak obficie niż na co dzień. Zadbał o to ruchliwy i zaradny Felek. Jeszcze na jesieni wybrał się gdzieś w stronę Otwocka i w tamtejszych lasach nazbierał grzybów, które matka ususzyła. Była więc kapusta z grzybami, barszcz czerwony, ba, była nawet jakaś rybka, której kilka skrzynek przywieźli żołnierze z jakichś stawów dla fabryki, w której pracował Jasiński. W sobie tylko znanym miejscu Felek “wykombinował” też chojaczka. Przybrano go watą, paroma jabłuszkami i gwiazdeczkami, wyciętymi ze starej puszki po konserwach. Brakowało tylko świeczek. To już naprawdę było nie do dostania przy całej obrotności Felka. Podzielono się oplatkiem, pośpiewano kolędy i cała rodzina zabrała się do pałaszowania niecodziennych smakołyków. Baśka przerobiła dla Zosi jakąś swoją starą sukienkę i po raz pierwszy od wielu miesięcy Zosia mogła z siebie zdjąć wyświechtane i wypłowiałe już saskołępskie spodnie. Od Felka Zosia dostała w prezencie korale: jagody jarzębiny, nanizane na nitkę.

Jasiński ofiarował jej książkę - czytanki, o której powiedział, że jeszcze Baśka się z niej uczyła.

Zosia przyglądała się im wszystkim, gdy tak siedzieli kołem przy stole i myślała: Oto moja trzecia rodzina. Dwie straciłam. Czy kiedyś odzyskam kogoś z nich? W jej oczach stanęły łzy. Ale na dobre rozplakała się, gdy mama Jasińska wniosła i postawiła na stole salaterkę z owsianym kisielom na deser. Martyniakowa nie знаła tego dania, ale matka Zosi, Bartosowa, zawsze gotowała tę potrawę na święta i Zosia pamiętała jeszcze jej smak. Miał i tamtej zimy być owsiany kisiel na święta - zamiast tego były baraki w Zamościu i czerstwa skórka razowego chleba.

Przy stole zrobiło się cicho. Nikt się nie odezwał, nikt nie powiedział ani słowa. Wiedzieli, tu nie ma co pocieszać. Zrozumieli: ona musi się wyplakać. Za dużo przeżyła, za dużo gniecie ją wspomnień. Jasiński położył jej tylko rękę na ramieniu, a Felek po pewnej chwili szepnął cicho:

- No, Zośka, nie łam się. Bądź zuchem.

Tak samo odezwał się do niej, jak ojciec, gdy żegnał ją w noc wysiedlenia. I to pozostało dla niej jak hasło, jak zawołanie w najtrudniejszych chwilach życia. Z Felkiem dogadywała się najlepiej z całej rodziny. Może dlatego, że podobne mieli charaktery: zapalczywe, uparte, odporne, twarde. A może i dlatego, że Felek przypominał jej Jędrka. Łzy jakoś same przestały płynąć. Podeszła do miski, obmyła zapłakaną twarz, otarła ręcznikiem i wracając do stołu powiedziała wesoło:

- Jak chcecie, to zanucę wam parę piosenek z tych, co je śpiewałam w tramwajach...

15 - Zosia wraca na Wołę

Był pogodny, lecz mroźny poranek 18 stycznia 1945 roku. Zosia zdecydowała, że najpierw pobiegnie po zeszyty na Pragę. Takie duże zamówienie - szkoda stracić. Może zdąży potem na trzecią lekcję. Biegła szybko Grochowską. O tak wczesnej porze ruch tu był niewielki. Pojedyncze ciężarówki wojskowe mknęły szybko szosą. Turkotały nieliczne furmanki. Śnieżne pola przedzielające Grochów od Saskiej Kępy różowiły się w jaskrawym słońcu.

Dziewczynka z tęsknotą spojrzała w daleką perspektywę alei Waszyngtona. Tam - tak niedaleko, zdawałoby się dawniej o kilkanaście minut drogi - leżała teraz niedosiężna, głucha, tajemnicza Warszawa. Właściwie nie Warszawa, lecz wymarłe, ciche, groźne cmentarzysko domów i ludzi.

Od czasu do czasu dobiegają odgłosy wybuchów. Podobno Niemcy wysadzają resztę domów. Niejednokrotnie dolatywały także dźwięki piosenek, które faszyci nadawali przez megafony, ustawione na brzegu Wisły. Echo niosło po lodzie te melodie i urywane słowa komunikatów, które nieodmiennie zawiadamiały o zwycięstwach Hitlera i wielkich klęskach sprzymierzonych. Ludność prawobrzeżnej Warszawy niewiele przejmowała się tą jednostronną niemiecką konwersacją.

- Gadaj zdrów! - śmiali się ludzie, czytając jednocześnie w "Życiu Warszawy", które wychodziło od pierwszych dni wyzwolenia praskiego brzegu, wiadomości o klęsce Rzeszy na wszystkich frontach.

Teraz, mijając Wiatraczną, Zosia mimo woli nastawiła uszu. Coś

słysząc, ale co? Po niemieckiej, wojowniczej piosence nagle zapadła cisza. A potem rozległa się jakaś zupełnie inna melodia... Nie! To niemożliwe!

Czyżby? Czyżby Niemcy nadawali "Jeszcze Polska nie zginęła"? A teraz coś mówią. Ale co? Zbyt daleko, aby można było zrozumieć słowa.

Zosia przystanąła. Wraz z nią grupka ludzi zgromadziła się, jakby w oczekiwaniu czegoś, co miało za chwilę nastąpić.

Wtem rozległ się tupot. Ktoś biegł pędem od strony Pragi. Zosia spojrzała.

- Felek! - krzyknęła, gdy rozpoznała w biegnącym mężczyźnie męża Basi.

- Warszawa... Warszawa wzięta! - wyrzucił z siebie, ledwo dysząc.

- O rety, ludzie! Warszawa zdobyta! - wrzasnęła jednocześnie jakaś kobieta, wyskakując z budki, w której dwaj żołnierze radzieccy kupowali właśnie papierosy.

- Czy to aby prawda? - odezwał się ktoś z powątpiewaniem. - Kiedy?

- Jak? - posypały się z różnych stron pytania.

- Już wczoraj nasi weszli do Warszawy!

Dwaj żołnierze, chowając papierosy do kieszeni, wyszli z budki, z uśmiechem tylko machając ręką na wołanie ludzi. Wsiadli do małego samochodu i ruszyli z miejsca pełnym gazem.

- Nie mamy czasu. Dużo jeszcze roboty.

Już ze wszystkich bram wysypywali się ludzie na ulicę. Wieść piorunem rozeszła się po Pradze. Z różnych stron ciągnęły tłumy ku Wiśle, na przelaj, polami - aby prędzej, aby bliżej Warszawy - żeby przekonać się

naocznie o prawdziwości radosnej wieści.

- Prawda, prawda, prawda... - powtarzały z nieprzytomnym uniesieniem wszystkie usta.

Zosia razem z Felkiem pobiegła do domu, niosąc wiadomość, każdemu napotkanemu po drodze człowiekowi. Plac Szembeka już wrzał.

Zamykano budki, sklepy, przerywano handel, tłumy gromadziły się na ulicach, dyskutując i przysłuchując się nowinom.

Zosia była niemal nieprzytomna ze wzruszenia. Zapomniała nawet o zeszytach, które miała przynieść - któż by się zresztą w takiej chwili kłopotał podobnymi sprawami.

- Do Warszawy! Do Warszawy! - Serce łomotało jak szalone.

- Poczekaj do jutra, zdążysz... - zatrzymywała ją Jasińska. - Dziś jeszcze i tak pewnie nie puszczają.

- Kiedy tyle ludzi poszło już po lodzie!

- Tak, ale zatrzymują ich. Widziałaś przecież, jak wracają.

- Ja przejdę! - krzyknęła Zosia i wypadła z powrotem na ulicę.

Jasińska ledwo tylko zdążyła włożyć jej do kieszeni kubraczka ćwiartkę chleba i platek słoniny na drogę.

- Zośka, dokąd lecisz? - zatrzymał ją Maniek.

- Do Warszawy! - odkrzyknęła mu w biegu.

Niejednokrotnie, gdy pytano Zosię, jak się przedostała pamiętnego dnia do Warszawy, nie umiała sobie wszystkiego przypomnieć. Szła jak w zamroczeniu. Może właśnie jej zabiedzony wygląd i nieprzytomne spojrzenie wzruszyły żołnierzy, którzy nikogo jeszcze wówczas nie puszczali

do miasta.

- Tam miny! Uważaj! - krzyknęli w ślad za dziewczynką, która brnęła bez zastanowienia i bez zatrzymania przez śnieg, pokrywający lśniąca tafłę lodową Wisły. Tego wołania Zosia jak gdyby nie słyszała. Szła, nie zważając na nic.

- Na wolę! Na Wolę. Do Martyniakowej, do Jędrka! Aby tylko ich odnaleźć... - Tak ich pokochała, tak przywiązała się do nich, do pierwszej swojej warszawskiej rodziny, która nieznajomą, obcą dziewczynkę przyjęła za swoją.

Gdy dobrnęła do pierwszych ulic, a raczej do tego, co kiedyś było ulicami Warszawy, poczuła się do głębi wstrząśnięta. Więc to prawda, co mówili.

I ludzi nie ma. Z trudem przedzierała się przez zwały gruzów, resztki barykad, stosy cegieł i żelastwa, przyprószone śniegiem. Tylko grupy żołnierzy krążyły po rumowiskach. Słyszeć było raz po raz wybuchy. Saperzy rozminowywali miasto. Niemcy pozostawili jako pułapki mnóstwo min w ruinach domów i pod płytami chodników. Przed domami, na trawnikach, na podwórzach i placach pełno było grobów powstańców i cywilnej ludności.

Szeroko otwartymi oczami dziewczynka chłonęła ten potworny obraz zniszczenia. Czy tu można będzie w ogóle żyć?

Zapadał już zmrok, gdy doszła do Wolskiej. Czy to Wola? Ten długi, wypalony szereg domów, te ruiny dookoła? To Wolska? Pusto.

Gdzieniegdzie jakiś człowiek. Skulona kobieta z tobołkiem błądzi w

poszukiwaniu - tak jak Zosia - swego domu lub jakiegokolwiek kąta, gdzie mogłaby na noc skłonić głowę. Bezdomni. Bezdomni, smutni, załamani ludzie mimo wszystko wracali na gruzy swego miasta.

Oto dom, w którym Zosia mieszkała przed Powstaniem. Front spalony. Podwórze zawałone gruzami. Ich oficynka...

Stoi! Ale również na pół zburzona. Dachy nie ma. Schody spalone. Z dołu widać wyrwane okiennice ich izby. Wykrzywione, wiszące na naderwanych zawiasach drzwi mieszkania. Pustka i cisza. Ani żywej duszy.

Nagle coś dotknęło nogi Zosi. Krzyknęła i aż zamarła z przerażenia. Co to?!

Szczury, które tabunami hasały po ruinach? Czy duch? Czy jakiś rabuś,

który myszkuje tu po ciemku? Bała się nawet spojrzeć w dół. Dotknięcie

powtórzyło się. Było jednak przyjazne i miłe. To Buras, kot Franciszka,

ocierał się o jej nogi, mruczac przymilnie i jakby prosząco. Zosia wzięła go

na rękę. Nie był chudy, widocznie myszy miał pod dostatkiem, ale brudny i

sierść miał skołtunioną. Pewnie znalazł sobie schronienie w piwnicy albo w

rumowisku. Było już więc ich dwoje, Zosia i Buras. Ale dokąd teraz pójść?

Na Grochów Zosia nie zdąży już wrócić. Ciemno, choć oko wykol. Zosia

wyszła na ulicę i rozejrzała się. I tu Buras jakby wskazał jej drogę. W

sąsiednim domu na parterze, gdzie dawniej był sklep Marczakowej, przez

szparkę w oknie, zabitym dyktą, sączyło się nagle światło. Przez drzwi

słychać było jakieś szmery: ktoś najwidoczniej krzątał się po lokalu. Buras

usiadł pod drzwiami i głośno zamiauczał. Zosia, ośmielona jego

zachowaniem, zapukała. Nieco zachrypnięty kobiecy głos odezwał się:

- Kto tam?

- Pani Marczakowa! - ucieszyła się Zosia. - To ja, Zosia od

Martyniaków.

Rozległo się szuranie, jak gdyby ktoś przesuwał ciężki przedmiot. W końcu drzwi otworzyły się i oczom Zosi ukazała się całkiem przytulna izdebka, przerobiona z dawnego lokalu sklepowego. Palila się mała lampka naftowa i było ciepło. W tak zwanej "kozie", której rura wstawiona była w okno, wychodzące na podwórze, rażno potrzaskiwały szczapy drzewa.

- Olaboga! Zosieńka! A ty się skąd tu wzięłaś? - Marczakowa, która od początku polubiła "zamojską sierotę", szeroko otworzyła ramiona i przytuliła dziewczynkę. Sklepiarka nie była już taka tęga i zażywna, jak kiedyś, schudła, zmizerniała i włosy miała zupełnie siwe. - No chodź, chodź tu, dziecko! Pewnie zmarzłaś. Siadaj. Dam ci zaraz gorącej kawy. Mów, skąd przyszłaś?

- Z Grochowa. Mieszkam tam u takiej robotniczej rodziny, pan Jasiński jest majstrem w fabryce Szpotańskiego. Całą zimę tam przesiedziałam. Bardzo dobrzy ludzie. A przyszłam przez Wisłę, przez lód.

- Że też cię puścili! Nikogo jeszcze nie puszczają, bo wszędzie w mieście miny. - Mówiła to wszystko starannie zasuwając drzwi wejściowe ciężką skrzynką. - Widzisz, klamka zepsuta, klucza nie ma, to muszę się tak barykadować, żeby mi się jakiś łapserdak nie wmeldował.

Zosia z przyjemnością piła gorącą kawę. Wyjęła z kieszeni chleb ze słoniną, który dała jej na drogę Jasińska i poczęstowała Marczakową.

- Jedz, mizeroto. Ja nie głodna. Ale jak ty na ten Grochów trafiłaś?

Pogryzając chleb ze słoniną, Zosia opowiedziała krótko Marczakowej

o swoich wędrówkach.

- Ale co z moimi, pani Marczakowa? Co z nimi?

- Ano, Jędrak, jak poszedł do Powstania, tak jeszcze nie wrócił.

Pierwszego dnia tylko tu wpadł, z matką się żegnał i broń z małym

Zawadzkiem od Franciszka zabrał. Ale nie martw się, Zochna, coś mi mówi,

że on żyje, że wróci...

- A mama?

Marczakowa umilkła. I jak tu małej opowiadać takie rzeczy? Ale nie

powiedzieć też nie mogła. Wcześniej czy później i tak się dowie.

- Martyniakową, dziecino, razem z innymi, co w domu jeszcze zostali,

własowcy rozstrzelali. Szła i za rączkę Magdalenkę prowadziła, bo pani

adwokatowa poleciała do mieszkania po swoje złoto. I złoto jej nie pomogło,

tam ją dorwali i na tamten świat wyprawili. A małej chyba lżej było

umierać, jak ją tak ktoś przytulał...

- Mama... - szepnęła Zosia ze ściśniętym gardłem. - Mama... - Łzy jak

groch spłynęły jej po policzkach.

- To i prawda. I tobie matkę zastępowała. Daj Boże, żeby twoja

rodzona się odnalazła. Ale po Martyniakowej zapłakać się godzi. Dobra była

kobieta. Ja tam zawsze wieczorem pacierz za jej duszę odmawiam. I

pochowałam ją.

- Jak? Gdzie?

- A tu niedaleko, w takim ogródku. Jak już ta szarańcza się wyniosła i

Wolska się dopaliła, przekradał się tu jeden chłopak, bo jego rodzinę też

wystrzelali. Swoich szukał. Więc my obydwójce wyszukaliśmy te ciała i

sprawiliśmy im pochówek. Martyniakowa razem z Magdalenką leży. Pokażę ci rano. A ty pewnie się dziwisz, jak ja ocalałam w tym wszystkim.

Zosia skinęła głową. Nie pytała z delikatności, no cóż, każdy się ratuje jak może.

- Widzisz, trzeba wiedzieć, na co kto łąsy. Za złoto to cię utłuką, jak tę adwokatową. Ale wódka! O, to dla nich przynęta... Jak dla psa kielbasa. Więc jak nas wyprowadzali, bo i ja z nimi byłam, z całą gromadą, szturchnęłam w bok jednego własowca i mówię mu po cichu, żeby ichni oficer nie słyszał, że mu spirtu dam, ile chce, żeby mnie tylko tu zaraz obok, do mojego sklepu puścił. Zamieszanie było, rwetes, to nawet nikt nie widział, jak my szmyrgnęliśmy do sklepu, a drzwi były otwarte. Naprawdę, miałam ten spirytus, no, zahandlowało się nim czasami. Bogiem a prawdą to był bimber. Wziął dwie butelki do kieszeni i kazałam mu potem jeszcze przyjść po następne. A on powiedział, żebym się położyła na podłodze i udawała nieżywą. I strzelił gdzieś w bok, że niby mnie zabił. Ale już potem nie przyszedł, może oficer mu nie pozwolił. Albo spił się na umór. A ja do mojej piwniczki wlałam i przesiedziałam tam dwa dni. Potem, jak już było po wszystkim, wyszłam, no i jakoś tę całą zimę przebiedowałam.

- To z naszego domu... wszystkich? - Określenie "rozstrzelali" jakoś nie mogło przejść Zosi przez usta.

- Jeżeli ktoś żyje, to z tych, co do Powstania poszli... Franciszek od początku prał do Niemców z pierwszego piętra. Dopiero z czołgu do niego wygarnęli. Stara wiara...

Zosia, smutna i zamyślona, jeszcze ze łzami w oczach, głaskała

Burasa, który z przyzwyczajenia umieścił się u niej na kolanach.

- To Burasek też sierota, jak ja...

- Bogać tam! To diabeł, nie kot. Powinni go byli ze sobą do Powstania wziąć. Jak te policaje i własowcy w bramie się kotłowali, to on hyc jednemu na ramię i pazurami po gębie. Nie wiem, czy mu ślepiów nie wydarł, bo ten mundurowy ryczał jak zarzynany. Inny zaczął do Burasa strzelać, ale gdzie tam! W gruzy drapnął, choć tam jeszcze się paliło. Kota i kula nie dogoni. Ja teraz za to w nagrodę trzymam tego Burasa u siebie i karmię. Mam jeszcze sklepowe zapasy.

Zosia uśmiechnęła się, chociaż prawdę mówiąc, wcale jej nie było do śmiechu.

- Pani Marczekowa... - odezwała się nieśmiało.

- Co, dziecino?

- Czy pani pozwoli, że przenocuję dziś u pani, bo do naszego mieszkania w ogóle nie ma jak się dostać. Jutro wrócę na razie na Grochów. Marczakowa prawie się obraziła.

- A tyś myślała, że jak? Na ulicę cię wygonię? U mnie nie tylko się prześpisz, ale możesz zostać jak długo chcesz. Może Jędrrek nadleci, to razem będziecie myśleć, co dalej...

Okazało się, że przecucie nie omyliło Marczakowej. Następnego dnia po południu poprosiła Zosię, by przyniosła z podwórza trochę nie dopalonych desek. Jak mówiła żartobliwie, trzeba "kozie" dać jeść, no bo na czym ugotuje się zacierki na kolację. Zosia poszła na swoje dawne podwórko. Przebierała w gruzach: o, tu ładna deseczka. Ale szkoda, można

by nią krzesło załatać. O, tu jeszcze jedna. Na schodek się przyda. Nauczyła się od Jędrka takich praktycznych sposobów majsterkowania. Wreszcie miała już potrzebną wiązkę i mimo woli przypomniało się jej, jak w pamiętnym grudniu, gdy ich wysiedlono, też zbierała z matką drzewo na opał. To było tak dawno - i jednocześnie przecież nie przed wiekami. Wtedy miała tylko tyle sił, że nazbierała trochę patyków i szyszek. A dziś... No, dziś to ja już jestem duża! pomyślała i westchnęła. Zasiadła się na tym podwórku, a tam Marczakowa pewnie na nią czeka. Przyspieszyła kroku i prawie biegiem, przeskakując rozsypane cegły i belki, wydostała się na ulicę. A na ulicy jak gdyby czekał na nią Jędrak. Padli sobie w objęcia, płacząc i śmiejąc się na przemian.

Tak więc było ich już czworo w klitce Marii Marczakowej:

Marczakowa, Zosia, Jędrak i Buras. Z wyjątkiem Burasa, który właśnie czatował przy jakiejś dziurze w podłodze na danie bardziej dla niego odpowiednie, troje osób pochyliło się nad talerzami z parującymi zacierkami. Zosia przypomniała sobie:

- Pamiętasz, Jędrak, zacierki to była pierwsza zupa, którą u was jadłam... Mama... - wymówiła to słowo i umilkła.

- Mama? - powtórzył pytająco Jędrak i Zosia wyczuła nagle w jego głosie jakąś intonację, której dotychczas nie znała. Nie był to już wesóły, beztroski ton chłopaka - urwisa. To był głos młodego jeszcze, ale już mężczyzny, który przeżył zbyt wiele jak na swoje lata i wie, co to śmierć.

Jednak to słowo nie powinno paść tu, teraz, przy tym stole. Zosia powiedziała tylko:

- Tak. Jutro cię tam zaprowadzę.

Marczakowa też wyczuła, że wdawanie się w szczegóły, które opowiadała Zosi, nie byłoby na miejscu. Są rzeczy, których chłopak nie musi wiedzieć. Byłoby mu z tym o wiele ciężiej żyć. Jędrrek bez słowa odsunął od siebie talerz i stanął przy oknie, odwrócony tyłem do pokoju. Ale okno było zasłonięte. Trwała jeszcze wojna i obowiązywało zaciemnienie. Wyszedł na dwór. Zosia poderwała się ze stołka, żeby wybiec za nim. Marczakowa położyła jej rękę na ramieniu:

- Nie trzeba, Zochna. On musi sam...

Następnego dnia gromadka pani Marczakowej powiększyła się jeszcze o dwie osoby. Z Włoch przywędrowała Janka Balcerzakówna, z Milanówka jakaś wojskowa ciężarówka przywiozła Hankę Wiśniewską. Nie było końca okrzykom radości, uściskom i wypytywaniom. Hanka opowiadała, jak ją Jędrrek podczas Powstania wyciągnął ranną spoza barykady, Jasia rozprawiała o swojej pracy u ogrodnika we Włochach. Ale przy stole, w czasie obiadu, który na cześć nowo przybyłych wyprawiała poczciwa Marczakowa, panowała nie tylko radość, że oto się znów spotkali, że żyją, że są młodzi - powracał ból, i gorycz, i troska. Marczakowa oplakiwała męża, o którym opowiadał Jędrrek. Janka wspominała ojca, który zginął, ale uratował jej w ostatniej chwili życie. Hanka straciła matkę i małego braciszka, nie wiedziała nic o losie starszego rodzeństwa, wywiezionego do Niemiec na roboty. A wszyscy razem nie wiedzieli, co mają ze sobą teraz począć. Przecież najstarszy z nich, Jędrrek, nie miał jeszcze siedemnastu lat, Jasia miała dwanaście, Hanka jedenaście, a najmłodsza,

Zosia, skończyła dziesięć. Na dobrą sprawę - dzieci.

- Wiecie co, moje kochane - odezwał się Jędrzek po obiedzie - przecież nie możemy tu u pani Marczakowej gości odgrywać i zbiegowisko robić. No i nie jesteśmy krasnoludki, żeby w dziury powłazić. Jeszcze nas Buras za nogi powyciąga, bo pomyśli, że z nas myszy. Zarządza się przeprowadzkę.

- Ale dokąd? - zawołała Hanka. - U mnie kamień na kamieniu nie stoi.

- A u nas deska na desce - włączyła się Zosia.

- Ja byłam dziś w naszym mieszkaniu, na parterze w oficynie -

odezwała się Janka. - Tam nie jest tak źle. Wasze piętro było drewniane, ale jeszcze przed wojną ojciec dół cegłą obmurował. No i to ocalało. Nawet piec stoi. Spaliło się tylko to, co było drewniane. Roboty dużo, ale w czwórkę jakoś dalibyśmy radę. Moglibyśmy tam wszyscy razem zamieszkać.

- Idziemy na oględziny - zdecydował Jędrzek.

- A ja mam dla was też propozycję - wtrąciła Marczakowa. - Coraz

więcej ludzi wracać będzie do Warszawy. Chcę na powrót uruchomić mój sklepik, przecież będą ludzie musieli coś jeść. Dopóki się nie urządzą, jak tam które będzie chciało, będziecie mi w sklepie pomagać, a ja wam dam utrzymanie. No bo pousychalibyście z głodu.

- Zośka, a może byś wolała na razie u Jasińskich na Grochowie

zostać? Masz tam szkołę, zarobek, kąpiel. A tu pustynia... - mruknął Jędrzek, spoglądając spode łba na Zosię.

Zosia zawołała z oburzeniem:

- Puknij się w głowę, Jędrusiu. To po tośmy się odnaleźli, żeby się teraz

znów rozdzielić! Chyba, że mnie nie chcesz... Jędrusiu! Przecież nas dwoje

zostało i ja mam iść gdzieś do obcych? Dobrzy ludzie, to prawda, ale ja tu jestem u siebie, choćby i na gruzach...

- Ale do Jasińskich i tak musimy pójść. Podziękować im za opiekę, no i uspokoić, bo mogą myśleć, że cię jaka mina w Warszawie rozerwała.

Jeszcze tego samego dnia Zosia z Jędrkiem dotarli na Grochów.

Zosia, idąc przez miasto, zauważyła, że Marczakowa rzeczywiście miała rację. Z różnych stron ludzie ściągali do Warszawy. Z Pragi i Grochowa, od strony Pruszkowa i wszelkich innych miejscowości, gdzie po Powstaniu znaleźli przytułek. Szli pieszo, jechali wozami, popychali przed sobą wózki z dziećmi i tobołkami, wlekli worki na plecach. Było ich tajemnicą, gdzie i w jaki sposób się zagnieździli. Nagle i niespodziewanie jakiś zburzony dom zaczynał żyć. Gdzieś, na którymś piętrze wśród wypalonych murów - dykta w oknie, czasami kawałek szybki - świadczyły, że zamieszkali tam ludzie. Z suterren wystawały rury piecyków. Spośród gruzów sączyły się wąskie smużki dymu - dowód, że i tam odbudował ktoś domowe ognisko. Ktoś rozłożył na ulicy kramik z książkami i jakimiś przedmiotami codziennego użytku.

*Jakaś
przedsiębiorcza*

*babina
urządziła*

jadłodajnię

w

przewróconym wagonie tramwajowym, który parę miesięcy temu służył za

barykadę, nawoływała głośno, że tu można napić się gorącej herbaty. Już kręcili się wśród wypalonych ścian ludzie, proponując kupno i sprzedaż odzieży, butów, a nawet pieczywa. Warszawa tak nawykła w czasie wojny do handlowania, że ten proceder stał się od razu jedną z pierwszych oznak jej powrotu do życia.

- Już nie mogłabym dziś śpiewać moich piosenek - mruknęła Zosia.

- Co, tramwajów nie ma, skowroneczku? - zakpił Jędrrek.

- Nie to... Piosenki inne - powiedziała, przysłuchując się, jak pod

ścianą domu jakiś inwalida w przyniszczonym mundurze wyśpiewywał:

“Warszawo ty moja, Warszawo” i “Czerwone maki na Monte Cassino”.

Było już popołudnie, gdy dotarli na Grochów. Jasiński i Felek wrócili

właśnie z roboty, cała rodzina siedziała przy obiedzie. Radości było co

niemiara. Tylko Jasińska skarżyła się:

- Tak poleciała na tę swoją Wolę, jakby ją kto gonił. Co, źle ci u nas

było? Taka byłam niespokojna. Myślałam, przyaresztowali dziewczuchę albo

na minę gdzie wlaźła... No, ale teraz rozumiem. Dziarski chłopak, ten twój

brat.

Jędrrek z miejsca dogadał się z Felkiem. I Jasiński, i Felek namawiali

Zosię i Jędrka, żeby przenieśli się na Grochów.

- Pracy dla ciebie tu nie brak. Od jutra możesz w naszej fabryce

pracować - namawiał Felek Jędrka. - Pokój jakiś też się dla was znajdzie. A

Zosia chodziłaby do szkoły. I ty też. Wieczorówkę u nas organizują.

Było to wszystko kuszące. Ale Zosia i Jędrrek spojrzeli po sobie

porozumiewawczo.

- Dziękujemy wam bardzo. Ale my tam mamy jeszcze dwie dziewczuchy pod opieką, bez rodzin, sieroty. Jakże je tak zostawić? Na Woli też zaraz robota ruszy - usprawiedliwiał się Jędrrek.

- Wola to nasz dom - ucięła krótko Zosia.

Musieli jednak przenocować u Jasińskich, bo zrobiło się już ciemno.

Przez cały wieczór Jędrrek opowiadał Jasińskim o Powstaniu.

Pożegnawszy się serdecznie z Jasińskimi i obiecawszy, że skorzystają z ich rad, gdyby na Woli nie udało się odbudować oficynki i znaleźć pracy, Jędrrek i Zosia wyruszyli z powrotem na swoją Wolę.

16 - Żniwa

Popłynęły teraz dni, pełne wyteżonej pracy, zamieszania, krzątania i "główkowania": jak "to" zrobić, jak "to" zdobyć, załatwić, osiągnąć. Gdyby komukolwiek z was, teraz, moim czytelnikom, ktoś kazał tego dokonać, te trudności przelamywać, jakie piętrzyły się przed tamtymi trzema dziewczętami i ich chłopakiem, powiedzielibyście: nie, to niemożliwe. Ale to były dzieci wojny. Dzieci wojny. Tak to trzeba nazwać. Do sklepiku pani Marczakowej raz Janka przywoziła jarzyny i owoce z Włoch, od "swoich" ogrodników, raz Zosia wyprawiała się na Grochów po inne wiktuały, nabywane u zaprzyjaźnionych z nią handlarek z targowiska. Jędrrek i Hanka przemienili się w brygadę budowlaną. Wyszukiwali gdzieś po gruzach potrzebne im deski, płyty blachy, gwoździe. Nieocenioną skarbnicą okazała się piwniczka pana Franciszka, do której ogień jakoś nie dotarł i tam Jędrrek znalazł cały skład potrzebnych mu narzędzi stolarskich i ślusarskich. Zrujnowany pokoik za sklepem pani Marczakowej przekształcił

się w przytulny pokój mieszkalny, a sam sklep odzyskał dawny swój charakter. Ruch panował w nim nieustanny. Nie wiadomo skąd się brali ci liczni klienci, ale drzwi się nie zamykały, pani Marczakowa zastynęła w całej okolicy jako instytucja, gdzie można wszystko nabyć.

Oba pomieszczenia w oficynie na parterze - mieszkalny i pracownia starego Balcerzaka - też by się już nadawały do "wyprawiania balów", jak to określił Jędrrek, gdyby nie dach, który stale zaciekał. Ale pewnego dnia przed dom na Wolskiej zajechała ciężarówka.

- Hej, jest tam kto? - rozległo się wołanie.

To był Felek. Dotrzymując obietnicy, Grochów nie zapomniał o Woli.

Pracowała chyba nad tym cała rodzina Jasińskich, żeby zdobyć rzeczy przydatne pogorzelncom. Było więc coś z ubrania, był sprzęt gospodarski i trochę pościeli, jakieś koce i poduszki - ale przede wszystkim rolka papy, parę arkuszy blachy i cała skrzynka gwoździ.

- Na litość boską, skądś to zdobył? - wypytywał gorączkowo Jędrrek:

- A bo to mało różnego dobra poniewiera się po pobjowiskach... -

lekceważąco burknął Felek. Nie zdradził się, że kosztowało go wiele biegania i zachodu wystaranie się o ten przydział w praskich instytucjach.

Z ciężarówki wyskoczyło jeszcze kilku chłopaków.

- To koledzy od nas, z fabryki. Z ciekawości przyjechali ze mną, bo powiedziałem im, że tu są ładne dziewczyny. No, bractwo, do roboty!

Do wieczora oficynka miała solidny dach i można już było nawet pomyśleć o remoncie na górze Martyniasków.

Marczakowa

wyprawila

nieoczekiwanym

gościom

solidną

“parapetówkę”, a jeden z młodszych kolegów Felka podejrzanie długo

żegnał się z zarumienioną Jaśką.

- Wiesz - szepnęła Janka Zosi na ucho - Kazik mnie zaprosił na tańce...

Co ty na to?

Zosia roześmiała się. Ot, jaka bywa korzyść z dziurawego dachu...

Gdy minęło kilka lat, Janka Balcerzakówna pobrała się z tym swoim

Kazikiem od Szpotańskiego. Skończyła szkołę ogrodniczą i dostała pracę w

przedsiębiorstwie zieleni miejskiej. “Domy - domami - mówiła - ale w

Warszawie musi też być dużo, dużo kwiatów i zieleni, prawda?”

Życie dzieci było trudne, ale ciekawe. Każdy dzień przynosił coś

nowego. 4 lutego uruchomiono zbudowany przez żołnierzy drewniany most

przez Wisłę. Natychmiast zapełnił się tłumami pieszych i pojazdami. 11

marca nadszedł pierwszy transport węgla z Katowic. 19 kwietnia z Alej

Jerozolimskich ruszyły pierwsze “autobusy” - ciężarówki, do których

wchodziło się po drabince. Uwijały się przy nich stada mikrusów,

nawołujących dziarsko: “Na Pragę!” i Jędrak z rozrzewnieniem pomyślał,

że jeszcze nie tak dawno on sam był takim jak oni chłopaczkiem

warszawskiej ulicy. 27 kwietnia otwarto w Warszawie pierwsze kino

“Polonia” i Jędrak zafundował swoim dziewczętom bilety. Pierwszy raz były

w kinie. Oszołomione i wniebowzięte do późnej nocy dzieliły się wrażeniami

z tego przeżycia.

Były też nowiny ze świata, z frontów. Potęga hitlerowska łamała się, Armia Radziecka niepowstrzymanie parła naprzód. Jędrzek sprawił sobie mapę, na której codziennie zaznaczał nowe miasta - już w Niemczech - zdobyte przez Rosjan i polskie wojska. Gdy skończyła się budowlana krzątania Jędrka, zastanawiał się, co ma teraz ze sobą robić. Zatrudnić się na Grochowie, jak proponował Felek? Z Woli na Grochów za daleko. U Marczakowej niech dziewczęta pracują, to nie jest robota dla chłopaka. Zgłosił się do wojska, ale go nie przyjęli. "Za młody jesteś, a na syna pułku za stary. Zresztą wojna się zaraz skończy. Poczekaj, jak będzie nowy pobór, to sami się o ciebie upomnimy". Był zły, koniecznie chciał zdobywać Berlin, odplacić hitlerowcom za Warszawę, za matkę, za Powstanie.

Przypadkowo spotkał jednego kumpla, też od kapitana "Wagi". Znali się jeszcze sprzed Powstania. Józek pracował teraz w elektrowni. Ściągnął tam też Jędrka. Praca spodobała mu się i wkrótce pochłonęła go całkowicie. Postanowił, że zostanie elektrykiem. Dziewczęta całymi wieczorami musiały wysłuchiwać, co się dzieje w elektrowni. Jak to już 15 stycznia, do jeszcze nie wyzwolonego miasta przedostał się radziecki zwiadowca Stanisław Kraj, żeby rozpoznać sytuację na terenie elektrowni. I tak już 17 stycznia rano pięćdziesięciu pracowników zjawiono się na gruzach, by gołymi rękoma rozrywać zamrożone na skałę i złodowaciale resztki urządzeń.

29 marca Jędrzek, robiąc tajemniczą minę, wyprosił "baby" z domu i po kryjomu coś majstrował. Po pewnym czasie zaprosił je na powrót, posadził przy stole, podszedł do ściany i przekręcił kontakt. W pokoju

zrobiło się nagle jasno. Jędrrek zdmuchnął lampę naftową i mruknął do niej:

- Idź na emeryturę, kochana!

Dziewczętom wyrwał się okrzyk zdumienia:

- Światło!

- Tak! Dziś, moje panie, ruszyła elektrownia. Zapiszcie w kronikach rodzinnych, że i ja przyłożyłem do tego ręki! Byleby się ta wojna nareszcie skończyła!

A skończyła się jakoś tak nagle. Pewnego majowego wieczora dzieci wywabily z domu na ulicę odgłosy jakby strzelaniny.

- O mój Jezu najśłodczy - lamentowała Marczakowa - znów strzelają?

Ale to były fajerwerki nad Warszawą. Złote gwiazdki pióropuszcami rozsypywały się po ciemnym niebie.

Ktoś biegł ulicą i krzyczał:

- Berlin zdobyty! Niemcy skapitulowały! Koniec wojny!

Marczakowa i dziewczęta szlochały, Jędrrek w milczeniu myślał sobie:

wojna minęła, jaki też będzie teraz ten pokój? Co zmieni w jego prawie już dorosłym życiu? Srogo zapłacił za tę wojnę. Wymknął się po kryjomu i poszedł na grób matki. Po drodze ułamał w zdziczałym ogródku kilka gałązek złocistej forsycji i położył je na mogile.

- Mamo... - szepnął cicho. - Mamo... Dlaczego?

I mimowonie - bo przecież nie wiedział, jak umierała jego matka -

powtórzył jej przedśmiertny gest: obiema rękoma objął jej grób, jak gdyby chciał go przytulić do siebie.

A Zosia pomyślała: koniec wojny. Koniec wszystkiego złego, co ją

spotkało. Wiele przeżyła, wiele się natulała, wędrowała od ludzi do ludzi.

Teraz czas wracać. Do siebie. Do domu. Do Sitańca. Tylko czy wróci do niej cokolwiek i ktokolwiek z tamtego, dawnego życia?

Od tej pory chodziła często zamyślona, trochę posmutniała i jakby nieobecna. Wreszcie Jędrak, stale zakłopotany swoimi sprawami, zwrócił na to uwagę, chociaż starała się ukrywać przed nim swoją rozterkę.

- Do Sitańca? - powtórzył ze zdumieniem, kiedy mu w końcu powiedziała, o co jej chodzi. Przeląkł się: a jeżeli mała nikogo ze swoich tam nie odnajdzie albo dojdą do niej jakieś tragiczne wieści o losie rodziców, jaki to będzie dla niej dramat. Dość już się nacierpiała w swoim krótkim życiu. Spróbował obrócić sprawę w niby_żart.

- No i mnie tu samego zostawisz? Nie będzie ci żal?

- Jak to, ty pojedziesz ze mną - orzekła bardzo stanowczo.

- Zlituj się, Zośka! A cóż ja bym tam robił? Przecież krów nie umiem pasać!

Zosia rozplakała się. To był rzeczywiście problem dla niej nie do rozwiązania. Kochała rodziców, tęskniła do nich, ale i życia bez Jędrka nie wyobrażała sobie.

- To... to się nauczysz... - mówiła, chlipiąc. - Nie takie trudne. Dziecko da radę.

Jędrak wyczuł, że Zosia nie ustąpi. I jak to ona potrafi, pewnego dnia zwyczajnie ucieknie. Pójdzie sobie.

- No dobrze - powiedział, żeby ją pocieszyć. - Sama przecież nie pojedziesz. To ładny kawał drogi. Teraz nie mogę się ruszyć, bo kończymy

pilną robotę. Światło dla Warszawy to przecież ważna rzecz, no nie? Ale w końcu czerwca albo w lipcu urwę się na parę dni i pojedziemy sobie razem do Sitańca. Zgoda?

Zosia nie nalegała więcej. Wprawdzie ukryła przed Jędrkiem, że któregoś dnia wybrała się pod Warszawę do państwa Iwaszkiewiczów, u których, jak mówił jej Franciszek, przechowywały się jej dwie małe sąsiadki z Sitańca, Durasówny. Okazało się jednak, że tymczasem wrócili z robót, z Rzeszy, rodzice dziewczynek i wszyscy pojechali do swojej wsi. Zosia napisała więc do Durasów, do Sitańca. Dość długo nie było odpowiedzi. W końcu przyszła krótka kartka, że dom Zosi jest spalony, nikogo w nim nie ma i żadnych wiadomości o rodzicach Zosi nie mają. Ale to Zosi nie zniechęciło. Miała jakieś podświadome, wewnętrzne, głębokie przekonanie, że gdy tylko zjawi się w Sitańcu wróci tam też ktoś z jej rodziców. A może tylko Durasowie nic nie wiedzą? Może ktoś inny wie?

Jędrrek dotrzymał słowa. I gdzieś w drugiej połowie lipca Jędrrek i Zosia wyruszyli w drogę. Była to droga uciążliwa i długa. Pociągi nie kursowały jeszcze regularnie, więc trochę się jechało na dachu wagonu, trochę przypadkowo napotkanym wozem, a czasami żołnierze podwozili kawałek ciężarówką. Od Zamościa już szli pieszo. Pięć kilometrów to nie taki znów szmat drogi. A i Zosi, wprawionej w dalekich marszach po Warszawie, nie wydawało się daleko. To nie tamta grudniowa, mroźna noc 42 roku. No i Zosia jest już starsza.

Zamajaczyła w końcu płytka dolinka między wzgórzami, jakby oparta o ciemną linię lasu. Ileż razy w ciągu tych dwu i pół lat śnił się Zosi

ten widok! Najpierw puściła się biegiem, a potem zwolniła. Tyle zniszczeń...

Jeden dom, drugi, trzeci - spalony, pusty. Wprawdzie żółcą się pola, kręcą się gdzieś ludzie, najwidoczniej trwają żniwa. Z rzadka tylko widać na łące krowę. Ktoś okrzyknął Zosię, ale się nie zatrzymała. Widocznie poznał ją - ale to dziwne, chyba po dwu i pół latach zmieniła się. Ktoś pomachał jej ręką zza płotu. To chyba Stasia Durasówna. Teraz Zosia znów biegła. Coś ją aż gonilo. Oto jej dom. Właściwie to, co było domem. Kupa zgliszcz ze sterczącym pośrodku kominem. Wielki kasztan, który rósł przed domem, przewrócony. Na jego pniu ktoś siedzi, jakby zamyślony.

Mężczyzna. Zosia stanęła i patrzyła bez słowa. Miała wrażenie, że to sen. Za nią przystanął Jędrzek. Mężczyzna był w wojskowym mundurze. Wstał. I wtedy zobaczył Zosię.

- Tatusiu! - rozległ się rozdzierający, nabrzmiaty łzami krzyk Zosi.

Rzuciła się jednym skokiem w jego objęcia.

- Zosia! Zosieńka! Zochna! - rwały się słowa z ust ojca. Ukochana, oplakana, uważana za straconą - odnaleziona! To było wprost nie do wiary.

- Mama? - zapytała Zosia z lękiem: jaka będzie odpowiedź.

- Mama? Jest ze mną. Cała, zdrowa.

- Wiesz, tatusiu?

- Wszystko wiem. Mówiła mi. A ten chłopiec, co cię przyprowadził, to kto?

Zosia oprzytomniała. W nagłym wybuchu radości zapomniała o Jędrku. A przecież to takie ważne!

- To Jędrzek, tatusiu. On mnie w Warszawie wykradł z transportu. On

mnie uratował. On mnie przechował przeszło dwa lata. On... on...

Zosia mówiła i mówiła bez przestanku, jak to u Martyniaków

znalazła drugie ognisko domowe, a Michał Bartos, spojrzawszy uważnie w

oczy Jędrkowi, po prostu podszedł do niego, objął serdecznie i powiedział:

- Dziękuję ci, synu.

Jędrka ścisnęło coś w gardle. Nie pamiętał prawie swego ojca.

Pierwszy raz mężczyzna powiedział do niego "synu".

- Wiecie co, dzieci. Ja się zatrzymałem u Durasów. No bo tu... -

Machnął desperacko ręką. - Wy pewno po podróży głodni, spragnieni, taki

kawał drogi z Warszawy. Tam porozmawiamy, wszystko sobie opowiemy.

Durasowie w polu. A w domu tylko Stasia.

- Ale gdzie jest mama? - uporczywie nalegała Zosia.

- Zaraz ci wszystko powiem - uśmiechnął się Bartos, gdy usiedli już

przy stole, a Stasia nalala im po kubku mleka i nakroiła kilka pająd świeżego,

wiejskiego chleba.

- Dziś żniwa - powiedziała, jak gdyby usprawiedliwiając się ze

skromnego poczęstunku. - Wróci mama z pola, to coś ugotuje.

Bartos opowiedział dzieciom, jak ranny wyczołgał się z zarośli i

udało mu się dostać do partyzantki.

- No i byłem przez cały czas w lasach w Batalionach Chłopskich. Ale

kiedy wyzwolili nas i przyszło nasze wojsko, mój oddział wcielili do drugiej

armii, tej, co nią generał Świerczewski dowodzi. A w ogóle - westchnął -

trzeba nam będzie stąd odejść.

- Dokąd, tatusiu? Dokąd?

- *A to cała historia. Nasza druga armia poszła nie na Berlin, tylko w kierunku Drezna, pod Budziszynem mieliśmy wielką bitwę, a potem braci Czechów wyzwoliliśmy. Pod Budziszynem właśnie zostałem ranny i ciupasem odstawili mnie do szpitala. A potem uznali, że do wojaczki już się nie nadaję, no i wojna się kończy, więc kazali mi do domu wracać. A ja im na to: "Nie ma domu, pod Zamościem, spalony". No to generał na to, dusza chłop, mówi: "A tu, na Dolnym Śląsku, ziemi mało? Domów mało? Bierz i wybieraj, aby większy." No, i robią teraz z nas, zdemobilizowanych, osadników wojskowych. Ziemi dostałem ze cztery razy więcej, niż tu mieliśmy. Zabudowania, inwentarz, piękny murowany dom. Piotrowice ta wieś się nazywa, niedaleko Zielonej Góry.*

- *Ale mnie żal Sitańca - szepnęła Zosia.*

- *Mnie też żal, córciu. Ale ile to trzeba sił i pieniędzy, żeby tu zacząć od nowa. Jak się dorobimy, to i tu odbudujemy, będziemy na letnisko przyjeżdżać. A z mamą to było tak. W Piotrowicach już byłem. Sam jak palec. O mało bzika nie dostałem, tylko o was myślałem: gdzie się podziewacie, ty i mama. A tu kiedyś z wieczora przybiega do mnie sąsiad, też kolega z wojska, i mówi, że nadchodzi grupa kobiet. Z robót wracają czy z obozu. Zabiedzone, że aż strach. Więc trzeba by je przenocować, nakarmić, wystarać się o jakiś transport, żeby do domów dotarły. No i cud boski. Była wśród tych kobiet mama. Odchuchałem, odkarmiłem, a ona nic tylko mi płacze: "Zosia! Gdzie Zosia?" Bo różnie o was, o dzieciach z Zamojszczyzny, mówiono. Teraz to inne życie będzie, jak ciebie zobaczy. Bo tak, to i do gospodarstwa nawet brać się nie chciała. Tylko czy cię pozna? Tak urosłaś,*

jakoś zmężniałaś.

- A bo ja, tatusiu... - Tu Zosia zaczęła opowiadać ojcu swoje dzieje.

Czasami robił niedowierzającą minę, wtedy wtrącał się Jędrrek i potwierdzał prawdę o Zosinych wyczynach.

Nazajutrz, pożegnawszy się z Durasami i podziękowawszy im za gościnę, Bartos, Zosia i Jędrrek opuścili Sitaniec.

- No i proszę: pojechałem sam, a wracam z całą gromadą - żartował Bartos.

Jędrrek miał minę niewyraźną i trochę pochmurną.

- To ja się z wami w Zamościu pożegnam...

- A dokąd to kawaler się wybiera?

- Do Warszawy. Przecież mam tam pracę.

- Jędrrek! - zawołała Zosia z rozpaczą.

- Nie ma mowy - zaprotestował Bartos. - Jak już sobie wzięłeś na głowę taki bagaż, to proszę go mamie do rąk własnych dostarczyć. Jedziesz z nami do Piotrowic, a tam pogadamy.

Rzeczywiście, w Piotrowicach było ślicznie, choć jakoś nie tak swojsko i przytulnie, jak w rodzinnym Sitańcu. Dookoła pagórki, szerokie pola i łąki, las. Obszerne, wygodne zabudowania. Powrót Bartosa z córką i z jakimś chłopakiem, o którym jedni mówili, że syn, drudzy żartowali, że zięć, stał się sensacją. Zaraz wszyscy się zbiegli, ale Bartos ich przyjaźnie wyprosił.

- Ludzie! Dajcie matce nacieszyć się odnalezionym dzieckiem!

Była więc i radość ogromna, i łyzy szczęścia, i nie kończące się

opowiadania. Matka nie wypuszczała Zosi z objęć. Wciąż nie mogła uwierzyć, że oto mała Zosia, jej córeczka, znów jest z nią razem. Tylko jakaś taka odmieniona. Żwawa, ruchliwa, wyrośnięta, energiczna.

Bartosowa przyglądała się z zainteresowaniem i zarazem czułością Jędrkowi. Podobał się jej ten mocny, wesoly chłopak o ciemnych oczach, nie mówiąc już o tym, że jego rola wybawcy i opiekuna Zosi poruszyła do głębi jej matczyne serce.

Gdy Zosia pobiegła z ojcem oglądać gospodarstwo, Bartosowa przywołała Jędrka do siebie. Musiała się położyć, serce jej dokuczało, za dużo wrażeń jednego dnia, niechby i radosnych. Jędrak był jakiś nie swój. Oto i radość, że jego ukochana Zosia odzyskała rodzinę - i smutek, że on, teraz już zupełnie samotny, wróci na swoją Wolę, do pustej izby i nie będzie miał o kogo się troszczyć.

- Matkę straciłeś, chłopcze - powiedziała do niego cicho i serdecznie.

Przytuliła go do siebie, pogłaskała po zwichrzonej czuprynie, patrząc w brązowe, smutne oczy. - Była matką dla mojej Zosi. Rodzonej nikt nie zastąpi. Oczywiście. Ale teraz na mnie kolej. Będę ci jak matka. Mów do mnie "mamo", bardzo cię o to proszę. Inaczej nie chcę. Tak będzie sprawiedliwie...

Już bez słowa trwali w mocnym, serdecznym uścisku i tak ich zastali Bartos i Zosia.

- Oho, widzę, rodzinne czułości - zażartował Bartos.

Z złejszym już sercem wracał Jędrak do Warszawy. Dziewczeta nie mogły odżalować Zosi, ale takie już bywały w tych pierwszych po wojnie

czasach spotkania i rozstania ludzi, których złe lata przypadkowo nieraz ze sobą zetknęły. Każdy chciał wracać na swoje miejsce pod niebem, do swojego miasta, wsi, domu, do swoich najbliższych.

Cóż jeszcze opowiedzieć o moich bohaterach, Zosi i Jędrku? Zosia ukończyła szkołę w pobliskim miasteczku, potem liceum pedagogiczne, i tak jak chciała, została nauczycielką - w Piotrowicach, gdzie budowano nową, piękną szkołę. Bartosowie zajęli się gospodarstwem i dobrze im się wiodło.

Jędrak skończył politechnikę i został inżynierem_elektrykiem. Ale, gdy tylko praca, która gonila go po różnych kątach Polski, gdzie tylko powstawała nowa elektrownia, pozwalała mu na to, pędził co tchu do Piotrowic. Dom wśród zielonych wzgórz stał się naprawdę jego drugim rodzinnym domem, a Bartosowie jego drugą rodziną. Aż któregoś dnia i któregoś roku zdał sobie sprawę, że bez tej pięknej dziewczyny o niebieskich oczach i złocistych włosach, które zaplatała teraz w gruby warkocz, jego życie byłoby bez sensu. A że przystojny, młody człowiek, niczym już - chyba tylko szczerym uśmiechem - nie przypominający dawnego Jędrka, gazeciarza i szalawicy, nie przestał być wyłącznym posiadaczem Zosinego serca... No tak, pobrali się ku radości Bartosów i licznych przyjaciół i na pewne Boże Narodzenie w Piotrowicach odbyło się huczne weselisko. Zamieszkali w Piotrowicach, a Jędrak, żeby już nie wędrować po całym kraju, objął pracę w Zielonej Górze.

Wtedy to właśnie do mnie na Saską Kępę, dokąd wróciłam natychmiast, gdy tylko Warszawa została wyzwolona, nadszedł list. Zosia nie pamiętała dokładnie mego adresu, więc dość gruba koperta wędrowała

do mnie długo, ale w końcu dotarła. Był to rodzaj pamiętniczka, notatki z czasów wojny. Do opisu swoich przeżyć Zosia dodała jeszcze to, co opowiadał jej Jędrzek o swojej powstańczej epopei. I z tego powstała moja książka. Oczywiście, podziękowałam Zosi serdecznie, ale już więcej wiadomości od niej nie dostałam. Czy brak czasu nie pozwolił jej na dalszą korespondencję, nie wiem. Zresztą, bywa i tak, że w życiu naszym pewne jego rozdziały pragniemy uznać za zamknięte i nie wracać do nich, bo sprawiają ból albo budzą tęsknotę.

Więc doprawdy nie wiem, co się dzieje teraz z rodziną Bartosów i Jędrkiem Martyniakiem. Mam jednak nadzieję, że po tylu życiowych przejściach są wszyscy razem i że są nareszcie szczęśliwi.

Zakończenie

Mam gromadkę zaprzyjaźnionej ze mną młodzieży w pewnej czytelnicy osiedlowej. Zapraszają mnie często na spotkania autorskie i na swoje zebrania. Czasami czytam im swoje utwory, dyskutujemy o nowych książkach, a czasem oni sami prezentują mi to, co napisali, bo niejeden z nich marzy o tym, żeby zostać pisarzem. Dziewczęta i chłopcy są w różnym wieku, mniej więcej od dziesięciu lat do piętnastu, szesnastu. Kiedy odnalazłam na dnie szuflady moją książkę o warszawskich dzieciach i powiedziałam im o tym, dzieci zaczęły się domagać, żebym dała im do przeczytania maszynopis. Koniecznie chciały być pierwszymi czytelnikami. Było mi to zresztą na rękę. Nie byłam pewna, czy opowiadanie o czasach wojny, tak odmiennych od naszych dzisiejszych, o dzieciach, które są teraz może ich dziadkami i babciami, będzie w pełni zrozumiałe dla

współczesnego młodego czytelnika. Czy nie trzeba jeszcze czegoś dodać, wytłumaczyć, uzupełnić? Wręczyłam więc im maszynopis i spotkaliśmy się znów po jakimś czasie, kiedy dały mi znać, że przeczytały powieść.

Salka czytelni była pełna, ale miałam dziwne odczucie, że jest nas jakoś więcej. Gromadka nasza powiększyła się o bohaterów mojej książki.

Moi czytelnicy widocznie polubili Zosię i Jędrka, ich rodziny i przyjaciół, bo rozprawiali o nich tak, jak gdyby byli oni wśród nas, z nami. Współczuli Zosi, cieszyli się, że odnalazła rodziców, podziwiali dzielność Jędrka i jego kolegów. Zadawali mi dużo pytań, nieraz bardzo poważnych.

- Proszę pani, mnie się wydaje wprost nieprawdopodobne, żeby takie małe dzieci mogły znieść tyle biedy i cierpień, jak te wysiedlone z Zamojszczyzny - odezwała się Ania.

Spróbowałam jej wyjaśnić:

- Tak, to się wydaje niemożliwe. I wiele dzieci naprawdę zginęło.

Istnieją dowody, dokumenty. Z Zamojszczyzny wywieziono około trzydziestu tysięcy dzieci, z nich zmarło dziesięć tysięcy, czyli jedna trzecia.

W obozach przejściowych, podczas transportu, w takich obozach jak Majdanek, Oświęcim, Bełżec. Bo tam je wywożono, jak więźniów, i przeważnie uśmiercano zastrzykami. Hitlerowcy uważali, że nie nadają się do pracy. Zimą 1942 roku w pociągu towarowym na stacji kolejowej w Ciechomicach w powiecie gostyńskim, znaleziono około trzystu dzieci zamarzniętych na śmierć. Pochowano je w pobliskim lesie. A przetrwały i przeżyły tę katorgę najsilniejsze. I te, które uratowali ludzie.

- A co się stało z tymi wywiezionymi do Niemiec? - Marek był bardzo

dociekliwy i lubił wiedzieć wszystko dokładnie.

- Ogółem hitlerowcy wywieźli z Polski ponad dwieście tysięcy dzieci, żeby zrobić z nich Niemców. Niektóre były tak małe, że nie znały swego nazwiska. Nadawano im inne, niemieckie. Po wojnie udało się odzyskać tylko około trzydziestu tysięcy. Reszta żyje pewno w Niemczech i nie wie nawet, jaka jest ich prawdziwa narodowość. Ludzie do dziś szukają tych swoich zrabowanych dzieci.

Brat Marka, Pawełek, interesował się sprawą pomocy dzieciom.

- Pani napisała w książce o pomocy, jakiej udzielało "Społem", wywożąc je ze Stoczka. Czy nie można było więcej tych dzieci uratować?

- Kilka razy wywożono dzieci ze Stoczka. Najbardziej chore kierowano do szpitali. Sporo ulokowano w sierocińcach w Warszawie i pod Warszawą. Dużo dzieci wzięli ludzie do siebie, do domów. Niektóre transporty porozsyłali hitlerowcy do małych miasteczek i wsi, w których podczas wojny nie było żadnych warunków opieki: ani gdzie zamieszkać, ani co jeść, ani lekarstw. Tam jeździły specjalne ekipy i przywoziły wszystko, co było potrzebne. A niektórzy ludzie uprawiali szmugiel: jeździli do wsi zagrożonych wysiedleniem i zabierali stamtąd po kryjomu dzieci.

- Dozorca Franciszek w pani książce opowiada Zosi o panu Starczewskim, który organizował tę pomoc dla dzieci. Że go za to aresztowano i zesłano do Oświęcimia. Czy to prawda?

- Tak. Niesienie pomocy wysiedlonym dzieciom było bardzo niebezpieczne, groziło czasem śmiercią. I to nawet Niemcom. Był wtedy w Warszawie taki doktor Hagen, który nadzorował warszawską służbę

zdrowia. Z początku nie wierzył w to wysiedlanie, a potem ujął się u swoich władz za tymi dziećmi. Nie tylko wyrzucili go z pracy, ale wysłali na taki niebezpieczny odcinek frontu, żeby szybko zginął. I zginął. Nie wolno było Niemcom litować się nad Polakami.

Waldek, zapalony czytelnik lektur batalistycznych, zagadnął mnie:

- Proszę pani, Zosia najpierw podglądała partyzantów w lesie, potem rozmawia o nich ze swoją przyjaciółką Jadzią, wypatruje od nich pomocy, a wreszcie ranny ojciec Zosi przedziera się do partyzanckiego oddziału. Jak to było z obroną wysiedlanych wsi ze strony partyzantów?

-

Gdyby

nie

ta

partyzancka

akcja

zbrojna,

zginęłyby

prawdopodobnie jeszcze tysiące i tysiące ludzi. To była też samoobrona

przed wysiedlaniem. Działali wspólnie: partyzanci z Batalionów

Chłopskich, z Armii Krajowej, z Gwardii Ludowej, a także przyłączali się do

nich partyzanci radzieccy, działający na tyłach frontu, był to oddział

imienia Szczorsa. Dowódcą oddziału Gwardii Ludowej imienia Tadeusza

Kościuszki, liczącego około 300 żołnierzy, był słynny późniejszy generał

Grzegorz Korczyński. Nawet młodzież broniła Zamojszczyzny. Z Warszawy

przysłano na Zamojszczyznę specjalną szturmową grupę, składającą się głównie z harcerzy z "Szarych Szeregów". Pierwszą bitwę z hitlerowcami stoczyły oddziały Batalionów Chłopskich pod dowództwem Jerzego Mary_Meyera, zwanego "Wisem" już w końcu grudnia 1942 roku pod wsią Wojda i we wsi Lipsko. Niemcy doznali tam wielkiej porażki. Partyzanci atakowali wsie, które hitlerowcy zdążyli zasiedlić swoimi kolonistami. Niemieccy osiedleńcy zaczęli wreszcie uciekać z tych gospodarstw, w których Hitler obiecywał im raj na ziemi. W marcu 1943 roku hitlerowcy musieli przerwać wysiedlanie Polaków i osadzenie swoich kolonistów. Próbowali to robić jeszcze latem tego roku, ale zostali znów zmuszeni do rezygnacji. Za dużo ich to kosztowało.

Nie doceniałam Waldka. On o tym wszystkim wiedział, ale swoim pytaniem chciał mnie sprowokować do wyjaśnienia, żeby inne dzieci też się dowiedziały. Uzupełnił moją odpowiedź:

- To wszystko prawda, co pani mówi. Mój dziadek był właśnie partyzantem u "Grzegorza" i opowiadał mi, jak wykoleili pociąg, którym jechał duży oddział gestapowców, żeby wysiedlać następne wsie. Partyzanci nie mieli jeszcze wtedy trotylu i podłożyli pod nadjeżdżającą lokomotywę zwyczajny stary niewypał artyleryjski. Lokomotywa przewróciła się. Ale w pociągu byli też Polacy, więc krzyczano do nich, żeby uciekali. A potem te dwa wagony, którymi jechali gestapowcy, partyzanci zdobyli szturmem. I jeden wołał: "To za wymordowanie wsi Socha i Szozdy!" No i wszystkich gestapowców pozabijali.

- Więc i wy możecie mi coś ciekawego o tych czasach i sprawach

opowiedzieć.

Teraz dorzuciła jeszcze swoją uwagę Zuzia, która lubi książki

sentymtalne:

- Mamusia opowiadała mi, jaki wielki pogrzeb urządziła ludność w Siedlcach, chociaż Niemcy zakazali, kiedy chowano te dzieci, co poumieraly z głodu, zimna i chorób i aż tam je pozawożono. Do Łosic też. Przyszły tysiące ludzi i przynieśli kwiaty, choć to była zima. Mama była wtedy malutka, ale zapamiętała tę uroczystość.

- No a ty, Aniu, co chcesz jeszcze powiedzieć? - zwróciłam się do mojej pierwszej rozmówczyni, bo widziałam, że ma ochotę odezwać się.

- Szkoda, że pani nie wie nic więcej o losach rodziny Bartosów. A może, kiedy pani książka wyjdzie w druku, dotrze do nich i ją przeczytają, Zosia jednak odezwie się do pani. Bardzo prosimy, niech jej pani wtedy odpisze i przyrzeknie w naszym imieniu, że będziemy pamiętać o niej i o Jędrku. I o ich przyjaciółach. I nigdy nie zapomnimy.

Koniec

Niniejszym składam podziękowanie Wszystkim Osobom, które pomogły mi w zebraniu źródłowego materiału do tej książki, a zwłaszcza pani dyrektor mgr Zofii Tokarzowej i panom: inż. Zbigniewowi Romanowskiemu z Białegostoku oraz red. Jerzemu Zajączkowskiemu, w 1944 roku młodocianemu uczestnikowi Powstania.

Autorka